POCZTA POLSKA
Jak nie zostałem listonoszem

BÓG KRZEPI
Młodzi wierni w Kościele

OCHOTNICY
Polak i Amerykanin bronią Ukrainy

LIGA MISTRZA
Najfajniejszy trener świata

SZAŁ WINYLA
Czarna płyta nie do zdarcia

Kraków 5 czerwca 2022 nr 23 (3804) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

My, sąsiedzi

KATARZYNA SURMIAK-DOMAŃSKA: POLACY I UKRAIŃCY U KRESU ZŁEJ PAMIĘCI

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Albatros travel
Skandynawska jakość od 1986 r.

Rezerwacja +48 22 128 48 81
albatros.pl

Bergen i norweskie fiordy

Udaj się do najpiękniejszych miejsc w kraju wikingów. Zobacz majestatyczne fiordy, góry rzeźbione lodowcem i wodospadami oraz klimatyczne miasteczka Norwegii.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Oslo. Przejazd do Hamar. **Dz. 2** Hamar - Lillehammer – Droga Trolli-Geiranger. Skocznia w Lillehammer, dolina Gudbrandsdalen. **Dz. 3** Geiranger – Hellesylt – Sognefjorden – Bergen. Wycieczka statkiem po fiordzie z Geiranger do Hellesylt. **Dz. 4** Bergen – Gudvangen - Flåm – Geilo. Spacer po Bergen. Wycieczka statkiem po fiordzie między Gudvangen i Flåm. **Dz. 5** Geilo – Oslo. Zwiedzanie Oslo, ulica Karl Johan i park Frognerparken. **Dz. 6** Czas wolny. Wylot z Oslo do Warszawy.

6 dni | Wylot z Warszawy 25/08 2022

4.898,-

W cieniu Wezuwiusza – Neapol, Pompeje, Amalfi

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Neapolu. Przejazd do Sorrento, degustacja likieru limoncello. Przyjazd do hotelu w Castellammare. **Dz. 2** Przejazd autokarem do portu, rejs statkiem do Positano i Amalfi oraz zwiedzanie. **Dz. 3** Czas wolny lub opcjonalny rejs na wyspę Capri. **Dz. 4** Zwiedzanie Neapolu i jego słynnej starówki wpisanej na listę UNESCO. Pizza na lunch. **Dz. 5** Wizyta w Pompejach. Degustacja wina w lokalnej winnicy. Spacer do krateru Wezuwiusza. **Dz. 6** Poranna wizyta w fabryce włoskiego makaronu w Gragnano, transfer na lotnisko i wylot do Polski.

6 dni | Wyloty z Warszawy 12/10, 17/10 2022

3.998,-

WYKŁAD ONLINE

Sri Lanka
09/06/22 o godz. 17:00
Rejestracja na stronie
www.albatros.pl

Rejs wzdłuż wybrzeża Chorwacji ze Splitu do Dubrownika

Popłyń w niezapomniany rejs po najpiękniejszych chorwackich wyspach, zobacz Split i Dubrownik oraz wykąp się w krystalicznie czystych wodach Adriatyku.

Program wycieczki: Dz.1 Wylot z Warszawy do Splitu. Rejs na Hvar. **Dz. 2** Hvar. Park Narodowy Mljet. **Dz. 3** Rejs do Dubrownika i zwiedzanie Starego Miasta, wpisanego na listę UNESCO. **Dz. 4** Rejs z Dubrownika do miasta Trstenik. Przystanek na kąpiel przy wyspach Elafiti. **Dz. 5** Trstenik – Korcula. **Dz. 6** Korcula – Brac. Pucisca - urokliwe portowe miasteczko. **Dz. 7** Brac – Split. Spacer po mieście i Pałac Dioklecjana. **Dz. 8** Split. Powrót do domu.

8 dni | Wyloty z Warszawy 17/08 2022, 03/05, 04/10 2023

od **5.998,-**

Szampania i Burgundia

Ekscytująca wyprawa szlakiem najlepszych francuskich win od stolicy szampana Épernay przez Reims i region białego wina Chablis do Dijon i Beaune w Burgundii.

Program wycieczki: Dz.1 Przelot do Paryża. Spacer po mieście Reims i wspólna kolacja. **Dz. 2** Szampania i Épernay. Objazd po Szampanii z degustacją szampana i zwiedzaniem Épernay. **Dz. 3** Reims – Troyes – Chablis – Dijon. Z Szampanii do Burgundii. Zwiedzanie Troyes i degustacja wina w Chablis. **Dz. 4** Burgundia, Beaune i Côte D´Or. Spacer po średniowiecznym mieście Beaune i degustacja win w Côte d´Or. Wspólna kolacja. **Dz. 5** Zwiedzanie Auxerre nad rzeką Yonne. Wylot z Paryża do Warszawy.

5 dni | Wylot z Warszawy 13/09 2022

4.298,-

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP01

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

REKLAMA

ŚWIĘTO WOLNOŚCI I PRAW OBYWATELSKICH

GDAŃSK, 3—5 CZERWCA 2022

3 CZERWCA, GODZ. 20.30

PARK ORUŃSKI | WSTĘP WOLNY

KONCERT **GDAŃSK MIASTEM RÓWNOŚCI***
SMOLIK, KEV FOX, JOHN PORTER

* UWAGA! LICZBA MIEJSC OGRANICZONA.
DECYDUJE KOLEJNOŚĆ PRZYBYCIA

4—5 CZERWCA GODZ. 10.00—18.00

EUROPEJSKIE CENTRUM SOLIDARNOŚCI I STREFA SPOŁECZNA | WSTĘP WOLNY

UROCZYSTE OTWARCIE STREFY SPOŁECZNEJ

PONAD 100 ORGANIZACJI POZARZĄDOWYCH

DEBATY, WARSZTATY ORAZ SPOTKANIA Z EKSPERTAMI, LUDŹMI KULTURY, MEDIÓW I POLITYKI, WŚRÓD GOŚCI M.IN.:
Thomas E. Garrett, Andrzej Grabowski, Karolina Korwin-Piotrowska, Paweł Kowal, Tomasz Lis, Halina Mlynkova, Czesław Mozil, Tomasz Sekielski, Magdalena Środa, Tomasz Terlikowski, Oksana Zabużko

WRĘCZENIE NAGRODY IM. LECHA BĄDKOWSKIEGO

DEBATA **1989 — CZASY PRZEŁOMÓW — 2022**

SPACERY SUBIEKTYWNE PO WYSTAWIE STAŁEJ ECS
WSPOMNIENIE 4 CZERWCA

KONFERENCJA **KUCHNIA W PRL**

WYSTAWA **SŁAWA UKRAJINI! SYMBOLE NIEPODLEGŁOŚCI**

SZCZEGÓŁOWY PROGRAM | ECS.GDA.PL

ORGANIZATORZY

GDAŃSK · ECS europejskie centrum solidarności · FUNDACJA GDAŃSKA · Gdańsk Miastem Równości

PARTNERZY

Gdańsk European Volunteering Capital · EUROPEJSKA STOLICA WOLONTARIATU 2021/2022 · KREATYWNA PEDAGOGIKA · VISIT GDANSK · Community of Democracies

TEMAT TYGODNIKA

13 Dobra jest wiara
PIOTR SIKORA
Mimo sekularyzacji i kryzysu Kościoła wielu młodych nadal odnajduje w katolicyzmie swój duchowy dom.

17 Kościół to my
ROZMOWA Z IRENĄ BOROWIK, SOCJOLOŻKĄ:
Spora część młodych zaangażowanych religijnie odróżnia wspólnotę od hierarchicznej instytucji.

22 Skansen na tablecie
MAREK RABIJ
Poczta jest jak Polska. Od frontu dużo Jana Pawła II, a od zaplecza bałagan i wyzysk.

44 Wróciłam do Buczy
ROZMOWA Z ALENĄ GROM:
Wojna nie może zabić w ludziach miłości i dobroci. W moich zdjęciach pokazuję afirmację życia.

60 Patrzcie i podziwiajcie
ŁUKASZ SAKOWSKI
W zachodniej kulturze coraz bardziej skupiamy się na sobie. Czy grozi nam epidemia narcyzmu?

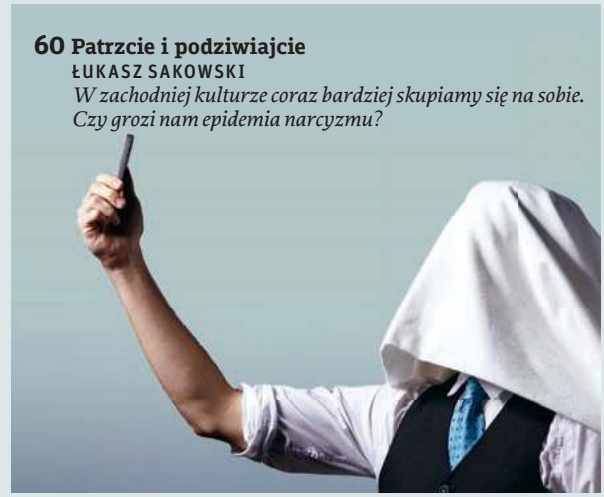

90 Śni mi się nie mój strach
ROZMOWA Z KATARZYNĄ SURMIAK-DOMAŃSKĄ, REPORTERKĄ:
Na mówienie o rzezi wołyńsko-galicyjskiej nigdy nie ma dobrego czasu. Ale zawsze jest dobry czas, by mówić, jak zła jest odpowiedzialność zbiorowa.

104 Słuchajcie, a zwyciężycie
MICHAŁ OKOŃSKI
Carlo Ancelotti stał się najbardziej utytułowanym trenerem w dziejach europejskiej piłki. Błazen ograł kapłanów. Dziwny błazen – taki, który z nikogo nie szydzi.

MAREK LAPIS / FORUM // AGENCJA WSCHÓD / FORUM // DIAMANT STUDIOS / ALAMY / B&W // SIMON STACPOOLE / OFFSIDE / GETTY IMAGES // MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP" // ARCHIWUM PRYWATNE ALENY GROM

6 Gra pozorów
MAREK KĘSKRAWIEC

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Skansen na tablecie
MAREK RABIJ

26 Pełzająca katastrofa
PIOTR WÓJCIK: *Efekty prorodzinnych programów są mizerne. Bez otwarcia na imigrację Polska będzie się wyludniać*

29 Najmniejsza maska świata
KRZYSZTOF STORY: *Klaun uchyla drzwi i szeptem pyta o zgodę na wejście. A dziecko jest panem sytuacji*

WIARA

34 Niepewność Franciszka
MASSIMO FAGGIOLI: *Zapowiadana od lat reforma kurii rzymskiej wypadła dość blado*

38 Bezpośredni Bóg
PIOTR SIKORA: *Religia bierze się z Ducha, wobec którego wszyscy jesteśmy równi*

41 W klasztorach Anatolii
MARCELINA SZUMER-BRYSZ: *Otoczeni przez muzułmanów, tutejsi chrześcijanie nigdy nie zrezygnowali ze swojej wiary i swojego języka*

ŚWIAT

44 Wróciłam do Buczy
ROZMOWA Z ALENĄ GROM

49 Legion międzynarodowy
PAWEŁ PIENIĄŻEK SPOD CHARKOWA: *Na apel prezydenta Ukrainy do walki z Rosją włączyli się ochotnicy z zagranicy, wśród nich Polacy*

DODATEK

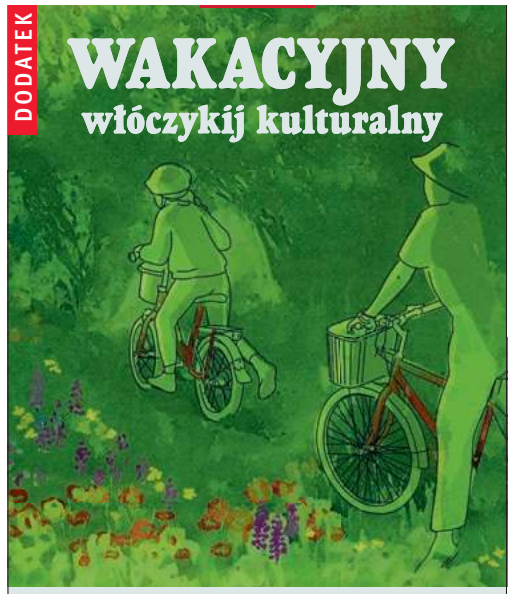

DO LASU

67 Wakacyjny włóczykij kulturalny

- Przewodnik na lato: najciekawsze festiwale muzyki dawnej i wystawy sztuki
- Sokołowsko, Szczebrzeszyn, Buda Ruska, Gdynia: jedź, czytaj
- Rowerem przez czas: od Toulouse-Lautreca do Trzcińskiego

FELIETONY

33 JACEK PODSIADŁO **43** WOJCIECH BONOWICZ
65 HANNA KRALL **103** PAWEŁ BRAVO
110 STANISŁAW MANCEWICZ
110 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
KATARZYNA SURMIAK-DOMAŃSKA
ZDJĘCIE: MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

52 Wiosenna pora wojenna
WOJCIECH JAGIELSKI: *W Afganistanie znów wybuchły walki*

HISTORIA

54 Dawno temu w Ameryce
KACPER DZIEKAN: *Kiedyś Rosjanie docierali aż do Kalifornii i na Hawaje. Pójdźmy śladami ich dawnych kolonii*

NAUKA

60 Patrzcie i podziwiajcie
ŁUKASZ SAKOWSKI

63 Co niszczy wątrobę
BARTOSZ KABAŁA: *Rośnie liczba dzieci chorujących na ostre zapalenie wątroby. Podejrzenie pada na znane wirusy*

KULTURA

90 Śni mi się nie mój strach
ROZMOWA Z KATARZYNĄ SURMIAK-DOMAŃSKĄ

95 Tłoczno
JAN BŁASZCZAK: *Dlaczego płyta winylowa nie może się stać na powrót produktem masowym?*

98 Ukrywalne mieszkanie
ŁUKASZ NAJDER: *Jak wyglądała architektura przetrwania uciekających przed Zagładą*

100 Męska matrioszka
ANITA PIOTROWSKA o *„Men" Alexa Garlanda*

102 Jawa ze snem
LEKTOR o *„Poławiaczu cieni" Erny Rosenstein*

ZMYSŁY

104 Słuchajcie, a zwyciężycie
MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona Świata
Tadżycki satrapa Imam Ali Rahman stłumił kolejne protesty w Pamirze, ubogiej i odciętej od świata krainie – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Akuszerki [Podkast Powszechny]
Wojna, niepewność losu. Jak wyjść z domu i iść do porodu? Jak powiedzieć rodzącej: nie bój się, otwórz się. Wydaj dziecko na świat? – opowiada **SABINA JAKUBOWSKA** | powszech.net/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

GRA POZORÓW

Wokół Izby Dyscyplinarnej SN narobiono tak wiele szumu, by ostatecznie zmienić tak mało. Jeśli Ursula von der Leyen przymknie oko na ten teatr, zyskamy 58 mld euro. Stracą: praworządność i prezydent.

MAREK KĘSKRAWIEC

Trzeba przyznać, że ostatni odcinek naszej politycznej telenoweli wyszedł scenarzystom. Marszałek Terlecki i minister Ziobro przeżywali kryzys w związku, grozili sobie rozstaniem, wnosili i wycofywali pozwy, a na koniec sytuacja wróciła niemal do punktu wyjścia. Jak w serialowym tasiemcu, choć jeśli przyjrzeć się ostatecznym zapisom ustawy likwidującej Izbę Dyscyplinarną Sądu Najwyższego, jakąś korektę dostrzeżemy. Zmieniła się pozycja prezydenta Dudy. To on chciał zakończyć konflikt z Komisją Europejską, podobnie jak poprzednio wygasił spór z USA wokół ustawy medialnej. Teraz również wcielił się w rolę arbitra, ale zapłacił za kompromis swoją cenę. I na dodatek nie wiadomo, czy to poświęcenie na cokolwiek się przyda, bo sejmowe uregulowania to bardziej kamyki niż kamienie milowe.

Warunkiem zgody Ziobry na likwidację Izby były zmiany w neo-KRS. Dotychczas szefował jej sędzia Paweł Styrna, który osłabiał frakcję ziobrowych „jastrzębi". Nie jest też tajemnicą, że ogromną rolę odgrywał jej wiceprzewodniczący, sędzia Wiesław Johann, przedstawiciel prezydenta. Jednak w imię zażegnania sporów w koalicji Duda zdecydował się posunąć na ławce i oddać lejce w neo-KRS Dagmarze Pawełczyk-Woickiej, koleżance Ziobry z lat szkolnych. Liczył, że w zamian za to minister sprawie-

Podczas debaty nad wnioskiem o wyrażenie wotum nieufności wobec Zbigniewa Ziobry. Warszawa, 26 maja 2022 r.

dliwości przełknie zaproponowane przez Kancelarię Prezydenta przepisy likwidujące Izbę Dyscyplinarną (jej członkowie pozostaną w SN) i zaakceptuje tzw. test niezależności sędziego, mający być gwarancją, że wyroki w Polsce wydają ludzie nieskazitelni i powołani do zawodu w zgodzie z prawem. Duda zaproponował, by po wejściu ustawy strony mogły występować do sądów o stwierdzenie, czy dotyczące ich wyroki zostały orzeczone bez naruszenia niezawisłości sędziego. Badano by m.in. sposób jego powołania – i to bardzo nie spodobało się Ziobrze, gdyż mogłoby stać się pretekstem do kwestionowania prawidłowości wyboru nominatów ministra. Sprawy badałoby pięciu wytypowanych w losowaniu sędziów, a jak wiadomo, w tym środowisku Ziobrze, mimo usilnych starań, nie udało się uzyskać wielkiego szacunku.

Ostatecznie, mimo gróźb końca koalicji i przedwczesnych wyborów, zawarto kompromis. Test niezależności pozostanie, ale nie będzie dotyczył prawomocnych wyroków, więc ludzie Ziobry mogą na razie spać spokojnie. Trzeba też przyznać, że argument ministra, który spodziewał się zalania sądów wnioskami stron, nie był pozbawiony sensu. Zwłaszcza że przepisy pozwalają kwestionować także nominacje sędziów z czasów PRL. To mogło zrodzić chaos.

Nie o taki koniec sprawy chodziło jednak Komisji Europejskiej. Zwłaszcza że obowiązek przywrócenia zawieszonych sędziów zrozumiano tak, iż np. Pawła Juszczyszyna przeniesiono bez pytania o zdanie do wydziału rodzinnego. Bez zmian pozostaje w zasadzie tylko ustalona z Brukselą nowa Izba Odpowiedzialności Zawodowej, gdzie ostatecznych wyborów dokona prezydent (i to jest jego sukces) spośród 33 wybranych losowo kandydatów.

Pozostaje pytanie, czy w obliczu wojny na Ukrainie przewodnicząca KE Ursula von der Leyen odpuści kolejny akt sporu z Warszawą, na co ewidentnie liczy Jarosław Kaczyński. W Polsce przebywa 1,5 mln ukraińskich uchodźców, nasz kraj stał się też bazą dystrybucji pomocy wojskowej dla Kijowa. Czy nam się to podoba, czy nie, dopóki bomby spadają na Ukrainę, dla Unii może się to okazać ważniejsze niż nasza praworządność. ©℗

Na Ukrainie trwa wyścig z czasem

WOJCIECH KONOŃCZUK

Rosjanie przyspieszyli ofensywę w Donbasie, dążąc do zniszczenia sił ukraińskich w okolicach Siewierodoniecka, ostatniej części obwodu ługańskiego kontrolowanej przez Kijów. Zaciekłe walki trwają również w obwodzie donieckim, którego trzecia część wciąż jest w rękach Ukraińców. Na innych kierunkach siły rosyjskie kontynuują ostrzał pozycji ukraińskich i atakują cele na ich zapleczu.

Tak w wielkim skrócie wygląda sytuacja na froncie. Moskwa najwyraźniej uznaje, że w najbliższych tygodniach może opanować cały Donbas, co pozwoliłoby Putinowi ogłosić upragniony sukces. Ewentualna wygrana w jednej operacji, bo przecież nie zwycięstwo w wojnie.

Siły ukraińskie znalazły się w bardzo trudnym położeniu. Prowadzą nie tylko walkę z wrogiem dysponującym przewagą artyleryjską i lotniczą, ale również z czasem. Ukraińcy mają bowiem szansę dotrzymać pola armii rosyjskiej, o ile przyspieszą dostawy ciężkiej artylerii z Zachodu. Bez nich utrata Donbasu i zapewne dalsza ofensywa rosyjska będą kwestią czasu. Stąd gorączkowe wezwania Kijowa, aby nie zwlekać z dostawami (w niedzielę dowiedzieliśmy się, że Polska przekazała Ukrainie 18 armatohaubic Krab). Ukraińcom nie brakuje ludzi i odwagi, lecz bez odpowiedniej broni Rosjan nie powstrzymają. A jeśli dostawy zaczną docierać na większą niż obecnie skalę, to Siły Zbrojne Ukrainy mają także szansę rozpocząć kontrofensywę.

Tymczasem Kreml wysyła sygnały o zamiarze aneksji okupowanych części Donbasu oraz obwodów chersońskiego i części zaporoskiego. Służy to też wzmacnianiu pojawiających się już w Unii Europejskiej głosów, że zakończenie tej wojny jest niemożliwe bez ukraińskich koncesji terytorialnych. Rosnące ceny surowców energetycznych, wysoka inflacja, blokada przez Rosjan eksportu ukraińskiego zboża, co napędza ceny żywności na świecie – wszystko to sprawia, że takich „realistycznych" głosów będzie coraz więcej. Choć to nie Zachód, lecz Ukraińcy ponoszą największe koszty tej wojny.

Kijów odrzuca możliwości jakichkolwiek ustępstw terytorialnych, twierdząc, że planem minimum jest powrót do sytuacji sprzed 24 lutego. Na szczęście poparcie USA dla Ukrainy jest niezachwiane, a to przecież to państwo, a nie unijne potęgi gospodarcze, jest kluczowym partnerem pomagającym Ukraińcom wojskowo i finansowo. Część państw Zachodu wciąż błądzi, uznając, że Rosja zaspokoi się aneksją części ziem ukraińskich. Im szybciej zrozumieją, że nie przyniesie to deeskalacji, lecz coś dokładnie odwrotnego – dalszą eskalację – tym bezpieczniejsza będzie cała Europa. ©

Rządowy skok na jeden procent

JEŚLI PROWADZISZ ORGANIZACJĘ pożytku publicznego albo korzystasz z jej pomocy, możesz zacząć się bać. Rząd obniżył podatek dochodowy, co wygląda na informację dobrą – w naszych kieszeniach ma zostać o 15 mld zł rocznie więcej. Tyle że obniżka to także uszczuplenie dochodów z tzw. jednego procenta.

Po ogłoszeniu zmian rząd uspakajał, że wprowadzi mechanizm łagodzący skutki mniejszych wpływów. Zapowiedział rekompensatę, której kwotę planowano rozdzielić – proporcjonalnie w stosunku do tegorocznych wpłat i strat w latach kolejnych – pomiędzy organizacje. Tyle że wkrótce zasady zmieniono. Teraz to minister finansów oraz szef Komitetu ds. Pożytku Publicznego (jest nim minister kultury Piotr Gliński) rozdzielą kwotę rekompensaty na trzy ścieżki przyznawania funduszy: proponowany pierwotnie rozdział proporcjonalny, konkurs ofert oraz – uwaga – „inny sposób wskazany przez Radę Działalności Pożytku Publicznego", czyli organ pomocniczy Komitetu. Teraz nikt nie może być pewien, że otrzyma rekompensatę.

W ramach opowiadanego lata temu żartu Waldemar Pawlak pytał, co to jest krowa, by zaraz odpowiedzieć: krowa to koń po konsultacjach międzyresortowych. Tym razem do zamiany krowy w konia wystarczyły rzekome „konsultacje publiczne" (choć przedstawiciele OPP mówią, że nikt z nimi zmian nie omawiał). W efekcie organizacje dostaną część środków nie od podatnika, a od ministra. Dostaną – albo nie. ©℗ PW

MARCIN OBARA / PAP

PROF. ANDRZEJ RYCHARD, SOCJOLOG:

Byle nie „oni”

KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI / FORUM

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Statystyczny Polak wierzy swojemu rządowi mniej niż Niemiec, Norweg, Brytyjczyk, Irlandczyk i Włoch. Za to bardziej ceni organizacje charytatywne. To wnioski z międzynarodowego badania zaufania do instytucji PERITIA.

ANDRZEJ RYCHARD: 63 proc. z nas uważa, że rząd postępuje niesprawiedliwie wobec swoich obywateli, podczas gdy w pozostałych krajach odsetek ten nie przekracza 50 proc. Równocześnie 53 proc. Polaków pozytywnie wypowiada się o organizacjach charytatywnych, przy ledwie 8 proc. ocen jednoznacznie krytycznych – to z kolei najlepszy wynik wśród badanych krajów.

Ufamy też, znacznie bardziej niż tym tradycyjnym, mediom społecznościowym i – choć relatywnie mniej niż inne nacje – naukowcom. A także, co może zaskakiwać, najbardziej ze wszystkich badanych krajów wierzymy Komisji Europejskiej.

Jak ten zestaw danych interpretować?

Wysoko cenimy tych, którzy są blisko, a także tych, którzy są bardzo daleko. Być może wierzymy, że organizacje i np. media społecznościowe mają na nas wpływ i my na nie, a równocześnie nie są manipulowane przez to, co uważamy za politykę. Z tego samego powodu dobrze nam się kojarzy Komisja Europejska – jest tak od nas oddalona, że w naszych oczach nie podlega wpływom ze strony krajowych polityków. To myślenie można streścić tak: cenię tych, na których sam mam wpływ, albo choć tych, na których nie mają wpływu mityczni „oni”.

Zaufanie do organizacji NGO to dobra wiadomość, zwłaszcza po 24 lutego.

Tak, choć bez współpracy sfery pozarządowej i rządowej długo działać się nie da.

A wysokie wskaźniki zaufania do organizacji pokazują, że sporo się zmieniło. Lata temu wybitny socjolog Stefan Nowak stworzył teorię próżni społecznej. Według niej Polacy żyją zintegrowani na dwóch skrajnych poziomach – rodzinno-przyjacielskim i narodowym. To, co jest w środku, było puste – teraz jest powoli wypełniane. Jeszcze nie tak jak np. w Skandynawii czy innych krajach, ale w sposób zauważalny. ©℗

PROF. ANDRZEJ RYCHARD *jest socjologiem, dyrektorem Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, jednego z partnerów projektu badawczego PERITIA.*

KRAJ W SKRÓCIE

NASTROJE

63 proc. Polaków uważa, że sprawy w kraju zmierzają w złym kierunku – wynika z majowego sondażu firmy Kantar Public. Głównym źródłem naszego niepokoju jest pogorszenie własnych warunków materialnych.

NIEPOKOJE

Samorządowców z kolei niepokoi centralizacja kraju i podział wśród partii opozycyjnych, ale podczas spotkania Ruchu Samorządowego Tak! dla Polski doprowadzili do podpisania deklaracji o współpracy z PO, PSL, Nową Lewicą i Polską 2050.

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

DOWCIPY

Prezydenta Dudę niepokoi, że w wieku 50 lat ma poważny problem, żeby nawlec sznurówki bez okularów. Na zjeździe Solidarności w Zakopanem poza tym tryskał humorem. „Gdy byłem w Sejmie, przypomniał mi się taki plakat skierowany do ówczesnego premiera Donalda Tuska: »Panie premierze, czy chciałby pan, żeby cewnik zakładała panu 67-letnia pielęgniarka«” – brzmiał początek opowiadanego przezeń, nieco zawiłego, przyznajmy, dowcipu.

ROZBOJE

À propos rozrywek panów w średnim wieku: 20 osób zatrzymała policja w związku z siecią klubów nocnych, działających w przeszłości pod szyldem Cocomo. Według informacji Wirtualnej Polski zatrzymanym mają zostać postawione zarzuty prania pieniędzy i rozbojów.

Polska kupuje nowoczesne rakiety

SZEŚĆ BATERII amerykańskiego systemu obrony powietrznej Patriot za ok. 10 mld dolarów. Aż 500 wyrzutni rakietowych M142 Himars, zdolnych do rażenia na dystansie od kilkunastu do 300 km (a docelowo 1000 km) – kolejne 12 mld dolarów. Może 2–3 miliardy mniej, jeśli podwozia systemu i część rakiet powstanie w polskich fabrykach.

Wojsko Polskie zbroi się w szalonym tempie. Tylko te dwie pozycje na liście zamówień MON stanowią niemal równowartość budżetu ministerstwa z dwóch ostatnich lat. Płatności oczywiście rozłożą się na lata, a dzięki ustawie o obronie ojczyzny, która zwiększyła wydatki na obronność do 3 proc. PKB, w przyszłym roku budżet resortu zbliży się do 100 mld zł.

W obliczu wojny za wschodnią granicą trudno odmawiać takim wydatkom uzasadnienia. W tym kontekście interesujący jest zwłaszcza zakup systemu artylerii rakietowej Himars, który pozwoli uzbroić w tę broń aż 27 dywizjonów.

Zdaniem gen. Mirosława Różańskiego, b. dowódcy połączonych sztabów Wojska Polskiego, inwestycja miałaby przede wszystkim efekt odstraszający. – Himarsy ustawione bezpiecznie na linii Wisły miałyby w polu rażenia obwód kaliningradzki i dużą część terytorium Białorusi, a ich połączoną siłę ognia można porównać z użyciem taktycznej broni jądrowej – mówi „Tygodnikowi” Różański. – Potencjalny agresor musiałby więc uwzględnić w planach, że jego siły mogą zostać zdziesiątkowane, jeszcze zanim przekroczą granice Polski. Tylko czy faktycznie uda się pozyskać aż tyle baterii i czy stać nas na ich eksploatację? Jedna pełna salwa ze wszystkich 500 wyrzutni kosztowałaby nawet 2 mld dolarów.

Oba zamówienia musi jeszcze zatwierdzić Kongres, ale to raczej formalność, bo USA deklarują mocne wsparcie dla sojuszników w Europie Środkowej. W przypadku M142 trzeba uwzględnić też wydajność zakładów firmy Lockheed Martin, które oddały dotąd do użytku ok. 420 wyrzutni, w tym ok. 150 dla armii USA. Roczne moce produkcyjne fabryki to obecnie 70–72 zestawy.

©℗ MAREK RABIJ

CHANDAN KHANNA / AFP / EAST NEWS

NAJPIERW BEZPIECZNE SZKOŁY, potem pomoc Ukrainie – apelował Donald Trump podczas wystąpienia na forum NRA, wpływowej amerykańskiej organizacji posiadaczy broni palnej. Wygląda na to, że myśląc o powrocie do władzy były prezydent nie cofnie się przed absurdem; wszak gdy sprawował władzę, był ścisłym sojusznikiem NRA, a słowa te wypowiedział kilka dni po tym, gdy w teksańskiej szkole z rąk uzbrojonego mordercy zginęło 19 dzieci i 2 nauczycieli. Na zdjęciu: Gabriella Uriegas, koleżanka jednej z ofiar, w ramionach matki przed siedzibą sądu w Uvalde, Teksas, 26 maja 2022 r. ©℗ ŻYM

Kolumbia: rewolucja za zakrętem

DOMA MATEJKO

Za trzy tygodnie Kolumbię czeka przełom. W pierwszej turze wyborów prezydenckich 40 proc. głosów poparcia zdobył kandydat lewicy, były partyzant Gustavo Petro. Konserwatyści zostali w tyle i wszystko wskazuje na to, że pierwszy raz będą musieli oddać władzę. Co więcej, jeśli Petro zostanie prezydentem, urząd wiceprezydentki obejmie ciemnoskóra kobieta Francia Márquez.

Druga tura wyborów odbędzie się 19 czerwca. Gustavo Petro stanie w niej do walki z Rodolfo Hernándezem, kandydatem niezależnym. Popularność Petro nie może dziwić, biorąc pod uwagę wydarzenia, jakie miały miejsce w Kolumbii w ostatnich latach. Od 2019 r. odbywały się tu masowe protesty, m.in. przeciwko reformie podatkowej, która miała uderzyć w najuboższych. Podczas manifestacji z rąk wojska i policji zginęły setki młodych.

Teraz faworyt wyborów ogłasza kres elit ekonomicznych w kraju. Gustavo Petro mówi, że stanie w obronie ofiar trwającego od ponad 60 lat konfliktu między rządem a partyzantką. W departamentach najbardziej uwikłanych w konflikt, gdzie realną władzę sprawują kartele narkotykowe i partyzanci, Petro zdobył ponad 70 proc. poparcia. Walka z handlem kokainą to jeden z głównych punktów jego kampanii – chce, aby poprzez dofinansowania dla rolników mogli oni porzucić uprawę koki. Jego przeciwnicy uważają, że ten plan jest co najmniej naiwny i niemożliwy do wykonania. Podobne próby – na małą skalę – były już podejmowane w przeszłości, jednak bezskutecznie. W części kraju nadal rządzą kartele.

Jego oponentów najbardziej niepokoi jednak fakt, że Petro chce zaprzestać wydobycia ropy w przeciągu 12 lat. Ten cel sprzeciwia się kierunkom działań obecnego rządu, którego prezydent – Iván Duque – zwiększa dostawy ropy do USA w związku z wojną w Ukrainie.

Przeciwnik Petro w drugiej turze – Hernández, 77-letni multimilioner znany z licznych skandali – jest faworytem tych, których zmęczyła walka między prawicą a lewicą, oraz tych, którzy pragną zmiany niezależnie od ceny, jaką przyszłoby za nią zapłacić. Zaledwie 28 proc. poparcia nie daje mu szans na wygraną w drugiej turze. Czerwcowe wyniki są właściwie przesądzone. Kolumbijczycy szykują się na zmianę. ©

Przyjdźcie z własną gorzałką

PEŁNĄ TREŚĆ tzw. raportu Sue Gray opublikowano w Wielkiej Brytanii – to efekt dochodzenia parlamentarnego w sprawie imprez, które odbywały się w siedzibie premiera Borisa Johnsona podczas ścisłego lockdownu. Sprawa jest dla niego wciąż politycznie groźna (w konkluzjach raportu mowa o „błędach w przywództwie i ocenie sytuacji", za które „odpowiedzialność musi ponieść kierownictwo wyższego szczebla"). I choć Johnson jest na razie bezpieczny – aby stracił władzę, musiałoby tego chcieć 54 jego partyjnych kolegów i koleżanek – przedmiotem śledztwa policji jest jeszcze tuzin imprez.

Zostawiając jednak z boku polityczny wymiar skandalu, szczegółowy raport Gray jest ciekawym, niemal antropologicznym portretem kultury brytyjskiego spożywania alkoholu i imprezowania. To, co dla wielu Europejczyków z kontynentu jest dowodem na kultury owej brak – picie na umór, wielogodzinny kac, a przede wszystkim głośność i bezpośredniość zachowań imprezujących – przedstawia się z nieco innej perspektywy, jeżeli weźmiemy pod uwagę typową (bynajmniej nie anegdotyczną) angielską rezerwę i umiar, rządzącą na Wyspach w godzinach pracy.

Organizujący imprezy podczas lockdownu urzędnicy oraz wiedzący o nich, a czasem biorący w nich udział Johnson, nie tylko naruszyli jedną z najświętszych zasad brytyjskiego społeczeństwa – bycia fair w stosunku do innych – ale w dodatku uczynili to w sprawie, która, zdaniem zajmującej się brytyjskimi zwyczajami socjolożki Kate Fox, działa niczym „odgromnik" dla brytyjskiego umiaru (nie przypadkiem w angielskich pubach zawieszona zostaje nawet zasada stania w kolejkach; o kolejności obsłużenia decyduje zwrócenie na siebie uwagi barmana).

„Przyjdźcie z własną gorzałką" – brzmiała jedna z wiadomości wysłanych z zaproszeniem na imprezę przy Downing St. 10. Ale nawet dodatkowy, kulturowy wymiar alkoholu na Wyspach nie tłumaczy oczywiście łamania reguł lockdownu. Zasada bycia fair jest tu nadrzędna. ©℗ MARCIN ŻYŁA

Słowa łagodnego potępienia

MACIEJ MÜLLER

Wbrew pierwszym doniesieniom Sobór Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego – Patriarchatu Moskiewskiego (UKP PM) nie ogłosił definitywnego zerwania z Moskwą. Potępił wprawdzie wojnę i podkreślił, że nie zgadza się ze stanowiskiem patriarchy moskiewskiego Cyryla, ale od tego droga do oderwania jest daleka – uważają eksperci. Komunikat podkreśla wprawdzie autonomię Kościoła, ale nie jest to deklaracja niezależności. Nie potępiono też postępowania Cyryla, otwarcie wspierającego Putina i jego wojnę.

„Samodzielność w zarządzaniu UKP PM ogłoszono już w 1990 r. i *de facto* pozostaje on nadal związany z Moskwą – komentował zwierzchnik niezależnego Prawosławnego Kościoła Ukrainy (PKU) metropolita Epifaniusz. – A w sprawie agresji rosyjskiej wypowiedzi Soboru są łagodne i okrągłe". Zauważył też, że UKP PM nie wznowił stosunków z patriarchą Konstantynopola Bartłomiejem (zerwała je Moskwa). Epifaniusz ucieszył się jednak z otwarcia hierarchów UKP PM na rozmowy o jedności ukraińskiego prawosławia.

Tymczasem Bartłomiej, honorowy zwierzchnik światowego prawosławia, zaapelował do Cyryla o potępienie wojny, nawet jeśli miałby to przypłacić utratą urzędu i więzieniem. Cyryl, zwolennik ideologii „russkiego miru", zdaje się jednak pewny słuszności obranej drogi. ©℗

Ksiądz Dariusz Oko zapłaci grzywnę

PODŻEGANIA DO PRZEMOCY winien jest według niemieckiego sądu teolog ks. Dariusz Oko, wciąż wpływowy w niektórych środowiskach polskich katolików duchowny, znany z zaciekłej krytyki gender i osób LGBT+. Jemu oraz ks. Johannesowi Stöhrowi, redaktorowi naczelnemu pisma „Theologisches", sąd w Kolonii nakazał zapłatę grzywien – to efekt opublikowanego w 2021 r. w tym magazynie artykułu pt. „O konieczności ograniczania klik homoseksualnych w Kościele".

Ks. Oko porównał w nim duchownych homoseksualistów do mafii zachowującej się „jak bezwzględny pasożyt, jak nowotwór, który gotów nawet uśmiercić swojego nosiciela, byleby sobie zapewnić komfortowe bytowanie". Ks. Wolfgang F. Rothe, który wniósł sprawę do prokuratury, twierdzi, że był „przerażony, iż katolicki ksiądz jest w stanie wyrazić tyle nienawiści". Postanowienie kolońskiego sądu jest prawomocne. ©℗ ŻYM

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

KARDYNAŁOWIE

Papież mianował 21 nowych kardynałów, w tym 19 z prawem udziału w konklawe. Wśród nominatów znalazł się biskup Ekwulobii w Nigerii Peter Ebere Okpaleke, który mianowany w 2012 r. biskupem diecezji Ahiara nie został przyjęty przez mieszkańców, gdyż pochodził z innego plemienia.

KONTROLA

„Nie ma nic niebezpieczniejszego dla synodalności niż wiara, że już wszystko rozumiesz" – powiedział Franciszek w przekazie wideo do Papieskiej Komisji ds. Ameryki Łacińskiej. Zdaniem papieża zbyt duża potrzeba kontroli szkodzi synodalności.

DOMENA PUBLICZNA

PIONIERKA

W wieku 85 lat w Kalifornii zmarła amerykańska teolożka Rosemary Radford Ruether. Była jedną z pionierek teologii feministycznej i jedną z najwybitniejszych jej przedstawicielek, a także jedną z nielicznych, które starały się ją ująć w sposób systematyczny.

MARNOTRAWSTWO

Przy okazji refleksji poświęconej znaczeniu uroczystości Wniebowstąpienia w felietonie dla austriackiego portalu „Heute" kard. Christoph Schönborn skrytykował „niezwykle kosztowną turystykę kosmiczną, którą rozpoczęli niektórzy miliarderzy". Metropolita Wiednia nazwał ją „skandalicznym marnotrawstwem pieniędzy w obliczu rosnącego ubóstwa na świecie".

DOMINIKA KOZŁOWSKA, PUBLICYSTKA:

Dzień katolików

GRAŻYNA MAKARA

ARTUR SPORNIAK: Czym jest Katholikentag, w którym uczestniczyłaś w Stuttgarcie?

DOMINIKA KOZŁOWSKA: To święto niemieckich katolików organizowane przez Centralny Komitet Katolików niemieckich raz na dwa lata na zmianę z ewangelickim Kirchentag. W ciągu pięciu dni przygotowano 1400 wydarzeń – dyskusji, wykładów, ale także nabożeństw, mszy i spotkań międzywyznaniowych. Wszystkiemu towarzyszyły targi, podczas których prezentowały się najróżniejsze organizacje religijne, wspólnoty i zakony.

Z jakiego powodu się tam znalazłaś?
Zostałam zaproszona do udziału w dyskusji „Strefy wolne od LGBT – czy Zachód i Wschód mogą jeszcze rozmawiać?". Chodziło o porównanie sytuacji – także religijnej – osób nieheteronormatywnych w Słowacji, Węgrzech i w Polsce.

Zauważono znaczny spadek frekwencji: zorganizowany przed pandemią Katholikentag w Münster przyciągnął blisko 100 tys. ludzi. Tym razem najbardziej optymistyczne statystyki podają 27 tys. uczestników.
Nie potrafię tego ocenić. W każdym razie pod względem różnorodności propozycji i zaangażowania świeckich spotkanie to, które można nazwać zjazdem całego Kościoła, nie da się porównać z żadnym religijnym wydarzeniem w Polsce.

Czy temat kościelnego kryzysu zdominował Dzień niemieckich katolików?
Niemcy nie tylko są jego świadomi, ale podejmują konkretne kroki naprawcze. Mam wrażenie, że są w tym o wiele dalej niż inne Kościoły lokalne. Na przykład homilię na mszy wieńczącej Katholikentag wygłosili przewodniczący niemieckiego episkopatu bp Georg Bätzing wspólnie z biblistką Katrin Brockmöller. To w Polsce wciąż nie do pomyślenia.

DOMINIKA KOZŁOWSKA *jest prezeską Społecznego Instytutu Wydawniczego Znak.*

KULTURA W SKRÓCIE

MIEJSKI GRUNT

Pierwszą Nagrodę im. Marcina Króla przyznawaną przez Fundację Batorego otrzymał nasz publicysta Rafał Matyja. Autora doceniono za książkę „Miejski grunt. 250 lat polskiej gry z nowoczesnością".

FESTIWALOWE LAURY

Dobre wieści płyną także z Cannes, gdzie Nagrodę Jury za swój najnowszy film odebrał Jerzy Skolimowski. „Io" nawiązuje do arcydzieła Roberta Bressona z 1966 r., pięknej, poruszającej opowieści o osiołku, który okazał się bardziej ludzki niż większość Homo sapiens.

DOBRY REPORTAŻ

Znamy już laureata Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego. Za najlepszy reportaż ubiegłego roku uznano książkę hiszpańskiego pisarza Andera Izagirrego pt. „Potosí. Góra, która zjada ludzi" (przeł. Jerzy Wołk-Łaniewski). To historia wyzysku boliwijskiej ludności, najpierw przez konkwistadorów i kolonistów, a obecnie przez globalne korporacje.

WARSZAWSKI STYL

Zachęcamy do obejrzenia wystawy Grażyny Hase w Muzeum Warszawy – to pierwsza tak szeroka prezentacja dorobku artystycznego twórczyni polskiej mody. Zebrano tu ponad 200 obiektów – ubiorów, dodatków i projektów z kolekcji MW, są także fotografie, filmy i publikacje prasowe. Wystawie towarzyszy bogaty program oprowadzań.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

ADRIAN WYKROTA / UAM

URSZULA HONEK, poetka i autorka publikowanych w „TP" rozmów z artystami, została Laureatką Stypendium im. Stanisława Barańczaka. Kapituła doceniła jej tomik „Zimowanie", pełen ogródków, zarastających z wolna cmentarzyków i rozpadających się domów, który stał się punktem wyjścia do opublikowanej w tym roku książki prozatorskiej „Białe noce" (zob. powszech.net/bialenoce). Poznańską Nagrodę Literacką, w ramach której przyznaje się Stypendium, ustanowili 7 lat temu prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak i prof. Bronisław Marciniak, ówczesny rektor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. ©℗ MOC

Miasto pod przykrywką

PRZEZ WIELE LAT uważano, że mieszkańcy lasów tropikalnych w południowo-zachodniej Amazonii aż do przybycia Europejczyków w XVI w. żyli w małych koczowniczych plemionach i w niewielkim stopniu ingerowali w otaczające środowisko. Wraz z odkrywaniem kolejnych śladów coraz więcej przemawiało jednak za odrzuceniem tej hipotezy.

Teraz Heiko Prümers i współpracownicy donoszą w „Nature", że kultura Casarabe, która zamieszkiwała te tereny od ok. 500 do 1400 r., zostawiła po sobie złożony system architektoniczny. Metoda lidar, polegająca na wysyłaniu i odbieraniu wiązek laserowych, umożliwiła archeologom z Niemiec i Wielkiej Brytanii szybkie wygenerowanie trójwymiarowego obrazu podłoża z rozległego, gęsto zalesionego obszaru. Okazało się, że w ukryciu znajdują się pozostałości 26 osad (w tym dwóch przekraczających obszar 100 ha), połączonych systemem dróg, grobli oraz kanałów i zbiorników wodnych. Przy murowanych kompleksach znajdowały się tarasy sięgające ponad 6 metrów nad ziemię oraz 20-metrowe piramidy. Według badaczy to pierwsza odkryta w Amazonii tego typu forma starożytnej urbanistyki agrarnej. © KATARZYNA DZIADOWICZ

Wielki Zderzacz Hadronów wraca do akcji

WZDŁUŻ 27-KILOMETROWEGO obwodu Wielkiego Zderzacza Hadronów z ośrodka CERN pod Genewą znów pędzą wiązki wysokoenergetycznych protonów. Po ponad trzyletniej przerwie modernizacyjnej ten najpotężniejszy na świecie akcelerator cząstek rozpoczął tzw. Run 3, czyli trzecią kampanię pomiarową, która potrwa do końca 2025 r. Choć dwie poprzednie nie przyniosły wyczekiwanego przełomu w naszej wiedzy o najmniejszych składnikach materii – zebranej w tzw. modelu standardowym fizyki cząstek elementarnych – fizycy są pełni nadziei, że tym razem będzie inaczej. Model standardowy jest bowiem irytująco niepełny – nie wyjaśnia natury ciemnej materii i energii, ma pewne problemy z opisem oddziaływania silnego i w ogóle nie uwzględnia grawitacji.

CERN

Co więcej, ostatnio pojawiły się mocne poszlaki, że model ten nie do końca poprawnie przewiduje własności niektórych cząstek (mionów, bozonów W i mezonów B). Właśnie na tych potencjalnych „pęknięciach" w modelu skupią się teraz fizycy. Jak donosi „Nature", po raz pierwszy będą ich w tym wspierać zaawansowane algorytmy uczenia maszynowego, zdolne dostrzec przejawy „nowej fizyki" w gąszczu danych eksperymentalnych. © TOMASZ MILLER

TEMAT TYGODNIKA

DOBRA JEST WIARA

Uwaga mediów koncentruje się na kryzysie Kościoła i przyspieszającej sekularyzacji. Ale wielu młodych ludzi nadal odnajduje w katolicyzmie swój duchowy dom.

PIOTR SIKORA

Wiara to przede wszystkim decyzja. Od momentu decyzji zaczęła się u mnie świadoma wiara. Wiara jest zaufaniem wynikającym z doświadczania Boga w codziennym życiu. Wierzący to osoby, które mają otwarte serce na Jego obecność i które uczą się Go znajdować w codzienności. Dla mnie wiara to szukanie Boga w każdej sekundzie – mówi dwudziestopięcioletnia Weronika z Łodzi, założycielka popularnych profili na Instagramie: @zbogiemsprawa oraz @kato_single.

Świadoma mniejszość

Profile Weroniki mają kilkanaście tysięcy obserwujących. Statystycznie rzecz ujmując Weronika jest jednak reprezentantką mniejszości swojego pokolenia. Jak bowiem wskazują badania socjologiczne, sekularyzacja polskiego społeczeństwa gwałtownie przyspieszyła w czasie pandemii. Dotyczy to zwłaszcza młodych Polek i Polaków – w porównaniu do 2015 r., w 2021 r. dwa razy więcej osób w wieku 18-25 lat nie pojawiało się w ogóle w kościołach. Teraz jest to już co trzeci młody człowiek, gdy regularnie na nabożeństwach bywa tylko co czwarty. Niewiele więcej wierzących znajdziemy wśród trzydziestolatków.

Młodzi, którzy zostają w Kościele, mają świadomość, iż coraz więcej ich rówieśników dokonuje ↦

MAREK LAPIS / FORUM

Spotkanie młodych Lednica 2000. Pola Lednickie koło Gniezna, 6 czerwca 2015 r.

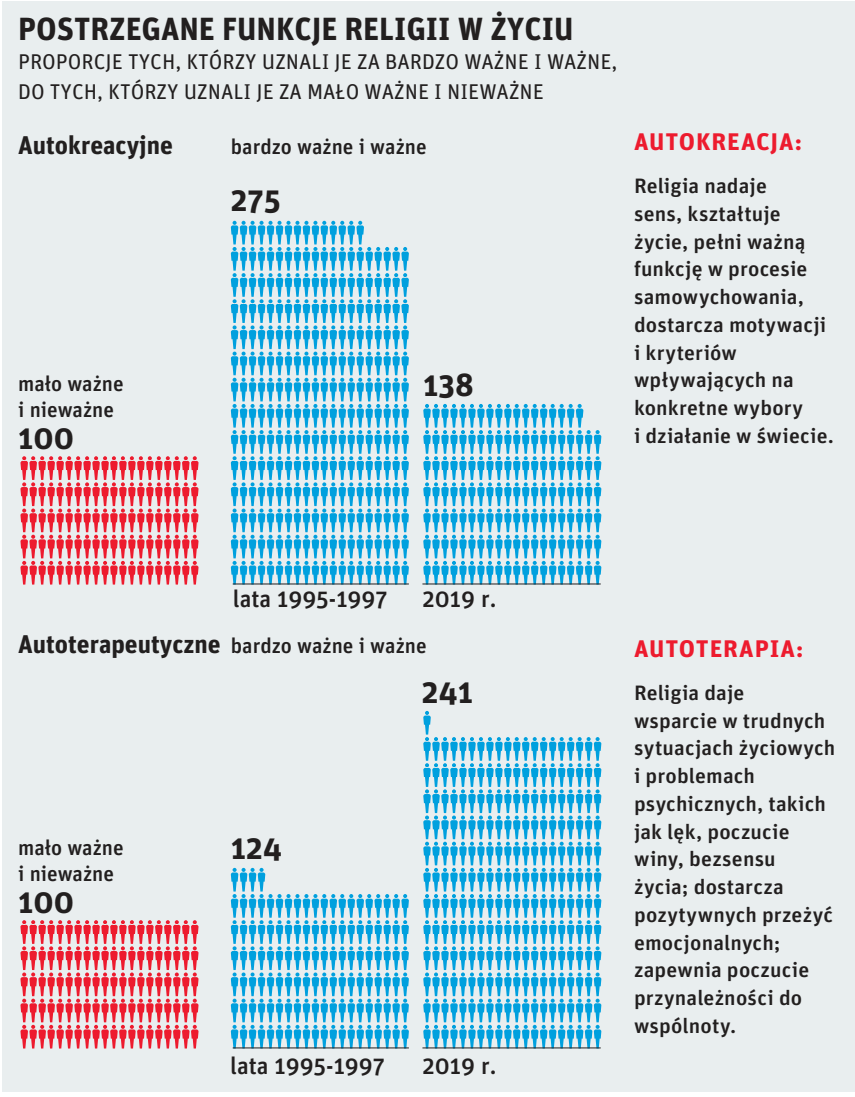

ŹRÓDŁO: BADANIA WŁASNE PROF. EWY WYSOCKIEJ WŚRÓD ŚLĄSKICH STUDENTÓW

↦ innych wyborów oraz że oni sami muszą w taki czy inny sposób bronić (choćby we własnym wnętrzu) swojej wiary.

Na przykład Maciek z Gdańska. Kościół – i bycie w nim – jest dla niego czymś oczywistym. Jego rodzice są mocno wierzący. Był uczniem katolickiego gimnazjum. Tak jak jego brat, chodził do jezuickiej wspólnoty młodzieżowej Magis. Później dołączył do duszpasterstwa akademickiego. Grał podczas mszy na gitarze. Obecnie jest liderem jednej ze wspólnot. Odpowiada za to, by każda z podgrupek miała swojego animatora, by ktoś zajął się oprawą muzyczną. Pilnuje założonego planu konferencji i pomaga organizować wyjazdy.

Że jest w mniejszości, uświadomił sobie w liceum. Był rok 2016, Czarny Protest. Na religii katecheta poprosił, żeby wstali. „Czy uważacie, że wolno zabijać ludzi?" – zapytał. Ustawienie się pod lewą ścianą oznaczało odpowiedź „nie". Pod prawą: „tak". Cała klasa stanęła więc pod lewą ścianą. Później padło kilka kolejnych pytań, ostatnie dotyczyło aborcji. Pod lewą ścianą został tylko Maciek z jednym kolegą. Cała reszta klasy przeszła na prawo.

Maciek miał poczucie, że takie postawienie sprawy nie pomoże im się porozumieć. Pamięta, że wtedy bał się odrzucenia kolegów i koleżanek. Dzisiaj, kiedy ma 22 lata – już nie. Czasem czuje tylko obawę, że zostanie niezrozumiany, że będzie uznany za fanatyka, zanim w ogóle zdąży wytłumaczyć, o co mu chodzi.

– Staram się nikomu nie narzucać – mówi. – Lubię rozmawiać, ale bez oczekiwania, że któraś ze stron zmieni zdanie. Sam musi wtedy szukać odpowiedzi na pytania, których sobie nie postawił. Znajoma lekarka przekonywała go, że polska hierarchia jest skompromitowana. I Maciek nie mógł uczciwie zaprzeczyć: – Ale czy ja jestem wiarygodny, gdy mówię, że wierzę?

To pytanie przyszło mu do głowy po raz pierwszy, gdy stał naprzeciwko swojej klasy. Pod ich spojrzeniami poczuł, że to ważne.

Wiara w mediach społecznościowych

Jeśli wiara przestaje być w młodym pokoleniu oczywistością, jak zauważa Weronika, to coraz częściej staje się świadomą decyzją młodego człowieka. W jej przypadku takim momentem była modlitwa o uzdrowienie.

– Gdy wyszłam z kościoła – mówi – musiałam zdecydować, czy jestem osobą wierzącą, bo wychowana zostałam w takiej tradycji, czy to ma być moja osobista sprawa. Gdy jesteśmy świadkami wielkich cudów, które wydarzają się na naszych oczach, gdy ktoś nam wyrywa „wygodnego Boga", który nas nie zaskakuje, jest obecny, ale nie stawia wielkich wyzwań, musimy zdecydować, czy jesteśmy w stanie przekroczyć ludzkie patrzenie na wiarę. Dotarło do mnie, że Bóg to ktoś znacznie większy i znacznie bardziej wszechmogący, niż mi się wydawało.

Zanim przyszedł moment jej decyzji, miała kłopoty ze studiami. Czuła się bezsilna: – Zaczęłam kłócić się z Bogiem, nawet trochę Go wyzywać. Jeżeli On jest, jeżeli zawierzyłam mu te studia medyczne, to dlaczego mi nie pomaga?

Przeżyła doświadczenie, które uznaje za spoczynek w Duchu Świętym: – Nie wiem, ile ten moment trwał, czy to było 5 minut, czy godzina. Ale gdy już się po tym obudziłam, życie miało inny smak i kolor. I mimo że potem przyszło jeszcze wiele ciężkich chwil, to miałam poczucie, że wszystko idzie w dobrą stronę, że wszystko, co się wydarzy, jest po coś.

Swoją działalność na Instagramie Weronika traktuje jako powołanie dane przez Boga. Myśl o założeniu konta pojawiła się w chwili niepewności, co ma robić w życiu. Szukając odpowiedzi uczestniczyła w charyzmatycznej modlitwie o powołania: – Nic z boku nie mogło mi sugerować takiej myśli. To do mnie wracało wraz z przeświadczeniem, że to nie jest od nas, ludzi. Naprawdę trzeba to zro-

bić. To jest taka myśl pod tytułem „jestem głodny i trzeba iść do lodówki". To jest takie pragnienie, które pojawia się nagle, nie wiadomo dlaczego i nie wiadomo po co.

Internet, a zwłaszcza media społecznościowe, to przestrzeń naturalna dla aktywności młodych katolików. Profile na Instagramie – choćby takie jak Weroniki. Liczne kanały na YouTubie. Albo TikTok, gdzie w 2020 r. powstał hashtag #jaramniewiara, który do dziś ma ponad 20 mln odsłon. Ewangelizujący na TikToku księża mają od kilkunastu do kilkuset tysięcy obserwujących. Aktywni są także młodzi świeccy, również obserwowani przez kilkaset tysięcy osób, a ich wpisy wzbudzają nierzadko gorące dyskusje – niektóre „świeckie" katolickie hashtagi mają po kilkanaście milionów wyświetleń.

Bywa, że młodzi aktywni świeccy są znacznie bardziej konserwatywni od obecnych na TikToku księży. Widać to np. w sporach sprowokowanych postami popularnej tiktokerki Najjjki (ponad 170 tys. obserwujących), która prezentuje poglądy radykalnie rygorystyczne. Większość obserwujących ją młodych użytkowników, także przyznających się do wiary, wyraża wobec jej postawy sprzeciw albo przynajmniej wątpliwości. Proporcje głosów w tej i podobnych dyskusjach zdają się sugerować, że wśród młodych wierzących (dla których liczy się też zdanie księży, gdyż próbują pytać aktywnych na TikToku duszpasterzy) przeważają liberalne poglądy na moralność, choć istnieje też mniejsza grupa osób konserwatywnych/rygorystycznych.

Boska terapia

Wielu socjologów wysuwa hipotezę, że widoczna w badaniach ilościowych coraz szybsza sekularyzacja młodego pokolenia jest bardziej ucieczką od Kościoła (lub w ogóle: od zinstytucjonalizowanej formy religijności) niż odejściem od wiary czy duchowości jako takiej. To przypuszczenie potwierdzałyby m.in. badania przeprowadzone przez prof. Ewę Wysocką wśród studentów śląskich uczelni. Wyniki były zaskakujące: współcześnie więcej osób deklaruje, że wiara jest dla nich bardzo ważna lub ważna, niż deklarowało to w drugiej połowie lat 90.

Największa zmiana jednak nastąpiła w tym, jaką rolę studenci przypisują tej sferze. O ile ćwierć wieku temu wiara pełniła zasadniczo funkcję „autokreacyjną", tj. była czynnikiem będącym kryterium wyborów oraz nadającym życiu sens, to obecnie ma rolę „autoterapeutyczną", tj. służy poradzeniu sobie w wymiarze emocjonalnym z życiowymi trudnościami, a także (w mniejszej liczbie przypadków) stanowi jeden z ważniejszych elementów społecznej przynależności. Zmiana jest wyraźna – o ile w latach 90. funkcje autokreacyjne dominowały u dwukrotnie większej liczby studentów niż funkcje autoterapeutyczne, to w 2019 r. proporcje się odwróciły.

> Polacy przestają się kierować moralnymi wskazaniami instytucji kościelnych. Upadek autorytetu biskupów u młodego pokolenia jest skokowy.

Z badań wynika także, że wśród studentów przeważa religijność „emocjonalistyczna" oraz – w nieco mniejszym stopniu – „tradycjonalistyczna". W tej pierwszej liczą się zasadniczo przeżycia wewnętrzne (psychiczne), mniejsze znaczenie ma konsekwencja w uczestnictwie w praktykach religijnych oraz intelektualne pogłębianie wiary. Religijność tradycjonalistyczna jest – do pewnego stopnia – przeciwieństwem emocjonalistycznej: najważniejsze jest w niej przywiązanie do doktryny i rytualnych praktyk. Wspólną cechą łączącą te dwa typy religijności jest brak pogłębienia rozumienia religijnych przekonań.

Wydaje się, że tendencje widoczne wśród śląskich studentów są zgodne z tym, co ujawnia się w wielu innych badaniach sprawdzających związki między moralnością a religią – a ściślej: tego, jaką rolę w indywidualnych wyborach moralnych pełnią instytucje religijne. Tu wyniki są jednoznaczne: wszyscy Polacy w coraz mniejszym stopniu kierują się moralnymi wskazaniami instytucji kościelnych. Upadek autorytetu tych ostatnich u młodego pokolenia jest w ostatnich latach skokowy.

Pomoc od Boga – pomaganie ludziom

Dominacja autoterapeutycznej funkcji wiary ujawnia się także wśród ludzi młodszych niż śląscy studenci – np. wśród młodzieży ze szkół średnich Krosna zbadanej przez Katarzynę Mosur. W większości odpowiedzi na pytanie, co to znaczy wierzyć, pojawiają się takie sformułowania jak: „Boga mieć głęboko w sercu"; „zaufać i powierzyć się Bogu"; „mieć w Kimś oparcie"; „pokładać nadzieję w Bogu"; „powierzać swoje życie Bogu"; „zaufać Mu"; „oddać się w ręce, pod Jego opiekę". Bez wiary – przyznają wierzący licealiści – „życie byłoby trudniejsze". Bóg, w którego wierzą, „jest kimś bliskim", „przyjacielem", więc wiara to „pomocna ręka Kogoś nadludzkiego", ona „daje mi siłę w życiu i nadzieję, że wszystko mi się uda", „pomaga mi w życiu"; wiara to „oparcie psychiczne"; „motywacja do dobrego życia"; „posiadanie Boga w sercu"; „coś, bez czego nie można przetrwać". Taka wiara „daje poczucie bezpieczeństwa", a „życie bez Boga byłoby puste". W mniejszości byli wierzący, którzy traktowali wiarę jako „przymusowe chodzenie do kościoła".

Modlitwa „jest wsparciem w trudnych chwilach", „daje radość" oraz „pociechę w trudnościach", można w niej „znaleźć odpowiedzi na pytania". Spowiedź daje „poczucie ulgi", „uwolnienia", pozwala „nie utracić więzi z Bogiem" i „żyć w łasce uświęcającej", ale także „zaznać spokoju". Ci, którzy uczestniczą w nabożeństwach w kościele, robią to, by „z innymi pomodlić się", bo „msza święta jest spotkaniem z Jezusem"; „aby spotkać Boga szczególnie w eucharystii", „porozmawiać z Bogiem"; msza święta „daje odskocznię", „spokój", w mszy młodzi szukają „pocieszenia", „pomocy u Boga", „natchnienia"; mówią: „mogę odpocząć", „zwierzam się ze swoich problemów a On zawsze mi pomaga".

Wobec Kościoła młodzi nie pozostają bezkrytyczni. Chcą, „aby Kościół był skromniejszy", by „był bardziej wspólnotą", „aby skupić się na modlitwie", żeby „msze były weselsze", a „kazania ciekawsze, mądrzejsze". Mają też bardziej radykalne postulaty: „znieść celibat", „by Kościół pozwolił na mieszkanie przed ślubem", „małżeństwa jednopłciowe", by wprowadził „wyjątki w zakazie aborcji", postulują, że „księżmi powinny być kobiety", by zmienił „naukę o antykoncepcji". ↦

Wśród młodzieży w wieku licealnym zanika społeczny wymiar wiary. Niewielu młodych z Krosna zwracało uwagę na międzyludzkie relacje, uznając np., że wierzyć to także „widzieć Boga w drugim człowieku", „być dobrym dla bliźnich", „być dobrym człowiekiem".

Ten aspekt staje się ważniejszy dla starszych. To wśród studentów i ludzi tuż po studiach można znaleźć aktywistów, którzy – jak np. członkowie warszawskiego KIK-u – jeździli na granicę polsko-białoruską pomagać uchodźcom. To ludzie w tym wieku dominują wśród wolontariuszy zaangażowanych w takie akcje charytatywne jak Zupa Na Plantach. Jak mówi jedna z nich, Monika: – Chcę przez te działania też dawać świadectwo, że wiara jest dla mnie ważna. To dzielenie się miłością, stwarzanie żywej Ewangelii w życiu codziennym.

Podobnie rzecz ujmuje Paulina, studentka jednej z krakowskich uczelni: – W „Beczce" (duszpasterstwie akademickim prowadzonym przez dominikanów) przekładamy wiarę na działania związane z różnymi akcjami charytatywnymi. To nie jest tak, że nasza wiara jest tylko wtedy, gdy przychodzimy do „Beczki" raz w tygodniu. Ważne, żeby to podejście i doświadczenia młodego, żywego Kościoła można było przenieść na codzienność.

Kryzys w życiu – kryzys w Kościele

Ale i dla tych ludzi często początek świadomego zaangażowania wiąże się z trudnymi chwilami w życiu i doświadczeniem, że Bóg – obecny w bliskiej, żywej religijnej wspólnocie – pozwala poradzić sobie z trudnościami.

– Bóg, w którego wierzę, jest miłością, to Bóg, który akceptuje, nie odrzuca, który jest w trudnych momentach – mówi Paulina: – Trudne przeżycia sprawiły, że miałam potrzebę szukania takiej transcendentnej relacji. Byłam wychowana w rodzinie katolickiej, ale bez bliższych relacji z Bogiem i kiedy nastąpił kryzys, postanowiłam sprawdzić, czy w tym Kościele kryje się coś takiego, co mi może pomóc.

Monika z Zupy Na Plantach dzieli się podobnym doświadczeniem: – Jakiś czas temu miałam wyjść za mąż. Stało się tak, że nic z tego nie wyszło. Bóg postawił na mojej drodze kogoś, kto uświadomił mi, że to nie był dobry moment na taki krok.

> Początek świadomego zaangażowania często wiąże się z trudnymi doświadczeniami w życiu i przekonaniem, że Bóg pomaga sobie z nimi poradzić.

To była najtrudniejsza i najboleśniejsza decyzja w moim życiu. Nie zostałam z tym sama, pojawiły się kolejne osoby, dzięki którym znalazłam odwagę i siłę, by sobie poradzić. To wydarzenie utwierdziło mnie w wierze. Nie straciłam wiary, ale na pewien czas straciłam nadzieję. Teraz zdaję sobie sprawę, że to właśnie Bóg wyprowadził mnie z tego. Wyszłam z ciemnej doliny. Stałam się silniejsza, bardziej szczęśliwa.

Przeżycie takich doświadczeń i odnalezienie w kościelnej przestrzeni inspiracji do pozytywnego spojrzenia na własne życie sprawia, że zło, w które uwikłane są kościelne instytucje, nie jest dla nich powodem opuszczenia Kościoła.

– W dniu, w którym głośno stało się o Pawle M. – mówi Weronika – jedna ze znanych w Kościele postaci medialnych napisała, że jej noga więcej nie postanie u dominikanów. Tego samego dnia szłam do mojego duszpasterstwa u dominikanów na eucharystię. Powiedziałam na Instagramie, że ja idę do tych dominikanów, bo mam wrażenie, że życie z Bogiem daje łaskę nieskupiania się na złu, tylko pielęgnowania dobrego. Wiem, że w Kościele jest bardzo dużo krzywdzących osób, ale to mnie nie zniechęca, bo mam też doświadczenie wszystkiego, co piękne.

Monika, na pytanie o kryzys w Kościele, odpowiada: – Trzeba to traktować jednostkowo. Kościół to nie jest tylko zło, to nie są ludzie, którzy tylko krzywdzą, którzy mają złe podejście. My też ten Kościół tworzymy, dlatego powinniśmy dawać szansę Kościołowi, kiedy błądzi. To bardzo bolesne, kiedy słyszę o sytuacjach, w których ksiądz skrzywdził kogoś młodego, kogoś ufnego. Nie jestem w stanie tego zrozumieć. Ale trzeba też szukać dobra. To wymaga dużej wiary, nie wiem, czy moja wiara jest właśnie taka, ale staram się szukać i ufać.

Wtóruje jej Paulina: – Zawsze, jak komuś dzieje się krzywda przez ludzi Kościoła, to są te najtrudniejsze chwile. Ale znów trzeba wrócić do tego patrzenia, że to są ludzie. Moja relacja z Bogiem zaczęła się też przecież od tego, że zawiodłam się na ludzkim podejściu. Te wszystkie złe rzeczy to nie Bóg. Zdarza mi się wątpić w Kościół, ale nie w Boga. On jest ponad tym.

Maciek chciałby żyć tak, żeby zainspirować znajomych do własnych poszukiwań. Chciałby, żeby – skoro trzeba – wierzący zainspirowali do nawrócenia niektórych biskupów. Nie uważa, żeby w Kościele był teraz szczególny kryzys: – Kościół był w kryzysie od dawna, a teraz to widać. O kryzysie mówią ci, którym wygodnie było wcześniej.

Maciek widzi w tym, co się dzieje, ewolucję. Nie jest zły na swój Kościół. Sądzi, że pokora jest ważna. Rozumie jednak rówieśników, którzy odchodzą. On sam – nie mógłby. Nie w zgodzie z samym sobą: – Przez Kościół mogę złożyć moje pojedyncze doświadczenia w spójną całość. Dostrzec ich większy sens. Dzięki temu sensowi czuję, że życie nabiera smaku. I nie sądzę, żebym mógł to znaleźć gdzieś indziej.

©℗ PIOTR SIKORA

Współpraca: Artur Sporniak, Jan Rybicki i Jacek Taran

Korzystałem z:

- Ewa Wysocka, „Religijność młodzieży studenckiej – przypisywane religii znaczenia w życiu codziennym (dwie dekady zmian)", „Przegląd Religioznawczy" 4 (274)/2019
- Łukasz Juda, „#Jaramniewiara. Ewangelizacja online na platformie TikTok", „Media i Społeczeństwo", 14/2021
- Katarzyna Mosur, „Religijność młodzieży. Wybrane aspekty badań jakościowych", https://journals.indexcopernicus.com/api/file/viewByFileId/968091.pdf, dostęp: 25.05.2022
- Krystyna Skarżyńska (red.), „Młodzi dorośli: identyfikacje, postawy, aktywizm i problemy życiowe", Warszawa 2021

Kościół to my

JACEK TARAN

Protest przeciwko zaostrzeniu prawa aborcyjnego. Kraków, 30 października 2020 r.

IRENA BOROWIK, SOCJOLOŻKA RELIGII:

Spora część młodych zaangażowanych religijnie potrafi odróżnić wspólnotę, w której istnieją bezpośrednie więzi, od hierarchicznej instytucji.

PIOTR SIKORA: Badania ilościowe pokazują, że wśród młodzieży radykalnie przyspiesza sekularyzacja. Co wiemy o tych, którzy zostają?

IRENA BOROWIK: Wolę nie określać ich jako zostających w Kościele, lecz jako osoby, które były i dalej są religijne. Ale socjologowie z nimi mają kłopot. Właściwie nie ma badań ilościowych na tak dużej próbie, by reprezentacja młodych mocniej związanych z religią i Kościołem była wystarczająco liczna do prowadzenia pogłębionych analiz. Natomiast badania jakościowe prowadzone są na próbach, które nie są reprezentatywne. Nie można wniosków z tych badań rozciągać na całość młodego pokolenia ani nawet na tę jego część, która jest religijna. Dają one tylko pewne sugestie, tropy do wysuwania ewentualnych hipotez, spekulacji – z wykorzystaniem wiedzy uzyskanej z szerszych badań socjologicznych oraz znajomości pewnych mechanizmów społecznych i psychologicznych.

Rozumiem zastrzeżenie, ale ciekawią mnie te hipotezy.

Zróżnicowanie wśród osób zaangażowanych religijnie odzwierciedla zróżnicowanie religijności ogółu Polaków i zróżnicowane reakcje na to, co nazywamy kryzysem w Kościele.

Prowadzone przeze mnie na początku lat 2000 badania biograficzne, podczas których młodzi opowiadali o swoim życiu i religijności, pozwoliły wyodrębnić grupę „core Catholics" – „rdzennych katolików". Jej najbardziej charakterystyczną cechą było doświadczanie i przeżywanie wiary. Oddawały to takie zwroty w biograficznych narracjach, jak np. „Bóg poruszył moje serce", „wierzę, że Bóg zawsze mnie wysłucha", „Bóg jest najważniejszy w moim życiu". Część z badanych współtworzyła małe nieformalne grupy, których celem było pogłębianie własnej religijności, dyskutowanie Pisma Świętego, zwiedzanie świętych miejsc i wspólna modlitwa. Z kolei na drugim krańcu byli młodzi, którzy już się oddalili od religii i zdystansowali od Kościoła. Osoby te traktowały Kościół jako przede wszystkim instytucję, krytykowały, często przez pryzmat własnych negatywnych doświadczeń, księży i katechetów. Padało w tych wywiadach wiele przykładów, czasem szokujących nawet dla badaczki.

Ale co z tymi, którzy są religijni?

No właśnie... Wyrobiłam sobie wówczas przekonanie, że znaczna część młodzieży, także ta trzecia, pośrednia kategoria („Jestem katolikiem – ale bez przesady") czuje się w Kościele rzymskokatolickim w Polsce uprzedmiotowiona, pozbawiona sprawczości. Jeśli uznać moje ówczesne rozpoznanie za trafne, to dzisiaj tak jest tym bardziej. I dość prawdopodobne, że dotyczy to także przynajmniej części młodych katolików mocno w religię zaangażowanych.

Ale istnieje sporo przesłanek, by sądzić, że duża część ludzi, którzy pozostają związani z Kościołem, myśli i czuje: Kościół to my. Spora część z nich jest zaangażowana w nieduże wspólnoty, w których istnieją bezpośrednie więzi. Dlatego potrafią oddzielić od siebie rzeczywistość wspólnoty religijnej tworzonej przez ludzi wierzących od instytucji religijnej.

Taka perspektywa pozwala pogodzić ze sobą rzeczy, które z zewnątrz wydawałyby się trudne do pogodzenia. Mianowicie to, że można krytykować Kościół instytucjonalny, mieć za złe hierarchom to czy tamto, uznając, że czym innym jest wiara religijna, bezpośrednie odniesienie do transcendencji, i czym innym wspólnota ludzi wierzących – w sensie wartości i więzi, a czym innym „oni" – biskupi stanowiący hierarchiczny Kościół.

A jak jest z innymi parametrami religijności?

Z badań wynika, że najsłabiej powiązana z nimi jest moralność. Dotyczy to też jej źródeł: czy religia jest uznawana za istotne źródło wyborów moralnych. ↦

↦ Okazuje się, że u większości – nie. Młodzież w bardzo małym stopniu akceptuje nauczanie Kościoła na temat nierozerwalności małżeństwa, współżycia przed ślubem, antykoncepcji.

To cecha nowoczesności. Ludzie uważają – a młodzi w tym przodują – że człowiek jest sam dla siebie źródłem decyzji. Sumienie, a nie autorytety zewnętrzne, wystarcza, by podejmować etycznie słuszne decyzje.

Czy zbadano związek między religijnością młodych a ich preferencjami politycznymi?

Tuż przed pandemią zdążyliśmy w zespole, którym kieruję, zrobić ogólnopolskie badania na temat związków między deklaracjami religijności a stosunkiem do trzech tematów biopolitycznych – in vitro, aborcji i homoseksualności. Jeszcze analizujemy te materiały. Na razie wyróżniliśmy kilka klas religijności – w całej próbie oraz, osobno, dla samych katolików, których – wedle deklaracji – było 82 proc. Wśród katolików udało się wyróżnić trzy klasy religijności. Klasa najbardziej zaangażowanych katolików to ci, którzy akceptowali całość doktryny teologicznej i odczuwali silną więź z Kościołem. Co jednak znamienne, nawet wśród nich tylko połowa zgadzała się w biopolitycznych kwestiach – wziętych łącznie – z oficjalnym nauczaniem Kościoła. Grupa środkowa i najmniej religijna były jeszcze bardziej zdystansowane. Co może zaskakujące, młodzież nie wyróżniała się szczególnie w stosunku do ogółu, choć różnice między najmłodszymi i najstarszymi były widoczne.

> Ludzie uważają – a młodzi w tym przodują – że człowiek jest sam dla siebie źródłem decyzji. Sumienie wystarcza, by podejmować etycznie słuszne decyzje.

Nie wyróżniają się od nieco starszych pokoleń?

Poza tym, że sekularyzacja wśród nich najbardziej przyspiesza. Jedna trzecia młodych w ciągu ostatnich pięciu lat odeszła od Kościoła.

Trafiłem jednak na badania prof. Ewy Wysockiej dotyczące religijności śląskich studentów. Porównywała wyniki z końca lat 90. i z 2019 r. i okazało się, że w 2019 większy procent badanych deklarował, że wiara jest dla nich ważna. Różnica polegała na zmianie funkcji wiary: ćwierć wieku temu była to głównie funkcja autokreacyjna, tj. związana z kształtowaniem życia, podejmowaniem określonych wyborów, a teraz wiara ma funkcję zasadniczo autoterapeutyczną, służy radzeniu sobie z trudnościami. Jak Pani Profesor to skomentuje?

Jak sama prof. Wysocka zastrzegała, próbka badanych w 2019 r. była mała w porównaniu do tej z lat 90. Więc ja bym była ostrożna, zwłaszcza tam, gdzie mowa o wzroście znaczenia wiary wśród studentów. Przecież studenci wchodzą w skład grupy wiekowej, która – wedle szerzej zakrojonych badań – w znacznej mierze odchodzi od religii.

Bardziej wiarygodna jest konkluzja dotycząca aspektu autoterapeutycznego. Są badania, które pokazują, że więcej ludzi wierzy w anioły, które niosą pomoc, niż w diabły. Zgadza się to z tymi koncepcjami socjologicznymi, wedle których w kontekście globalizacji wyobrażenia religijne zmieniają się tak, że obraz Boga surowego, wymagającego, karzącego traci na znaczeniu na rzecz obrazu Boga jako przyjaciela, symbolu miłości, trochę takiego Boga-psychoterapeuty.

A w kościelnej wspólnocie zostają z podobnych powodów?

Jakaś część tak. Ale można zauważyć jeszcze jedną istotną i utrzymującą się tendencję.

Zarówno w moich badaniach biograficznych z początku lat 2000, jak i w dużo późniejszych Sławomira Mandesa i Marii Rogaczewskiej, którzy też przeprowadzali pogłębione wywiady z młodymi dorosłymi (ok. trzydziestki), ujawnia się

STRONA ŚWIATA:
podkast Wojciecha Jagielskiego

Co dwa tygodnie Wojciech Jagielski – pisarz, były korespondent wojenny, specjalista od spraw Afryki, Kaukazu i Azji Środkowej, jeden z najwybitniejszych europejskich reporterów – w rozmowie z **Krzysztofem Storym** opowiada o najciekawszych wydarzeniach na świecie.

Słuchaj na **TygodnikPowszechny.pl/podkast** oraz na

Wspieraj na:

TYGODNIK POWSZECHNY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
PATRONITE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. ALBERT ZAWADA DLA „TP"

podobny obraz religii, dominujący wśród osób uważających się za wierzące. Chodzi o wyraźny motyw indywidualizowania się form przeżywania wiary przez młodych. Nie zawsze są silnie przywiązani do Kościoła, ale w religii odnajdują pewne wartości, które są ważne w ich życiu – np. świętowanie. Dla części z nich istotne są wartości rodzinne, zaś nauczanie katolickie oferuje im ramy, w których interpretują doświadczenia relacji z odmienną płcią, układają stosunki w rodzinie, sposób wychowania dzieci. Część z nich, choć nie krytykuje Kościoła, nie odnajduje się w zbiorowym praktykowaniu religii. Są tacy, którzy wolą wejść do kościoła, gdy jest pusty, i samotnie – jak mówią – „obcować z Chrystusem". Religia to dla nich przede wszystkim indywidualna więź z Bogiem.

Mówi Pani o badaniach sprzed 20 i 10 lat – że tu od strony „jakościowej" nie ma istotnych zmian. Czy można więc przypuszczać, że teraz jest podobnie?

Tak, mam sporo przesłanek, by sądzić, że ten motyw indywidualnej, osobistej ważności religii cały czas jest kluczowy w przypadku młodych religijnych osób. Natomiast jeśli chodzi o wspólnotę, to jej pozytywny wizerunek od dłuższego czasu kształtują nie instytucje, lecz znane, najczęściej osobiście, i cenione osoby – dobrzy katecheci, duszpasterze, którzy potrafią tworzyć wspólnotę cechującą się bliskimi, pozytywnymi więziami. Popularne

JACEK TARAN

PROF. IRENA BOROWIK jest religioznawczynią i socjolożką religii, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prowadzi Pracownię Społecznych Badań nad Religią w Instytucie Socjologii UJ.

są też nowe formy wydarzeń religijnych, w rodzaju rozmaitych festiwali. Przewija się motyw zaangażowania emocjonalnego i działań wspólnych z rówieśnikami, który ma spontaniczny charakter.

Można też zauważyć popularność specyficznych grup tworzonych przez ludzi Kościoła. Choćby męskich stowarzyszeń katolików, najczęściej młodych. Poszukiwanie i dawanie odpowiedzi na pytanie, co to znaczy być mężczyzną, jak budować swoją męskość z zastosowaniem zasad religijnych katolicyzmu. I to nie do końca jest tylko psychoterapeutyczne. Łatwo dziś znaleźć psychoterapeutę, coacha, a w tego typu aktywności chodzi też o odniesienie do transcendencji. Ważne są relacje rówieśnicze, emocje – ale właśnie w odniesieniu do sacrum. A poszukiwanie emocji, przeżycia, osobistego doświadczenia, jak argumentuje wielu socjologów religii, jest cechą współczesnej kultury, i ta tendencja ogarnia też religię.

W mediach społecznościowych można znaleźć aktywnych młodych, którzy prezentują rygorystyczne poglądy doktrynalne i moralne, np. potępiają tych, którzy by chcieli wierzyć, a jednocześnie współżyć przed ślubem.

Nie dziwi mnie to. Młodość to czas ekstremalnych postaw. Dlatego młode pokolenie jest bardzo zróżnicowane. Oprócz tych, którzy wierzą na swój własny sposób, istnieje też grupa ludzi mocno związanych z kościelną instytucją. Ci ludzie chcą jej bronić, nawet gdy na jaw wychodzą jej niezbyt szlachetne działania. Gdy pod tzw. oknem papieskim odbywał się protest – głównie młodych ludzi – przeciw wypowiedziom abp. Jędraszewskiego o „tęczowej zarazie", zorganizowano kontrdemonstrację, na której również widać było osoby młode. Dla pewnej grupy młodych Kościół instytucjonalny jest niepodważalnym autorytetem.

Nie da się więc dać prostej odpowiedzi na pytanie, jacy są młodzi religijni Polacy. Są zróżnicowani, a nawet podzieleni. Odzwierciedla to podziały katolicyzmu w Polsce.

©℗ Rozmawiał PIOTR SIKORA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Pustynia

„A DZIADZIO MYŚLAŁ: CO TU TYLE NASYPALI piasku?" – żartował sobie Marian Hemar, wspominając bynajmniej niewesoły pobyt na libijskiej pustyni. Tymczasem hebrajska „pustynia" jest jak eskimoski „śnieg" – zdumiewa mnogością nazw. W semickim kręgu kulturowym mamy ciję, jeszimon, midbar, arawę, szemamę, szaraw... Wprawdzie pustynia kojarzy nam się przede wszystkim z piaskiem, tymczasem występuje też w innych odmianach: ilastej, żwirowej, kamienistej bądź skalistej. Powierzchnię ergu tworzą wydmy piaszczyste. Kewir pokryty jest spękanym iłem z wykwitami węglanu wapnia, gipsu i soli kamiennej. Wiatr szlifuje żwir na powierzchni seriru. Złomiska skalne tworzą pustynię kamienistą. Lite skały hamady pokrywają się glazurą pustynną z wytrącających się tlenków krzemu, żelaza i manganu.

Z jednej strony pustynia to „złe miejsce" (Lb 20, 5) lub „straszliwa ziemia" (Iz 21, 1), gdzie na człowieka czyha pragnienie, skorpiony i śmierć. Spróbujmy jednak spojrzeć nań z innej perspektywy, a ukaże nam się w zupełnie nowym świetle. To właśnie na pustyni formuje się naród żydowski – nie powstaje na gruzach, z zaprzeczenia, ale od podstaw, jako nowy twór. Tu zostaje zawarte przymierze między Najwyższym a Jego ludem i Izrael otrzymuje swoją konstytucję – Torę. Pustynia stanowi punkt wyjścia, nowy początek, potencjał bez obciążeń. Simone de Beauvoir nie wydaje się być bardzo przygnębiona, gdy wyznaje: „Jestem na rozdrożu z pustymi rękoma".

Dość zaskakująca jest zbieżność lingwistyczna słów *MeDaBeR* (mówi) i *MiDBaR* (pustynia): należą one do tej samej rodziny wyrazów. Pustynia przemawia do nas miriadą głosów. Tutaj nic nas nie rozprasza – możemy bez przeszkód wsłuchiwać się w gorący oddech chamsinu. Doświadczać „miejsca", gdzie Mojżesz ujrzał krzew gorejący, który się nie spala.

Talmud powiada, że ucząc się Tory mamy być jak midbar. Cóż to oznacza? Słowa Bożej Nauki są przyrównywane do wody. Czy mamy Ją spijać spękanymi z pragnienia wargami? Tak, jak rzecze psalmista: „Pragnie Cię moja dusza, tęskni za Tobą moje ciało w ziemi pustyni i zmęczenia brakiem wody" (63, 2). A może powinniśmy przyjąć Ją taką, jaka jest: wyzbyć się naleciałości i wszelkich założeń z góry – być elastyczni i gotowi, otwarci na nowe światy, które przed nami odsłoni?

Kto choć raz był na pustyni, ten nigdy nie zapomni owego doznania wyjątkowej bliskości gwiazd. Tu wszystko odczuwa się silniej: od prażącego upału za dnia po przenikliwy chłód nocy. Jeremiasz porównuje Izraela do młodej żony, która przylgnęła do swego Oblubieńca na „pustyni, ziemi nie obsianej" (Jr 2, 2). Gdy zaś Izrael wraca z egipskiej niewoli ku swemu Panu, z piersi Salomonowej wyrywa się Pieśń: „Kimże jest przychodząca z pustyni?" (3, 6). ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Zesłanie Ducha

JEZUS WIEDZĄC, ŻE ZBLIŻA SIĘ JEGO ŚMIERĆ, i że dla apostołów będzie to czas głębokiego załamania, chcąc ich na te doświadczenia przygotować, mówi: „Wspomożyciel – Duch Święty, którego Ojciec pośle w moim imieniu – pouczy was o wszystkim oraz przypomni wszystko, co wam powiedziałem". Ta obietnica już się spełniła, a dowodem na to jesteśmy my, to znaczy Kościół, i to nie jeden, powiedzmy: katolicki czy ewangelicki, ale wszystkie. Coraz mocniej przekonujemy się również, że wyznawcy innych religii oraz ateiści mają tego samego Ducha, co i my. Przecież w tym naszym świecie, w którym nieustannie przeplata się Betlejem z Golgotą, góra błogosławieństw z górą kuszenia, bywają takie wydarzenia, w których, jako lud Boży, nie tylko jednym głosem mówimy, ale też działamy. Duch Boży przecież nie zaistniał i nie zaczął działać dopiero w dzień Pięćdziesiątnicy, ale jest i działa od wieków, od nieskończoności w nieskończoność. Dlatego ciągłe przyzywanie Ducha, „przyjdź Duchu Święty, ja pragnę", szukanie Go w nadzwyczajnych przeżyciach, uzurpowanie sobie specjalnych uzdolnień do „dysponowania" Nim – budzą słuszne podejrzenie, że mamy do czynienia z brakiem wiary w słowo Boże.

Paweł Apostoł pisze: „Ci, których prowadzi Duch Boży, są synami Bożymi. Nie przyjęliście przecież ducha niewoli, aby trwać w lęku, ale przyjęliście Ducha, który czyni was dziećmi. W Nim wołamy: Abba, Ojcze! Właśnie ten Duch zaświadcza naszemu duchowi, że jesteśmy dziećmi Boga. A jeśli jesteśmy dziećmi, to i dziedzicami, dziedzicami Boga i współdziedzicami Chrystusa, o ile razem z Nim cierpimy, abyśmy też wraz z Nim doznawali chwały". Jeśli więc kogoś należy prosić o przyjście, to siebie, a nie Boga, jeśli kogoś się bać, to siebie, a nie Boga, i jeśli kogoś przepraszać, to nie Boga, ale siebie z Bogiem przeprosić, odwrócić się do Boga twarzą, a nie plecami.

Słuchając próśb o wylanie Ducha, można odnieść wrażenie, że jest On kimś na wzór hiperpsychiatry, który, jeśli się Go odpowiednio poprosi, czyli wymodli, zapewni człowiekowi bezstresowe życie. A przecież Duch Boży jest nie tylko łagodnym powiewem wiatru, ale też ogniem, i potrafi zburzyć człowiekowi świat. Gdy Jezus przypomniał apostołom, że za niedługo zostaną „ochrzczeni Duchem Świętym", oni jak na komendę zapytali: „Panie, czy teraz na nowo przywrócisz królestwo Izraela?". Wtedy usłyszeli: „Nie możecie znać czasu ani chwili, które zastrzegł sobie Ojciec. Otrzymacie jednak moc Ducha Świętego, który zstąpi na was, i staniecie się moimi świadkami w Jeruzalem, w całej Judei, w Samarii i aż po krańce ziemi". A to znaczy, że ich zadanie nie polega na podpowiadaniu, jak zdobyć życzliwość Boga, ale na współdziałaniu z Nim. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Smutek – radość

„Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Wy będziecie płakać i zawodzić, a świat się będzie weselił. Wy będziecie się smucić, ale smutek wasz przemieni się w radość" – mówi Jezus do swoich uczniów na Ostatniej Wieczerzy (J 16, 20). Czy są to jedynie słowa równie koniecznej, co doraźnej pociechy, przygotowujące ich na dwa najbliższe dni? Słowa, które mają ich przeprowadzić do radości „Trzeciego Dnia"? Przetrzymać „smutek" Jego aresztowania, procesu, haniebnej śmierci i grobu? W nadziei (a nawet wręcz w pewności): „Będzie dobrze! Przecież sam to powiedział!"?

A może jednak to nie tylko doraźna, uprzedzająca pociecha (z polem widzenia obejmującym dwie doby)?

Może to ponowne sformułowanie normy – dyscypliny – ukrytej w błogosławieństwie: „Błogosławieni [jesteście] wy, którzy teraz płaczecie, albowiem śmiać się będziecie" (Łk 6, 21) i „Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni" (Mt 5, 4). I wtedy wcale nie chodzi o przetrwanie najbliższych 48 godzin, lecz o właściwe przejście przez całe życie – z perspektywą wieczności.

Czy nie jest tak, że rzeczywiste spotkanie z Bogiem dokonuje w naszym życiu odwrócenia porządku? Czy nie odkrywamy tego, jak dalece to, co „świat" uważa za słodkie, w naszych ustach (a jeszcze bardziej w naszych wnętrzach) pozostawia gorycz? I odwrotnie: to, co wszyscy uważają za gorzkie – w spotkaniu z Bogiem okazuje się słodkie? Czy nie jest tak, że to, bez czego inni często nie wyobrażają sobie życia, dostrzegamy w wierze jako zabójcze? I czy – odwrotnie – nie zdarza się aż nader często, że tam, gdzie wszyscy inni widzą śmierć, chrześcijanin widzi początek nowego życia?

Bóg odwraca porządek. Jakby stawiał nas i nasz świat na głowie. „Jakby" – ponieważ w rzeczywistości stawia go wreszcie na nogach, z głową wzniesioną do góry.

Błogosławieni – szczęśliwi – jesteście wy, którzy płaczecie. Ta odwrotność – ten nonkonformizm – czy to jedynie chęć zaznaczenia swojej odmienności?

Nie. Jezus mówi: to proces i ból rodzenia – „Kobieta, gdy rodzi, doznaje smutku, bo przyszła jej godzina. Gdy jednak urodzi dziecię, już nie pamięta o bólu – z powodu radości, że się człowiek na świat urodził" (J 16, 21).
Nie. Nie jesteśmy odwrotnością dla zasady. Nie jesteśmy z definicji sprzeciwem i protestem wobec każdego i wszystkiego. Chcemy dawać życie – jak Paweł: „dzieci moje, które rodzę ponownie, aż Chrystus się w was ukształtuje" (zob. Ga 4, 19). ©

Cisza jest mową ojczystą Boga. Wszystko inne to tylko niedoskonałe przekłady.

THOMAS KEATING OCSO

Opróżnij serce z wszystkiego oprócz dążenia do doskonałości. Wyobraź sobie, że ciało jest puste i że wszystkie myśli z niego wyleciały. Pojawi się prawda.

SUFI AL-HUDŻWIRI

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (5 – 12 VI)

Niedziela Zesłania Ducha Świętego: Dz 2, 1-11; Ps 104; Rz 8, 8-17; J 14, 15-16. 23b-26;
Poniedziałek: Rdz 3, 9-15. 20 lub Dz 1, 12-14; Ps 87; J 19, 25-27;
Wtorek: 1 Krl 17, 7-16; Ps 4; Mt 5, 13-16;
Środa: 1 Krl 18, 20-39; Ps 16; Mt 5, 17-19;
Czwartek: Iz 6, 1-4. 8 lub Hbr 2, 10-18; Ps 23; J 17, 1-2. 9. 14-26;
Piątek: 1 Krl 19, 9a. 11-16; Ps 27; Mt 5, 27-32;
Sobota: Dz 11, 21b-26; 13, 1-3; Ps 98; Mt 10, 7-13;
Uroczystość Najświętszej Trójcy: Prz 8, 22-31; Ps 8; Rz 5, 1-5; J 16, 12-15.

SKANSEN NA TABLECIE

Poczta jest jak Polska. Od frontu dużo Jana Pawła II i pierogi w książkach kucharskich kolejnych zakonnic. A od zaplecza bałagan i wyzysk. Nie wierzysz? Spytaj listonosza.

MAREK RABIJ

AGENCJA WSCHÓD / FORUM

Podlasie, gmina Suchowola, maj 2020 r.

Niebieskie drzwi prowadzące na zaplecze urzędu są otwarte. Dyżurka świeci pustkami. Nieco dalej, na schodach, co kilka stopni stoją skrzynki z korespondencją. Część już przejrzana i spięta gumkami. Reszta, wsypana luzem, piętrzy się w chybotliwe stosiki. Pod ścianami worki z nieposortowanymi jeszcze przesyłkami. Nad nimi, na korkowej tablicy, wisi plakat zachęcający do podjęcia pracy listonosza.

– Ja właśnie w tej sprawie – lekko speszony wyjaśniam ochroniarzowi, który dogonił mnie na schodach. – Na rozmowę kwalifikacyjną z panią naczelniczką.

– A, to schodami na górę proszę. Pierwsze piętro, a tam już ktoś pana pokieruje. Trafi pan?

– Tak. Tylko żebym z nerwów w jakieś listy nie wdepnął.

– Nie pan pierwszy i nie ostatni – odkrzykuje ochroniarz.

„Być kowalem swojego okrętu"

Pani naczelnik jest zajęta. W jej imieniu rozmowę poprowadzą dwie miłe urzędniczki. Miały moje CV z elektronicznego systemu rekrutacyjnego Poczty Polskiej, za pośrednictwem którego odpowiedziałem na jedną z dziewięciu ofert pracy dla listonoszy w Krakowie, ale gdzieś im się zawieruszyło. Całe szczęście. Żeby ukryć intencje reportażu wcieleniowego, musiałem w nim oszczędnie gospodarować prawdą o dotychczasowej ścieżce kariery. Jako kandydat na listonosza – a może nawet listonosz – dowiem się najszybciej, dlaczego aż tyle miejsc pracy czeka na obsadzenie.

Niepokojące doniesienia o wakatach i spowodowanych przez nie problemach z dostarczaniem poczty docierały do redakcji „Tygodnika" od miesięcy. Biuro prasowe Poczty Polskiej nie podało nam jednak danych o liczbie nieobsadzonych stanowisk, poprzestając na stwierdzeniu, że „największe zapotrzebowanie kadrowe na listonoszy (...) odnotowuje na ścianie zachodniej, gdzie polski rynek pracy musi mierzyć się z lepiej płatnymi, zagranicznymi ofertami zatrudnienia".

Poczta Polska zatrudnia obecnie 22,5 tys. listonoszy. W ub. roku każdy z nich dostarczył średnio po 40,4 tys. listów. Statystyczny polski listonosz co-

dziennie wyruszał więc w teren z ok. 160 przesyłkami (w jego rewirze jest zazwyczaj ok. 550-560 adresów). Na pierwszy rzut oka – nieźle. Pocztowa rzeczywistość – jak przyznają nawet panie od rekrutacji – jest jednak bardziej skomplikowana od statystyk.

– Będą dni, zwłaszcza przed Gwiazdką, kiedy ośmiu godzin nie starczy na rozniesienie wszystkiego i rozliczenie się z niedoręczonych przesyłek. A ludzie czekają. Dzieci na prezenty, dorośli na dokumenty. Rozumie pan – świdruje mnie spojrzeniem urzędniczka.

Chwila. Czyżby Poczta Polska, największy pracodawca w kraju, mający na liście płac blisko 81 tys. nazwisk, do tego należący w 100 proc. do Skarbu Państwa, tolerował łamanie Kodeksu pracy? Odpowiedzi na to pytanie nie poznam podczas rozmowy kwalifikacyjnej. W kolejnych dniach udzielą mi jej sami listonosze.

– Ale będą też dni – uspokaja od razu druga rekruterka – kiedy z całą robotą ogarnie się pan bez trudu w trzy-cztery godziny, a wtedy nikt tu pana przecież siłą trzymać nie będzie. Ludzie cenią sobie właśnie tę elastyczność, bo zatrudniamy na pełny etat, płacimy od wszystkiego ZUS, a praca jest *de facto* w nieokreślonym wymiarze. Niektórzy po robocie na poczcie idą do drugiej pracy. Dlatego szukamy ludzi dobrze zorganizowanych i sumiennych. Każdy listonosz musi być, że tak powiem, kowalem swojego okrętu. ↦

Sztuka nawigacji

↦ Zanim wypłynę w pierwszy samodzielny rejs jako doręczyciel, popracuję kilkanaście dni w tandemie z doświadczonym listonoszem, który zna rejon. Sztuka roznoszenia przesyłek – tłumaczą urzędniczki – postronnemu obserwatorowi może wydawać się monotonną wędrówką od drzwi do drzwi, w której nie ma miejsca na kreatywność. W rzeczywistości to ponoć misterna rozgrywka z tkanką miasta i zwyczajami mieszkańców.

– Po jakimś czasie będzie pan wiedział, że pani Kowalska, sympatyczna wdowa spod numeru trzydziestego, przedpołudnia spędza na cmentarzu u męża, dlatego z poleconym nie ma sensu iść do niej przed dwunastą – jedna z pań niemal rozpromienia się na samo wyobrażenie kruchej staruszki czekającej na list.

– Nauczy się pan planować trasę tak, by się nachodzić i nanosić jak najmniej – uspokaja druga. – Pozna pan ludzi. Ludzie poznają pana i w pięć-sześć godzin będzie po robocie. To się na początku może wydawać niewykonalne, ale właśnie po to będzie się pan szkolić pod okiem starszego kolegi. Jeśli nie ma pan więcej pytań, to od nas tyle.

Pensja? Obecnie 2,4 tys. zł na rękę. Wynagrodzenie nie podlega negocjacjom, ale koło wakacji mają być podwyżki. Jeśli zdecyduję się rozwozić pocztę swoim samochodem, otrzymam dodatkowo 1,1 zł kilometrówki (która nie pokryje moich kosztów). Firma zaopatrzy mnie także w odzież ochronną i torbę oraz specjalny tablet do obsługi przesyłek poleconych. Buty będę miał chyba swoje, jakoś głupio mi się o nie dopominać. Czas pracy to oczywiście kodeksowe osiem godzin, choć planując dzień, muszę wziąć pod uwagę, że przed wyjściem w teren trzeba przygotować sobie korespondencję. Jeśli wykażę zaangażowanie i należyte skupienie, poranne formalności nie powinny – jak zapewniają obie panie – znacząco wydłużyć czasu pracy. Podobnie jak rozliczenie z niedoręczonej korespondencji po dniówce. Wniosek z tego płynie oczywisty. Jeśli jako listonosz będę pracować ponad osiem godzin, to wyłącznie z własnej winy. Bo przecież nie dlatego, że Poczta Polska coś źle zaplanowała w swoim łańcuchu logistycznym.

Czuję, jak mój początkowy entuzjazm zaczyna więdnąć, ale przyjmuję ofertę. Umawiamy się, że jak najszybciej zrobię badania i zgłoszę się do pracy. Mam oczywiście mnóstwo pytań, ale zostawię je na później. Na pożegnanie dzielę się z rekruterkami jedną wątpliwością: – Po przeszkoleniu będę w pojedynkę obsługiwać rewir, na który wprowadzi mnie doświadczony kolega, tak?

Panie potakują.

– To co w takim razie stanie się z tym kolegą?

Urzędniczkom nagle zaczyna się spieszyć.

Pracy jest coraz więcej, ludzi wyciska się na maksa.

Do szefów firmy wciąż nie dociera, że nie mamy już 2001 roku i bezrobocia prawie nie ma.

Na rozbiórce

Facebookowy profil „Listonosze Polska" nie tętni wprawdzie życiem, ale nie brak na nim także świeżych wpisów aktualnych i byłych listonoszy. Do autorów kilkunastu najnowszych adresuję prywatne wiadomości z prośbą o rozmowę o warunkach pracy. Tym razem przedstawiam się już jako dziennikarz.

Pierwsza odpowiedź przychodzi po kilku minutach. Paulina Zabawa, matka samodzielnie wychowująca opodal Zielonej Góry dwójkę dzieci, jest listonoszką z dwuletnim stażem. A raczej była. Od stycznia pracuje gdzie indziej.

– Zwiałam przy pierwszej okazji – tłumaczy. – Niech pan koniecznie napisze, że to robota dla desperatów. Wymogów nie ma właściwie żadnych. U nas w urzędzie pracowała dziewczyna z wyrokiem za kradzież. Była sklepową, która wyczyściła kasę. Roznosiła emerytury, jak my wszyscy. Myśli pan, że ktoś w firmie to sprawdził? Nie dowiedzielibyśmy się o tym, gdyby nam sama nie powiedziała.

Pani Paulina kilka ostatnich lat spędziła w Niemczech, gdzie na świat przyszły jej dzieci. Do rodzinnej miejscowości musiała wrócić po rozpadzie małżeństwa. – Szukałam jakiejkolwiek pracy, która pozwoli mi utrzymać dzieci. Listonoszy w Niemczech traktuje się z szacunkiem, nie zarabiają najgorzej, choć kokosów też nie mają. Pomyślałam: co szkodzi zaryzykować na polskiej Poczcie?

Szybko ustalamy, że nasze rozmowy kwalifikacyjne były do siebie zaskakująco podobne.

– Panu też powiedzieli, że można pracować po godzinach gdzie indziej? Jajcarze – mówi rozbawiona Paulina. – Żaden listonosz po dniówce na poczcie moim zdaniem nie jest fizycznie w stanie pociągnąć drugiego etatu. Mnie zapewniano, że do siedemnastej, kiedy zamykają przedszkole, będę na pewno po robocie. A wie pan, jak to najczęściej wyglądało? Z domu wychodziłam tuż po szóstej, żeby odstawić dzieciaki do przedszkola i przed siódmą być już w oddziale. Przed wyjściem w teren półtorej godziny sortowałam pocztę, bo nikt mi tego przecież nie przygotowywał. Wyruszałam więc koło dziewiątej, a wracałam najczęściej po piętnastej. O tej porze żołądek zwykle się już kleił z głodu do kręgosłupa, ale trzeba było jeszcze rozpisać niedoręczone przesyłki, co zajmowało minimum trzy kwadranse. Oficjalnie pracowałam osiem godzin, w praktyce ponad dziewięć. Potem, jak się zaczęły u nas rozbiórki, było już tylko gorzej.

– Co się zaczęło?

– Jak na jakimś rejonie nie ma listonosza, bo np. zachorował albo się nagle zwolnił, wtedy rozbiera się jego rewir, czyli dzieli na pozostałych. I zaczyna się masakra, bo ma się więcej roboty za te same pieniądze. W mieście pewnie łatwiej, są ulice, bloki i klatki ponumerowane. Weszłabym do klatki i w jednym miejscu wrzuciła do skrzynek z pięć listów. A na wsi trzeba podjechać pod dom, wysiąść, wejść na podwórko, jak nie ma skrzynki. A zwykle nie ma. Czasem połowa domów nie ma numeracji. Na pierwszą rozbiórkę szkolił mnie miejscowy listonosz, chyba ze dwa tygodnie, więc jako tako poszło. Na drugiej szkolenie trwało trzy dni. Przy ostatniej rzucili mnie bez żadnego przygotowania. „Koniec języka za przewodnika". No to pytam pod sklepem, gdzie mieszkają Nowakowie, i słyszę, że dwa domy za Kowalskimi. Pytam, gdzie w takim razie znajdę Kowalskich. Naprzeciwko tego przystanku PKS, co go dwa lata temu rozebrali. Cholery można dostać, bo czas leci, a poza kawałkiem nowego rejonu muszę przecież zrobić swój.

Był moment, że tylu ludzi odeszło z Poczty, iż poza swoim rejonem pani Paulina miała do obsłużenia po kawałku z dwóch innych, co razem dawało

15 miejscowości. Pamięta, że jednego dnia wróciła do domu po prawie szesnastu godzinach. Dzieci z przedszkola odebrała jej sąsiadka. Przywitała się z nimi i położyła na chwilę na sofie. Kiedy się ocknęła, w domu było cichutko, światła pogaszone. Dzieciaki same zrobiły sobie kolację, przebrały się w piżamy i poszły spać, żeby nie męczyć mamy. – Wtedy sobie przysięgłam, że przy pierwszej okazji odejdę z pracy – wspomina.

W 2010 r. Poczta Polska zatrudniała 27 200 listonoszy. Jeszcze w lutym 2019 r. w komunikacie prasowym spółki podano, że liczba takich etatów w spółce sięga niemal 26 tys. Obecnie jest ich 22 479, co by oznaczało, że w ciągu zaledwie trzech lat z pracy odeszło jakieś 13 proc. polskich listonoszy. Skalę braków kadrowych najlepiej ilustruje zdjęcie rozpiski powieszonej w jednym z urzędów w północnej Polsce, opublikowane na grupie „Listonosze Polska". 26 stycznia tego roku z 50 rejonów pocztowych aż 17 było bez listonosza.

Mięso pocztowe

Grzegorz pamięta jeszcze czasy, kiedy ludzie na Boże Narodzenie wysyłali sobie życzenia na kartkach pocztowych. Ważyło to cholerstwo tony, ale przynajmniej mieściło się w torbie. – Pamiętam panią, do której ktoś z rodziny co roku adresował pocztówkę w identyczny sposób: pisał wielkimi literami imię „ULA", a pod spodem miasto, ulicę z dopiskiem w nawiasie: „na końcu ulicy" – opowiada. – Raz czy dwa jakimś cudem kartka do niej doszła i potem już mieliśmy taki rytuał, a na poczcie każdego młokosa uczyło się, że „na końcu ulicy" to taki a taki adres przy ul. Towarowej. Nawet taki plakat napisany niebieskim flamastrem wisiał na sortowni. Wspominam to z czułością, ale nie dlatego, że w Poczcie Polskiej było wtedy super, a teraz jest źle. Było fatalnie. Ale wtedy gdzie indziej było też źle.

Grzegorz trafił na Pocztę jesienią 2001 r. tuż po tym, jak go zwolniono z miejskiej spółki komunikacyjnej. Bezrobocie szalało wtedy w całym kraju, na Śląsku, skąd pochodzi, w wielu miejscach dobijało do 30 proc. Poczta też ledwie przędła i zaczęła zamieniać urzędy pocztowe w sklepy. W niektórych łatwiej było o proszek do prania niż o kopertę.

– Średnia pensja wynosiła coś pod 1,8 tys. zł – wspomina. – Jako listonosz zarabiałem nieco mniej, bodaj 1,3 tys. zł na rękę, czyli tyle, żeby z głodu nie zdechnąć, ale robota była stabilna. I tak się zasuszyłem wśród tych listów. Dzisiaj średnia pensja w Polsce to dwa razy tyle, co płaci mi Poczta. A ja dobijam do pięćdziesiątki. Kręgosłup mam od ciężarów wykręcony w chińskie paragrafy. Zero doświadczenia w poszukiwaniu pracy. Dlatego cokolwiek by się działo na Poczcie, i tak muszę zacisnąć zęby i wytrzymać do emerytury. Szefowa to wie. Notorycznie nie wpisuje mi wszystkich nadgodzin do karty, żeby nie wyszło, że oddział kompletnie nie wyrabia się z robotą. Dostałaby za to po łapach od przełożonych. Młodsi i bardziej pyskaci potrafią kurwami rzucać, grozić odejściem i szefowa ich na grafiku nie przycina. A ja nie odejdę. Dlatego w zeszłym roku nadgodziny miałem wpisane może z pięć razy, mimo że każdego dnia pracuję co najmniej dziewięć godzin. Szefowa mówi, że nie wyrabiam nadgodzin, tylko jestem pierdoła.

Poczta Polska zatrudniała w 2019 r. 26 tys. listonoszy. Dziś jest ich 22,5 tys., co oznacza, że w ciągu trzech lat z pracy odeszło 13 proc. doręczycieli.

Grzegorz do niedawna rozwoził pocztę prywatnym autem jako tak zwany listonosz samochodowy. Parę miesięcy temu zgłosił awarię i od tej pory roznosi pieszo. – Cięli nas nawet na kilometrówce, bo każdy rejon ma z góry narzucony maksymalny pułap kilometrów, które listonosz może wpisać jako przejechane. Niby to logiczne, bo ludzie inaczej podawaliby dane z kosmosu, ale w wielu rejonach to maksimum jest tak niskie, że kilometrówka nie pokrywa nawet połowy realnych kosztów paliwa. Teraz podnoszą ją wprawdzie o ponad 20 groszy za kilometr, ale koledzy, którzy jeżdżą swoimi autami, już narzekają, że kilometrówkę wrzucono do pensji, co oznacza, że będzie opodatkowana i ozusowana według nowych zasad. A paliwo prawie po 8 zł za litr.

Jedyną zaletą samochodu była możliwość wpakowania do bagażnika paczek. Listonosze, jak mówi Grzegorz, noszą coraz mniej listów, bo korespondencja przechodzi do internetu. Systematycznie przybywa za to paczek. Poczta podpisuje kolejne umowy z internetowymi sklepami, zarabia na tym miliony, ale tych pieniędzy jakoś nie widać w oddziałach.

– Pracy jest coraz więcej, a ludzi coraz mniej, więc wyciska się ich na maksa – twierdzi Grzegorz. – Jesteśmy jak mięso armatnie. Do szefów nie dociera, że to nie rok 2001 i bezrobocia prawie już nie ma. I mamy taki skansen: od frontu dużo Jana Pawła II i pierogów w książkach kucharskich, a od zaplecza bajzel i wyzysk. Niby trwa cyfryzacja, powstają automatyczne sortownie, ale w oddziale po staremu segregujemy listy ręcznie. Zrobili ten tablet do odbioru poleconych i to fajny gadżet, pomocny. Ale zrobili po swojemu, czyli nie ufając ludziom. Tablet ma wbity tzw. szlak, czyli trasę, po której ma się poruszać listonosz i z każdego większego odstępstwa trzeba się tłumaczyć. Jak mam mieć kłopoty, bo wracam do kogoś, kogo wcześniej nie zastałem, to wolę wrzucić awizo – kwituje Grzegorz.

Zuzanna, listonoszka z Trójmiasta z czternastoletnim stażem: – Najgorsze są poniedziałki, gdy niedostarczona poczta z piątku nakłada się na to, co dojedzie przez weekend. Prawdziwa masakra zaczyna się jednak tuż po sezonie rozliczeń podatkowych. Urzędy skarbowe wysyłają polecone za potwierdzeniem odbioru. Teraz i tak jest łatwiej, bo adresat potwierdza odbiór w tablecie, ale kiedyś każdą taką karteczkę po powrocie trzeba było odpowiednio opisać w systemie.

Są też zwykłe listy polecone. – No co będę ściemniać – uśmiecha się Zuza. – Wiele razy awiza wypisywałam sobie jeszcze w urzędzie, przed wyjściem w teren. Adresata potem szlag trafiał, bo musiał latać po urzędach, chociaż był w domu. Przykra sprawa, ale jak widziałam, że mam w jeden dzień osiemdziesiąt poleconych z potwierdzeniem odbioru i ze dwie setki zwykłych poleconych, to z góry wiedziałam, że się nie wyrobię. No to setkę się od razu awizowało i już było łatwiej.

Listonosz treningowy

– Po tym, co sama przeżyłam na Poczcie, nie umiem się denerwować na nikogo, kto tam pracuje – zapewnia Paulina Zabawa. – Nawet jak mi kobieta w okienku podniesie ciśnienie, od razu myślę, że ona pracuje tak powoli, bo pewnie ↦

↦ pada na twarz, a nie dlatego, że jest leniwa. Sama pamiętam, jak kręciło mi się w głowie z głodu po ośmiu godzinach na wietrze i w deszczu, a jeszcze zbierałam opiernicz: „co tak późno?!". Ludzie listonoszy traktują czasem jak worek treningowy. Nikt nie pomyśli, że bez nas wiele instytucji przestanie działać.

ZUS? Pomijając korespondencję, musi wciąż dostarczać emerytury tym, którzy nie chcą słyszeć o przelewie na konto. Babcie czasem na herbatkę zaproszą i końcówkę wypłaty wręczą jako napiwek, ale Poczta nie jest tak wspaniałomyślna i emerytury ubezpiecza jedynie od napadu. Jeśli listonosz zgubi pieniądze, nie ma zmiłuj, płaci ze swoich. – Dziewczyna z naszego oddziału zgubiła gdzieś 9 tys. zł. Musiała oddać co do grosza i to mogę jeszcze zrozumieć. Ale oni dali jej trzy dni na spłatę, jak gangsterzy – mówi Paulina. – Gdyby nie wpłaciła, sprawa poszłaby do prokuratury.

Sądy? Tutaj też bez listonosza ani rusz, bo Temida lubi mieć wszystko na papierze. Listy z potwierdzeniem odbioru są w pocztowej hierarchii drukiem ścisłego zarachowania, nie tylko z uwagi na ich treść. Za zgubienie takiej korespondencji potrąca się z pensji 150 zł. 50 zł można zapłacić za drobiazg w rodzaju braku daty lub podpisu osoby doręczającej, wydającej lub zwracającej.

– Powiedzieli panu, że kary bierze na siebie firma? – pyta Paulina Zabawa. – Każdemu tak mówią, bo kontrahentom za zgubione listy Poczta faktycznie buli znacznie więcej. Ale to nie znaczy, że od pana nic nie ściągną. Niech się pan lepiej zastanowi nad tą pracą.

■■■

Ostatecznie jej nie podjąłem. Okres próbny trwa trzy miesiące, z czego – jak mi powiedziano – musiałbym przepracować co najmniej miesiąc. Inaczej mój rejon trafiłby do rozbiórki. Czyli dołożyłbym stresu i pracy pozostałym listonoszom. Nie zadzwoniłem z informacją, że rezygnuję. Przepraszam za to wszystkie osoby zaangażowane w rekrutację. Chciałem sprawdzić, jak zareaguje Poczta. Może wyjdzie z jakąś propozycją?

Nie oddzwonił nikt.

©℗ MAREK RABIJ

Pełzająca katastrofa

PIOTR WÓJCIK

Politycy dwoją się i troją, by zachęcić Polki i Polaków do posiadania dzieci, ale efekty prorodzinnych programów są mizerne. Bez otwarcia na imigrację nasz kraj będzie się wyludniać.

Poznaliśmy wstępne wyniki spisu powszechnego z ubiegłego roku. W ciągu dekady liczba ludności w Polsce spadła o przeszło 500 tys. i minimalnie przekraczała w 2021 r. 38 mln – było nas o 1,2 proc. mniej niż dziesięć lat wcześniej. Dużo gorsze jest jednak odwracanie się struktury wiekowej społeczeństwa. Liczba nieletnich spadła o ponad 200 tys., czyli o prawie 3 proc., a przecież już dziesięć lat temu dzieci rodziło się bardzo mało. Drastycznie spadła też liczba osób w wieku produkcyjnym. Jeszcze w 2011 r. w Polsce żyło prawie 25 mln ludzi w przedziale 18-59/64 lata (kobiety/mężczyźni), tymczasem w ubiegłym roku było ich już ledwie 22,5 mln. Ta spadająca liczba rąk do pracy jest główną przyczyną problemów z zapełnieniem wakatów w polskich firmach, jak również napiętej sytuacji w Funduszu Ubezpieczeń Społecznych, gdyż coraz mniej osób płaci składki na coraz większą grupę emerytów. Osób w wieku poprodukcyjnym jest dziś o 30 proc. więcej niż dziesięć lat temu – w sumie to niemal 8,5 mln.

Powrót do czasu wojny

Kryzys demograficzny nabrał przyspieszenia w pandemii. W roku 2020 urodziło się rekordowo mało dzieci, w ubiegłym zaś ten smutny wynik udało się jeszcze „poprawić". Według GUS, w 2021 r. pojawiło się 331 tys. dzieci, czyli o 24 tys. mniej niż rok wcześniej.

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

Premier Mateusz Morawiecki w żłobku w Żabiej Woli pod Warszawą, 12 kwietnia 2022 r.

W związku z równoczesną rekordową liczbą zgonów (ponad pół miliona), liczba ludności naszego kraju spada w tempie iście wojennym – tylko w 2021 r. skurczyła się o 184 tys. I prawdopodobnie będzie jeszcze gorzej. W lutym urodziło się zaledwie 23 tys. dzieci, co jest najgorszym wynikiem miesięcznym od czasów II wojny światowej. Wyraźnie spada też kluczowy wskaźnik dzietności, który obrazuje liczbę dzieci przypadających na kobietę w wieku rozrodczym. W 2021 r. wyniósł on zaledwie 1,32, co było czwartym najgorszym wynikiem w UE. Niższa dzietność występuje jedynie na południu Europy. Dekadę wcześniej wskaźnik dzietności w Polsce był wyraźnie wyższy (1,41). Pod tym względem wróciliśmy do stanu zaraz sprzed wprowadzenia 500 plus, co oznacza postępujący proces wyludniania kraju – żeby utrzymać liczbę mieszkańców na stałym poziomie, kobiety musiałyby rodzić średnio dwoje dzieci.

– Wydawało nam się do niedawna, że następuje powolna odbudowa wskaźnika dzietności, a przynajmniej przestał on spadać. Tymczasem okazało się, że pandemia wpłynęła na rezygnację lub, w większym stopniu, na odroczenie decyzji prokreacyjnych. Młodzi ludzie obawiali się o sytuację na rynku pracy i odkładali decyzję na później – mówi prof. Piotr Szukalski, demograf z Uniwersytetu Łódzkiego. Możemy więc mieć nadzieję, że w nadchodzących latach na dzieci zdecydują się pary, które w pandemii się z tym wstrzymały. Oczywiście o ile wojna – i związana z nią niepewność – znów nie zweryfikują tych planów.

W 2016 r. rząd Zjednoczonej Prawicy wprowadził swój sztandarowy program Rodzina 500 plus, przyznający świadczenie na drugie i kolejne dziecko w rodzinie. W wyborczym 2019 r. program ten rozszerzono także na pierwsze dziecko, co niemal podwoiło koszty – obecnie to 41 mld złotych rocznie. Po wprowadzeniu pierwszej wersji świadczenia wskaźnik dzietności wzrósł znacząco – z 1,32 w 2015 do 1,48 w 2017 r. Od tamtej pory znów jednak spada: w ubiegłym roku wróciliśmy pod tym względem do 2015 r., co oznacza, że prodemograficzny potencjał 500 plus wypalił się w zaledwie dwa lata.

– Z doświadczeń innych krajów wiemy, że wsparcie finansowe ma pozytywny, ale dosyć ograniczony wpływ na dzietność. Wzrost w latach 2016-2017 prawdopodobnie wynikał częściowo z programu 500 plus, co oznacza, że bez niego sytuacja demograficzna byłaby jeszcze gorsza – mówi Jan Gromadzki z Instytutu Badań Strukturalnych. – Program stanowi najsilniejszy bodziec do decyzji o posiadaniu dzieci dla rodzin o najniższych dochodach, które były objęte już jego pierwszą wersją. Dlatego efekt rozszerzenia 500 plus na wszystkie dzieci jest znikomy. Poza tym realna wartość świadczenia po uwzględnieniu inflacji wciąż spada, więc jego prodemograficzny efekt będzie coraz słabszy.

Faktem pozostaje, że zaraz po wprowadzeniu 500 plus w pierwszej wersji (na drugie i kolejne dziecko) zanotowano wyraźny wzrost dzietności. Dziś uważa się jednak, że mógł być on częściowo efektem przyspieszenia decyzji prokreacyjnych Polek i Polaków. Część z tej „nadwyżkowej" liczby dzieci urodzonych w 2017 r. i tak była w planach, jednak po uruchomieniu świadczenia przyszły na świat nieco szybciej.

– Gdy wprowadzono 500 plus, zauważyliśmy zastanawiającą rzecz. Średni wiek matek rodzących pierwsze dziecko nadal rósł. Natomiast prawie na dwa lata został zastopowany wzrost średniego wieku matek dzieci drugich i trzecich. Inaczej mówiąc, wszystko wskazuje na to, że część matek rodzących kolejne dziecko przyspieszyła decyzje prokreacyjne, by zdążyć otrzymać świadczenie. Kalkulowały, że w przyszłości może być ono zlikwidowane – wyjaśnia prof. Szukalski. Spadek dzietności po 2017 r. mógł być więc efektem zwykłej korekty planów. Dzieci, które bez 500 plus przyszłyby na świat w 2018 czy 2019 r., urodziły się wcześniej.

Żłobki równają szanse

Innym z rozwiązań prorodzinnych rozwijanych w ostatnich latach przez Zjednoczoną Prawicę jest dofinansowywanie z budżetu państwa żłobków i klubów dziecięcych w gminach. Program Maluch plus w pierwotnej wersji został wprowadzony jeszcze za rządów PO-PSL, jednak rząd PiS o 100 proc. zwiększył jego poziom finansowania. W efekcie od 2015 r. dwukrotnie wzrósł odsetek dzieci w wieku 1-2 lata objętych jakąś formą opieki instytucjonalnej – obecnie co czwarty maluch chodzi do żłobka lub klubu dziecięcego. To nie znaczy jednak, że dostępność takich miejsc jest satysfakcjonująca, wszak nadal trzy czwarte najmłodszych do nich nie uczęszcza.

– Brak żłobków jest barierą przede wszystkim w mniejszych miejscowościach, zwłaszcza w miasteczkach kilku- lub kilkunastotysięcznych. Nawet jeśli żłobek w mniejszej gminie w ogóle istnieje, to jego czas pracy bywa znacznie ograniczony – twierdzi prof. Szukalski.

Tymczasem żłobki są istotne nie tylko z perspektywy demografii, ale też nierówności ekonomicznych.

– Wyższa dostępność żłobków sprzyja równości szans. Mają one bardzo pozytywny wpływ na rozwój dzieci z rodzin o niskich dochodach. Prawdziwym kamieniem milowym będzie dopiero zapewnienie prawa do miejsca w żłobku wszystkim dzieciom, tak jak jest w Niemczech czy krajach bałtyckich – zauważa Jan Gromadzki.

Rozwiązaniem problemu braku żłobków ma się stać wprowadzony w tym roku kapitał rodzicielski, czyli dodatkowe świadczenie dla rodziców dzieci między 12. a 35. miesiącem życia, o łącznej wysokości 12 tys. zł. Przez okres ↦

dwóch lat mogą oni otrzymywać 500 zł miesięcznie (ewentualnie tysiąc przez rok), np. na pokrycie wydatków na opiekę w prywatnym żłobku, zwykle znacznie droższym niż gminny.

– Celem tego instrumentu jest sfinansowanie opieki na rynku, pytanie jednak, czy to świadczenie nie będzie traktowane po prostu jak dodatkowe pieniądze – zauważa prof. Szukalski. A Jan Gromadzki wręcz uważa, że kapitał rodzicielski to kolejne 500 plus dla rodziców najmłodszych dzieci i nie wpłynie znacząco na dzietność Polek.

Dostępność żłobków jest szczególnie istotna dla poprawy sytuacji ekonomicznej kobiet, bo umożliwia matkom szybki powrót na rynek pracy, dzięki czemu zmniejszony jest efekt „kary za dziecko". Mowa o zjawisku wyraźnego spadku dochodów kobiet w okresie sięgającym nawet 10 lat po urodzeniu dziecka. Zarazem jest wiele dowodów na to, że w naszym rejonie świata poprawa sytuacji zawodowej pań sprzyja demografii. Najwyższe wskaźniki dzietności w UE notują Francja, Dania i Szwecja, gdzie równocześnie występuje wysoki wskaźnik zatrudnienia kobiet. Niestety, w Polsce w ostatnich latach sytuacja zawodowa matek nie tylko się nie poprawia, ale wręcz notujemy regres. Według GUS, w latach 2015-2020 luka w zatrudnieniu (różnica między poziomem zatrudnienia mężczyzn i kobiet) wzrosła z 11 do 13 pkt. proc. Równocześnie spadł odsetek matek dzieci do lat pięciu, które pracują – z 64 do 63 proc. Wciąż istnieje także ogromna dysproporcja między płciami w podziale ról domowych. Według OECD, Polki poświęcają codziennie 295 minut bezpłatnej pracy domowej, tymczasem Polacy jedynie 159 – prawie dwa razy mniej.

– Normy społeczne w Polsce przejawiają się m.in. nierównym podziałem ról w opiece nad dzieckiem. Tę barierę będziemy musieli zlikwidować, by poradzić sobie z kryzysem demograficznym. Znaczna część dyskryminacji kobiet na rynku pracy wynika z faktu, że to matki obarczone są opieką nad dzieckiem, to one biorą urlop rodzicielski i zwolnienie w czasie choroby dziecka. Rozwiązaniem byłoby zarezerwowanie części urlopu rodzicielskiego dla ojców, którzy nie mogliby się go zrzec na rzecz matki. Obecnie w przypadku 32-tygodniowego urlopu para może dowolnie się nim podzielić, jednak niemal zawsze kończy się to wykorzystaniem całości przez matkę. Tylko jeden procent ojców z niego korzysta – zauważa Jan Gromadzki. Do sierpnia tego roku państwa UE muszą wdrożyć dyrektywę, rezerwując dla ojców co najmniej dwa miesiące urlopu rodzicielskiego. Termin się zbliża, tymczasem projekt ustawy od roku czeka na głosowanie w Sejmie.

Ukraiński ratunek

Napływający do Polski uchodźcy z Ukrainy bywają przedstawiani jako szansa dla naszej demografii – obecnie w naszym kraju może ich przebywać ok. 1,5 mln. Numer PESEL otrzymało przeszło milion z nich, z czego ponad pół miliona to osoby w wieku produkcyjnym – w przytłaczającej większości kobiety. Druga połowa to w zasadzie dzieci lub nastolatkowie, zaledwie kilka procent przekroczyło wiek emerytalny.

Na razie zatrudnienie znalazło jedynie 160 tys. uchodźczyń, co i tak jest zaskakująco dobrym wynikiem. Rząd najprawdopodobniej liczy też na to, że przynajmniej część z nich zostanie w Polsce dłużej. M.in. dlatego nie tylko objął przybyszów z Ukrainy polskim systemem świadczeń społecznych (w tym 500 plus), ale również otwarł przed nimi rynek pracy. To oczywiście chwalebne, warto jednak pamiętać, że dalej idące próby zatrzymania tych osób w Polsce niekoniecznie będą uczciwe. Oznaczałyby *de facto* drenaż kapitału ludzkiego naszych sąsiadów.

– Zachęcanie kogokolwiek do pozostania będzie nieetyczne i nieracjonalne. Nieetyczne, gdyż ci ludzie po nastaniu pokoju powinni przyczyniać się do umacniania swojego kraju. A nieracjonalne, ponieważ nam powinno zależeć na tym, byśmy mieli na Wschodzie silnego i niepodległego sąsiada – wskazuje prof. Szukalski.

Nie zmienia to faktu, że część uchodźców zechce zostać w naszym kraju z własnej woli. I będzie to pozytywnym impulsem dla naszej demografii.

– Jeśli wojna potrwa dłużej, to część kobiet nie będzie widzieć powodów, żeby wracać. Mowa szczególnie o tej grupie Ukrainek, które przyjechały do swoich pracujących w Polsce mężów lub partnerów. Gdy ich dzieci zaczną chodzić do polskich szkół, a same znajdą u nas pracę i mieszkanie, powoli zaczną się przyzwyczajać – wyjaśnia Piotr Szukalski. Oczywiście trudno powiedzieć, jak wiele tych osób w Polsce się zadomowi. Jednak sam kryzys uchodźczy statystycznie powinien poprawić liczbę urodzeń.

– Już w tym roku zobaczymy takie dane, choć trochę zafałszowane, gdyż kobiety w ciąży przekraczające naszą granicę podwyższą nam liczbę urodzeń. Bez wątpienia część z tych uchodźczyń w Polsce już zostanie – wyjaśnia demograf.

Imigranci pozytywnie wpływają na nadwiślańską demografię już od paru lat. W 2015 r. w Polsce narodziło się 3 tys. dzieci, których matki pochodzą z zagranicy. Rok temu było ich trzykrotnie więcej i taki trend powinien pozostać. Gromadzki twierdzi bowiem, że naszych problemów demograficznych nie rozwiążemy samym zwiększaniem dzietności w Polsce. By zasypać deficyt, który powstał z powodu niskiej liczby urodzeń, potrzebujemy ponad miliona imigrantów. Najwyższy więc czas, by odesłać koncepcję państwa jednolitego etnicznie na emeryturę.

© PIOTR WÓJCIK

TP

Czytelników, a zwłaszcza Prenumeratorów naszego Wydania Specjalnego prosimy o cierpliwość: rosyjska inwazja na Ukrainę, podobnie jak przed dwoma laty pandemia, skomplikowała redakcyjne plany i zmusiła nas do wstrzymania prac nad przygotowywanym na wiosnę tego roku numerem. Kolejne, podwójne Wydanie Specjalne ukaże się latem.

Michał Okoński
Redaktor Wydań Specjalnych

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

CRAIG RUSSEL / RED NOSES INTERNATIONAL / MATERIAŁY PRASOWE

Joanna Lewandowska i Christian Moser. Obóz uchodźców Nea Kavala, Grecja, wrzesień 2021 r.

Najmniejsza maska świata

KRZYSZTOF STORY

O wszystkim decyduje się za nich. Ktoś zleca badania, ktoś wbija igłę, ktoś wiezie na zabieg. A klaun uchyla drzwi, patrzy w oczy i szeptem pyta o zgodę na wejście. Tu dziecko jest panem sytuacji.

Klaun jest królem czasu. Najprostszą czynność, choćby włożenie szpitalnych pantofli, potrafi zmienić w godzinną opowieść pełną pomyłek, gaf i śmiechu. Ale są miejsca, gdzie nawet królewska władza się kończy – na bloku operacyjnym w Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie nie rządzą klauni, lecz surowy grafik zabiegów. I kiedy Asia Lewandowska wchodzi do przedoperacyjnej poczekalni, nigdy nie wie, ile ma czasu na zakumplowanie się z drugim człowiekiem. Ubrana w lekarski kitel, na głowie ma kolorowy czepek, na twarzy – czerwony nosek, nieodłączny atrybut każdego klauna. Rozgląda się po sali. Młodzi ludzie czekają na zabiegi, najczęściej w towarzystwie mamy lub taty. Zaraz rodzice zostaną za drzwiami, a oni pojadą w stronę narkozy, czujników, narzędzi chirurgicznych.

Dużo tu stresu, strachu, niepewności, więc wiele dzieci nie ma ochoty się śmiać i rozpraszać. Ale są też takie, które potrzebują kontaktu, wsparcia, chwili oddechu. Jak Asia je rozpoznaje? Sama nie wie.

W podwodnym świecie

– Nigdy ich nie okłamuję – zapewnia. – Kiedy mała dziewczynka mówi mi, że się boi, moim zadaniem jest wsparcie, odciągnięcie jej uwagi od lęku, a nie ignorowanie go. Nie mówię: „Nie bój się, teraz pokażę ci sztuczkę". Mówię: „No jasne, że się boisz, to jest przecież operacja! Ale nie jesteś sama. Możemy bać się razem!".

Asia wciela się w rolę „projektantki snów" na usługach młodego pacjenta. Razem wybierają zapach narkozy, rozmawiają, tworzą piosenki. Na przykład taką: „kucyki Pony jedzą żetony, a jak się zmęczą, to srają tęczą".

– Często śmiejemy się z głupkowatych rzeczy, uwielbiam to. Wyobraź sobie, że potem jedziemy na salę, dziecko widzi nad sobą pięć obcych postaci w maskach i kitlach, ale ci wszyscy lekarze, pielęgniarki i anestezjolożki śpiewają jego własną piosenkę o sraniu tęczą. Od razu robi się mniej strasznie.

Wchodzą na salę, razem dobierają kolory czujników monitorujących serce. Klaun towarzyszy małemu pacjentowi aż do zaśnięcia.

Asia mówi, że jej praca to szukanie szczelin i wpuszczanie przez nie światła. W Polsce od 10 lat zajmuje się tym fundacja Czerwone Noski. Teraz pracuje w niej ponad 30 klaunów, którzy regularnie odwiedzają dzieci w 11 szpitalach w 7 miastach Polski. Noski pojawiają się także w domach pomocy społecznej i na oddziałach geriatrycznych.

Zwykle pojawiają się raz, dwa razy w miesiącu, to zależy od ustaleń z danym szpitalem. W warszawskiej Klinice Budzik klauni są w każdy poniedziałek od ośmiu lat. Najczęściej odwiedzają pacjentów w ich salach, czasem towarzyszą im przed operacją lub rezonansem magnetycznym. Bywa też, że przybiegnie do nich pielęgniarka z nagłym alarmem, kiedy dziecko boi się zastrzyku. Wtedy jest najtrudniej.

No bo właściwie jak wywołać śmiech w szpitalu? Praca Czerwonych Nosków w niczym nie przypomina klaunowych występów na urodzinach. Nie wystarczą ↦

↦ sztuczki, show i zebranie braw na koniec. Tutaj trzeba spotkać się ze swoją widownią na głębszym poziomie, dostrzec jej problemy i nastrój.

– O wielu rzeczach w szpitalu decyduje się za nas. Ktoś zleca badania, ktoś wbija igłę, ktoś wiezie na zabieg – mówi Asia. – A ja uchylam drzwi, patrzę dziecku w oczy i szeptem pytam: „Czy mogę wejść”? To ono jest panem sytuacji.

Klauny mają staromodne, lekko kiczowate kostiumy, na które narzucają lekarskie kitle. Nigdy nie malują twarzy, zakładają tylko skórzane czerwone noski, znak rozpoznawczy. Nosek, mówi Asia, to najmniejsza maska świata. To on zmienia Joannę Lewandowską w pielęgniarkę Walentynę Apsik, a jej kolegę w doktora Siemanko.

– Czasem dziecko mówi „Nie możecie wejść” – przyznaje Asia. – Wtedy my mamy czas na reakcję. Chwytamy się wszystkiego, z czego można stworzyć opowieść. Mówimy: „Wejść nie, ale może to jest Podwodny Świat i możemy tam wpłynąć”? Bardzo często dziecięce „nie” wypowiedziane z przekąsem jest świetnym zaproszeniem do zabawy. Ale jeśli to naprawdę nie jest właściwy moment, odpuszczamy.

Pięć ważnych zasad

Z Asią Lewandowską rozmawiamy w jej domu w Ińsku w woj. zachodniopomorskim. Jako klaunka pracuje od siedmiu lat, ale jest też zawodową wokalistką, więc muzyka stanowi supermoc siostry Walentyny Apsik.

– Gdyby ktoś mi, Joannie, powiedział: „Idź, bądź śmieszna dla chorych dzieci”, nie dałabym rady. Tyle cierpienia, a ja mam się śmiać i wydurniać? Tylko Walentyna umie to zrobić naturalnie.

Na bloku operacyjnym Asia pracuje sama, ale na regularne wizyty w salach młodych pacjentów Noski zawsze chodzą parami: – Początek opowieści czasem wymyślamy przed wejściem na salę. To może być wszystko: lot w kosmos, zbieranie grzybów. Albo ustalamy z koleżanką: „dobra, to ty jesteś moją kuzynką, która wczoraj przyjechała ze Stanów, a ja cię oprowadzam”. To określa relację między nami.

Relacja jest kluczowa – między parą klaunów zawsze ma być kontrast. Oni nazywają to statusami – jest „jedynka” i jest „dwójka”.

– Jedynka to kompletny debil, który jest święcie przekonany o swoim geniuszu. Dwójka to taki sam kompletny debil, który za wszelką cenę chce pomóc swojemu szefowi – śmieje się Aśka. – Jak Pinky i Mózg albo Flip i Flap.

Ta praca nie przypomina występów na urodzinach.
Nie wystarczą sztuczki, show i brawa na koniec. Trzeba spotkać się z widownią na głębszym poziomie, dostrzec jej problemy i nastrój.

Żeby taka dwójka mogła sobie poradzić, musi pamiętać o pięciu zasadach. Pierwsza: wszystkie drzwi otwarte. Nie chodzi o zrobienie przeciągu, lecz o gotowość na improwizację.

– Wszystkie umiejętności i sztuczki, które mamy w rękawie... One tylko określają „wymiary basenu”. A potem w tym basenie musimy swobodnie pływać – zaznacza Asia.

Nie pływają sami. Zasada druga mówi: publiczność ma swoje miejsce w spektaklu. To oznacza, że nie wszystko jest wyreżyserowane, wiele rzeczy tworzy się wspólnie z dziećmi. Słowa piosenek, fabułę, nawet postacie. Najlepsze rzeczy dzieją się właśnie wtedy, kiedy to dzieci stają się kreatorami. Ale też najtrudniejsze, bo mali kreatorzy i kreatorki uwielbiają pakować klaunów w niezręczne sytuacje.

Wtedy przydają się kolejne zasady. Trzecia mówi: ziemia jest naszym przyjacielem. Stój pewnie na nogach, zachowuj dobrą postawę, a nic złego się nie stanie, tłumaczy Asia. I czwarta zasada, wspomniana na początku: klaun jest królem czasu.

– Kiedy ja, Joanna, napotykam w życiu problem, staram się go rozwiązać jak najszybciej i najprościej. Mając na sobie czerwony nos, robimy dokładnie odwrotnie. Kiedy spada mi mikrofon (nieważne, że zrobiony z łyżki) i odpina się od niego kabel, zaczyna się przygoda. Będę 20 razy próbowała przypiąć go z powrotem. „Dwójka” będzie mi tak pomagać, by przeszkadzać. Zaplącze mi kabel, włoży go sobie do ucha, zgubi łyżkomikrofon. Dzieci będą nam doradzać, a my i tak wszystko zepsujemy. Po drodze stracimy buty, skomponujemy trzy piosenki i pięć razy się wywrócimy. Przy okazji: zakolegujemy się.

Dlatego piąta zasada brzmi: klaun musi mieć problem. Musi mieć coś do pokonania przy pomocy dzieci. Jak przypiąć mikrofon? Jak polecieć w kosmos? Jak dobrze założyć buty?

Publiczność na szpitalnej sali doradza, a klaun i tak się myli. Im większe tarapaty, tym lepiej. Co czeka na końcu?

– Nie chodzi tu o *grande finale*, po którym zbierzemy brawa – mówi Asia. – Tu wszystko, co najważniejsze, dzieje się po drodze. Pytasz o cel? Jednym jest śmiech sam w sobie. On uwalnia emocje, rozluźnia, przyśpiesza zdrowienie. Jest wiele badań, które wskazują na jego terapeutyczną rolę.

Ale praca Asi nie polega na „byciu śmiesznym”, ale na budowaniu relacji. Pod przykrywką głupkowatych żartów i piosenek o pierdzących jednorożcach dzieją się tu naprawdę ważne rzeczy. Ludzie dłużej patrzą sobie w oczy, chętniej rozmawiają, coś tworzą.

– Zyskują sprawczość. Szumne słowo, ale widzę to na co dzień – zapewnia Asia i tłumaczy, że chore dzieciaki często postrzegane są tylko przez pryzmat ich choroby. Zna np. 15-latka, na którego wszyscy dalej mówią „Dawidek”, bo jest chory.

– Dlatego ogromną wartością jest to, że on usłyszy ode mnie: „Jesteś super ziom, Dawid. Masz 15 lat i dobrze, że masz wszystkie swoje nastoletnie frustracje, radości i pomysły. Zróbmy coś razem”.

Co masz w kieszeni?

O Czerwonych Noskach usłyszała od kolegi, Mateusza Marka z zespołu Kołłątajowska Kuźnia Prawdziwych Mężczyzn, który też pracuje w fundacji.

– Kraków, knajpa-barka na Wiśle, był z nami jeszcze mój kuzyn i jego znajomi – wspomina Asia. – Zapytałam Mateusza o charakter tej pracy. A on wziął zwykłą reklamówkę i zaczął tworzyć grę. Nagle zobaczyłam, jak siedmiu dorosłych chłopów rzuca wyimaginowaną piłeczką do siatki i jest to dla nich najważniejsza rzecz na świecie. Zaczarował nas, a mi pokazał, że klaunowanie to nie stand-up, gdzie sypiesz żartami i sztuczkami z rękawa, lecz spotkanie. Postanowiłam, że spróbuję.

Czerwone Noski co jakiś czas organizują nabory, czasem na jedno miejsce zgłasza się 30 osób. Fundacja najczęściej

TOMASZ WILCZKIEWICZ / MATERIAŁY PRASOWE

Carolina Albano, czyli Siostra Pasta, i Kamil Strzelecki jako dr Cezary Smacznego. Szpital na Spartańskiej, Warszawa, październik 2021 r.

szuka osób z doświadczeniem scenicznym: przychodzą studenci szkół aktorskich, muzycy, artyści kabaretowi.

O tym, jak wyglądają castingi i dalsza nauka, opowiada mi Michał Brańka, który szkoli nowych klaunów: – Zaczynamy od dwóch etapów w formie warsztatów na żywo. Pierwszy etap najczęściej trwa jeden, a drugi dwa dni. Uczymy wchodzenia w specyficzną rolę, ale także szukamy sposobu, jak wykorzystać bardzo różne własne umiejętności. Powoli zaczynamy tworzyć postaci, badamy swoją wrażliwość. Do tej pracy nikt nie przychodzi gotowy.

Na tym etapie wielu ludzi stwierdza, że to nie dla nich. Resztę czeka cykl warsztatów. Z czasem zaczną pojawiać się w szpitalach: najpierw jako obserwatorzy, później „na trzeciego" zaczną towarzyszyć parze klaunów, brać coraz większy udział w zabawie. Droga do pełnoprawnej roli Noska zajęła Michałowi osiem miesięcy.

– Na tym się nie kończy – mówi Michał. – Od tego momentu każdy z nas ma 5 lat na ukończenie pełnego kursu w Międzynarodowej Szkole Humoru w Wiedniu.

Szkoła humoru. Kolejny dowód na to, że śmiech to bardzo poważna sprawa. W Wiedniu znajduje się centrala organizacji Red Noses International (działa w jedenastu krajach, Czerwone Noski są jej polską filią). To tam klauni jeżdżą uczyć się umiejętności scenicznych, komunikacji, psychologii. Oraz, oczywiście, sztuczek.

– Jest np. warsztat „Co masz w kieszeni?". Kilka dni uczysz się, jak zbudować opowieść na bazie gumki recepturki, którą znalazłeś w starych spodniach – mówi Asia i zaraz dodaje: – Klaun jest jak jazzman. Gdy przestaje się rozwijać, traci paliwo, ginie w nim świeżość i autentyczność. Rutyna ma sens tylko jako baza, na której możemy szaleć i improwizować.

Wspólny system szkoleń daje Noskom z całego świata duże możliwości. Dzięki niemu Asia czy Michał są w stanie pracować, nawet pomimo bariery językowej, z ludźmi z Jordanii, Litwy czy Chorwacji. Wykorzystują to zwłaszcza podczas misji zagranicznych. Asia kilkukrotnie była w obozach dla uchodźców w Grecji, a na początku tego roku wróciła z Sudanu Południowego. W takie miejsca klauni przyjeżdżają na kilka tygodni, realizują z dziećmi projekty (np. wspólne przedstawienie), ale też asystują przy zabiegach medycznych.

– Często pomagaliśmy przy szczepieniach: tych rutynowych i tych na koronawirusa. Takie akcje prowadzą np. Lekarze Bez Granic. Wiele dzieci nie rozumiało tych sytuacji, było przestraszonych, że musi stać w kolejce po jakiś zastrzyk – mówi Asia. – Staraliśmy się im pomóc.

Spojrzeć w oczy

Olbrzymim utrudnieniem w pracy klaunów okazał się okres pandemii. Wizyty na oddziałach były niemożliwe, więc z Noskami pacjenci widywali się przez ekran komputera. To było nowe doświadczenie wymagające ogromnej kreatywności. Przykład? Dziecko dmucha w ekran, a klaunowi po drugiej stronie spada natychmiast kapelusz.

Ale w pandemicznych spotkaniach online mniej było sztuczek, a więcej rozmowy, próby nawiązania głębszego kontaktu, choć nie zawsze okazywało się to łatwe. Asia wspomina niewidomego chłopca ze spektrum autyzmu.

– Kilka lat temu powiedziałabym, że to niemożliwe, by w tej sytuacji nawiązać kontakt bez spotkania na żywo. A teraz zaczęłam od najprostszej możliwej rzeczy – wspomina.

Powiedziała „bam". Chwila ciszy. Z drugiej strony zwrotne: „bam". „Bam bam" – Asia rozwinęła opowieść. I za chwilę usłyszała: „pam pam". Potem jakoś już poszło.

– Spotykamy się też z seniorami na oddziałach geriatrycznych oraz w domach pomocy społecznej. I potem od personelu słyszymy, że oni nagle znajdują z tymi podopiecznymi nową formę kontaktu. Że ktoś zaczął znowu opowiadać historie, ktoś sobie coś przypomniał, ktoś jest spokojniejszy. W takich momentach nie da się nie lubić swojej pracy.

Michałowi Brańce i Joannie Lewandowskiej zadaję to samo pytanie. Kto nadaje się na dobrego klauna?

– Najważniejsza jest wrażliwość – mówi Asia. – Moją supermocą jest empatia. Wszystko inne, cały warsztat, sztuczki, żarty, da się wypracować. Ale jeśli nie umiesz po prostu dostrzec drugiego człowieka, żaden czerwony nosek ci nie pomoże.

Michał chwilę się zastanawia. Zanim dołączył do fundacji, zdarzało mu się pracować jako „klaun". Mówi, że dzisiaj już wie, że wtedy tylko się za klauna przebierał, nie był nim prawdziwie.

– Pierwsze słowo, które przychodzi mi do głowy, to autentyczność – mówi. – Dzieci mają natychmiastowy i absolutnie skuteczny „radar ściemy". Druga rzecz to umiejętność spotkania, i to na równi. Umiejętność spojrzenia dziecku w oczy, na jego poziomie – podkreśla Michał.

Ba, klaun często schodzi na jeszcze niższe poziomy. Musi umieć bawić się własnymi wpadkami, własnym poczuciem dyskomfortu. Musi być kumplem, a niekoniecznie tylko wirtuozem, na którego się patrzy i oklaskuje. Bo tak naprawdę dobry klaun nie musi być ani cały czas śmieszny, ani bardzo interesujący. On musi być zainteresowany – drugim człowiekiem.

©℗ KRZYSZTOF STORY

UKOS ŚWIATŁA

JACEK STAWISKI

Na Krakowskim Festiwalu Filmowym ma premierę wyprodukowany przez Fundację Tygodnika Powszechnego dokument Wojciecha Szumowskiego. Dokument o Podhalu, a właściwie o każdym zakątku Polski.

Niemal 500 imion i nazwisk. Ich odczytywanie trwa kilkanaście minut. Na jedną osobę przypada ułamek sekundy. Takie wyliczenie, jakie pada w filmie „Ukos światła", przywraca nie tylko pamięć o zamordowanych, ale elementarne człowieczeństwo i godność, które zostały im odebrane przez nazistowskich morderców. Tylko ułamek sekundy na odczytanie imienia i nazwiska, a potem zostają one trwale zapisane w kamieniu – na macewie, która stanie na zbiorowej mogile zamordowanych.

Imiona i nazwiska Żydów z Czarnego Dunajca wracają do swojego domu, gdy na odnajdywanych w najprzeróżniejszych miejscach macewach udaje się odczytać, kim są zmarli. Niesiona na noszach macewa, jakby była ranna, jest przywracana do żywej pamięci. Imiona i nazwiska Żydówek i Żydów wracają do sąsiedztwa żydowsko-polskiego. Wracają do sąsiedztwa i bliskości, a po tym powrocie już nie będzie możliwe przemilczenie żydowsko-polskiej współobecności.

Na początku każdego filmu dokumentalnego są szczególni ludzie, szczególni bohaterowie. I tacy bohaterowie są także w filmie Wojciecha Szumowskiego. Z jednej strony bohaterami są właśnie te odgrzebywane spod grubej warstwy zapomnienia imiona i nazwiska żydowskie, a z drugiej strony – kajakarz Dariusz Popiela oraz garstka zapaleńców. To Polacy, którym zapomnienie i nieobecność imion i nazwisk żydowskich w Czarnym Dunajcu nie tylko nie dawały spokoju, ale którzy ten brak spokoju przełożyli na działania. Zaczęli pytać o żydowskich sąsiadów, sprzątać zaniedbany, zniszczony cmentarz. Badali, odkrywali, obrysowywali, z zachowaniem szacunku dla żydowskiej religii i tradycji pochówku, zbiorowe groby, a także szukali skradzionych z cmentarza macew, które pochodzą z czasów sprzed Zagłady, gdy odbywały się tutaj normalne pogrzeby – takie, jakie powinni mieć każda zmarła kobieta i każdy zmarły mężczyzna.

Popiela i zapaleńcy potrafią wprost rozmawiać z Polakami o Zagładzie i polskim patrzeniu na katastrofę żydowskich sąsiadów. Stawiają nie tylko innym, ale i samym sobie pytania o banalność niepamięci. Polscy sąsiedzi Żydów, tych z przeszłości, i polscy sąsiedzi współczesnych opuszczonych i zaniedbanych cmentarzy lub dawnych budynków żydowskich, otwierają się na rozmowę dzięki szczególnej autentyczności i bezkompromisowości pytających. Nawet wtedy, gdy ktoś mimochodem, ot tak, wyśmiewa się z cierpienia żydowskiego, potrafią tłumaczyć i wskazywać, że taki z pozoru niewinny rechot to rzecz nieludzka.

Darkowi Popieli i jego przyjaciołom przez długie tygodnie, pewnie miesiące poszukiwań, sprzątania, koszenia, kopania, wożenia, renowacji, spotkań, rozmów, uroczystości, towarzyszy kamera. Ma się wrażenie, że jest naszymi oczami, że jesteśmy obok, że to my towarzyszymy w tym działaniu. Mistrzostwo pracy z kamerą stawia film obok najlepszych dzieł, jakie obejrzałem przez kilkanaście lat regularnego oglądania i zapowiadania filmów dokumentalnych w telewizyjnym programie. Dawno żaden film nie przeniknął mnie tak dogłębnie, nie został we mnie na tak długo. „Ukos światła" to film o właściwie każdym zakątku Polski. Pewnie wielu z nas zna takie miejsca, gdzie przydałyby się kolejne „Ukosy". Podobne filmy i podobni bohaterowie.

JACEK STAWISKI prowadzi cykl „Ewa Ewart poleca" w TVN24, jest współautorem filmów dokumentalnych „My, naród" oraz „Pułkownik House".

Premiera „UKOSU ŚWIATŁA" odbędzie się w ramach 62. Krakowskiego Festiwalu Filmowego, 4 czerwca o godz. 15.00 w kinie Kijów. Film będzie można obejrzeć również w dniach 3-12 czerwca na festiwalowej platformie streamingowej KFF VOD.

MATERIAŁ OPP // FOT. JACEK TARAN

JACEK

Podsiadło: *Szli na zachód szabrownicy*

Urodzona w Buszynie Erna Rinklin miała w 1945 r. osiem lat. Wspomnienia spisała po wielu, wielu latach: „Co noc zjawiali się Rosjanie. Słysząc ich krzyki dostawałam epilepsji, nieprzytomna drżałam, na ustach miałam pianę. Mama trzymała mnie w ramionach. Ale i tak zabrali ją do stodoły. Jeszcze bardziej się baliśmy, kiedy przyjechał z kumplami bryczką pijany oficer. Mając 8 lat przestałam być dzieckiem".

Libussa Fritz z Gardny próbowała Rosjan zrozumieć, ich okrucieństwo postrzegała jako działanie zwycięskiego prawa pięści: „Polacy zaś nie są zwycięzcami, lecz ich świtą. Dlatego przejęcie przez nich władzy ma inną jakość. Jest w nim coś zimnego, skrytego i przebiegłego – i w tym sensie coś znacznie głębiej przejmującego grozą niż brutalna przemoc".

Zygmunt Kwiatkowski pozostawił po sobie wspomnienia ormowca, w których opisuje, jak w 1945 r. Niemka z Omulna regularnie zgłaszała nowej władzy napady szabrowników: „Wpadliśmy do stodoły i zobaczyliśmy dwóch mężczyzn, którzy na rozścielonym prześcieradle młócili pszenicę. Sołtys pobiegł strzelając za uciekającymi, którzy mieli trzy załadowane na wózek silniki. Odczepili konia od wózka, wskoczyli na niego i uciekli. Tym w stodole sołtys zezwolił zabrać umłóconą pszenicę. Byli to szabrownicy z Deutsch Krone – tak się wówczas nazywał Wałcz. Silniki elektryczne sołtys odwiózł do gminy i oddał je za pokwitowaniem wójtowi w Dębołęce".

Tym sposobem Pszenica Odzyskana całkowicie legalnie przypadła szabrownikom, Silniki Odzyskane przeszły w ręce polskich władz i raz na zawsze został położony kres niemieckiej penetracji na Śląsku, jeśli wolno mi zacytować bez cudzysłowu Kronikę Filmową, która w pierwszych powojennych latach nader chętnie się Ziemiami Odzyskanymi zajmowała. Milczała o tym, że w szeregach milicji i UB na polskim Dzikim Zachodzie znajdowały schronienie zakapiory, których w położonych bardziej na wschód okolicach milicja poszukiwała. W ciągu czterech powojennych lat na Ziemie Odzyskane wyjechał m.in. co szósty mieszkaniec Kielecczyzny i tutejszych urzędników określano jako „bandę kielecką". W Świnoujściu komendantem milicji został Jan Zientara z Pińczowa, według akt tejże milicji przejawiający „skłonność do zysku osobistego i alkoholu". Swoim podwładnym kazał odcinać Niemkom palce, a Pierścionki Odzyskane w ten sposób przynosić sobie. Stanąwszy przed sądem w 1947 r., odsiedział trzy lata za trzy zabójstwa, wielokrotne zgwałcenie 16-letniej niemieckiej aresztantki (potem rozstrzelanej) i kradzież milicyjnej świni.

W internecie znalazłem wspomnienia anonimowego milicjanta z zabawy tanecznej w Świdnicy we wrześniu 1945 r. Na miejsce zabawy przybył milicyjny patrol „i chciał zabrać upitego ubowca leżącego u wejścia na salę. Wtem pojawił się pewien funkcjonariusz UB i nie pozwolił zbliżyć się do leżącego. Patrol chciał owego funkcjonariusza wylegitymować, a wtedy wydobył on pistolet i zaczął strzelać. Trafił dowódcę patrolu, dwudziestoletniego Zawardkę w pierś i zabił go na miejscu".

W Oławie hersztem bandy kieleckiej, czyli pełnomocnikiem rządu na Obwód nr X Dolnego Śląska, został pochodzący z Ostrowca Świętokrzyskiego Władysław Gorazd. W latach 70. opublikował w „Słowie Ludu" wspomnienia, z których wynika, że kiedy z podległymi sobie urzędnikami dotarł nad Odrę, przemówił nad jej brzegiem następującymi słowami: „I znowu tu jesteśmy, jak za czasów Chrobrego – hop hop, hej, bracia, Ziemowity i Mściwoje, czy mnie słyszycie?". Ponieważ Ziemowity i Mściwoje milczeli, kierownikiem Wydziału Osiedleńczego Gorazd mianował Stanisława Balukiewicza, który wkrótce „odszedł z tego stanowiska ze względu na skłonności do alkoholu". W ramach „niezwłocznego zacierania niemczyzny" miejscowość Seiffersdorf – dzisiejsze Zabardowice – Gorazd skromnie nazwał Gorazdowem. Przed referendum ludowym w 1946 r. odgórnie wzmógł walkę klasową. „Miała ona na celu zdemaskować elementy wywrotowe, które zakonspirowane zaraz po wojnie, chciały zdezorientować ruch robotniczo-chłopski".

Dezorientacja ruchu robotniczo-chłopskiego powiodła się elementom wywrotowym w Gdańsku, gdzie po referendum szef WUBP w Gdańsku ze smutkiem referował: „Ogólnie naszą tajemnicą są odpowiedzi rehabilitowanych Polaków, jak zapisano w języku niemieckim 3 razy »nie« lub »Heil Hitler«. Odpowiedzi takich było procentowo bardzo wiele, w Gdańsku, szczególnie w Oliwie i na powiatach".

W tym samym roku dziennikarz radia szczecińskiego „rozmawiał" z mieszkanką miasta, Czesławą Margilewską, która zabawnie dukała i przejęzyczała się, czytając z kartki zawczasu przygotowane odpowiedzi. Zapytana o szczecińskich Niemców, Margilewska wyrecytowała tonem młodej lekarki na rubieży: „Są oni dla nas niczym. Polacy, którzy przeszli piekło obozów niemieckich i doznali tyle krzywd, potrafią w stosunku do nich wykazać zupełnie spokojną pogardę, nie znęcają się nad nimi".

Urodzony w 1935 r. w Miechowicach Józef Szmidt, trójskoczek, który z orłem na piersi dwukrotnie wyskakał dla nas olimpijskie złoto, dopiero w wieku 75 lat wyznał Onetowi: „Na lekcjach siedziałem w ostatniej ławce – jako nikt, jako gówno. Bili mnie strasznie za to, że nie mówiłem po polsku. Dostawałem straszne wciry, byłem pokrwawiony dzień w dzień. Krwawiłem jak wieprz, do dzisiaj mam blizny i ślady na ciele. Kiedyś mama pojechała do Katowic, żeby załatwić wyjazd do Niemiec. Wzięła ze sobą pierścionki i oszczędności. Wszystko dała ludziom, którzy mieli pomóc nam w wyjeździe, ale okazali się oszustami". ©

WIARA

NIEPEWNOŚĆ FRANCISZKA

Po soborze chciano kurię rzymską zlikwidować albo przenieść do Jerozolimy. W porównaniu do tych radykalnych marzeń reforma Franciszka wypada blado.

MASSIMO FAGGIOLI

5 czerwca, w Niedzielę Zesłania Ducha Świętego, wchodzi w życie Konstytucja apostolska „Praedicate Evangelium", reformująca kurię rzymską. To preludium do wielkich zmian, zwłaszcza personalnych, na najwyższych stanowiskach w Watykanie – zwłaszcza że siedmiu obecnych kardynałów kurii ma ponad 75 lat. Chodzi o lepsze dostosowanie kurii do podstawowych założeń pontyfikatu Franciszka. A przecież mamy do czynienia nie z jego otwarciem, ale raczej ze schyłkiem.

Reforma zaczęła się już 4 tygodnie po wyborze kard. Jorgego Bergoglia na biskupa Rzymu – 13 kwietnia 2013 r. Nowy papież ogłosił wtedy skład „rady kardynałów", która miała pomagać mu w przekształcaniu kurii, działającej w oparciu o przepisy stworzone przed 34 laty przez Jana Pawła II. Radę tworzyło 8 kardynałów ze wszystkich kontynentów, przy wyraźnym zminimalizowaniu znaczenia hierarchów z Włoch i przedstawicieli samej kurii. W chirografie opublikowanym pięć miesięcy później Franciszek sprecyzował,

Spotkanie papieża Franciszka z kardynałami kurii rzymskiej, Sala Klementyńska, Watykan, grudzień 2019 r.

ANDREW MEDICHINI / AP / EAST NEWS

że nowa rada ma również pomagać mu w zarządzaniu Kościołem powszechnym.

W kilku wywiadach papież przyznał, że otrzymał od konklawe zadanie odzyskania kontroli nad swoim najważniejszym urzędem po skandalach, które wyszły na jaw w 2012 r. i doprowadziły m.in. do bezprecedensowego procesu i skazania kamerdynera Benedykta XVI, odpowiedzialnego za wyciek kompromitujących dokumentów (tzw. afera VatiLeaks). Symptomem kryzysu było także to, że niemal nikt nie spodziewał się wyboru Włocha, a tym bardziej reprezentanta kurii, na nowego papieża. Szybki wybór kardynała z Argentyny, który nigdy nie pracował w centralnych urzędach Kościoła, a z dykasteriami utrzymywał stosunki jedynie jako biskup, potwierdził te oczekiwania.

Prace nad reformą, niewątpliwie opóźnione nieco przez pandemię, trwały długo – nowa Konstytucja została opublikowana 19 marca tego roku, dokładnie dziewięć lat po rozpoczęciu pontyfikatu Franciszka. Projekt dokumentu był przedmiotem dwóch obszernych konsultacji w 2020 r., potem zrewidowany został przez Radę Kardynalską, a następnie przez Kongregację Nauki Wiary i przez Papieską Radę ds. Tekstów Legislacyjnych.

To ważny moment w pontyfikacie Franciszka. Jednak wbrew oczekiwaniom i zapowiedziom z pierwszych lat nie przynosi rewolucji. To raczej tradycyjna reforma, oddająca zresztą dobrze styl Franciszka, radzącego sobie w dużej mierze bez pomocy kurii (którą, co symptomatyczne, pozostawił na uboczu także w czasie dziewięcioletniej dyskusji nad najważniejszym dla niej dokumentem).

Odzyskiwanie kontroli

Prace nad reformą biegły trzema ścieżkami. Pierwszą było opracowanie samego dokumentu: zasadniczą rolę odegrała tu wspomniana Rada Kardynałów, która w okresie od 2013 do lutego 2022 r. zbierała się czterdziestokrotnie, przy czym najbardziej intensywną fazą były lata 2017-2019. W 2017 r. ogłoszono tytuł nowej konstytucji, w czerwcu 2018 r. Franciszek otrzymał pierwszy jej szkic; w 2019 r. temu tematowi poświęcono większość z pięciu posiedzeń rady.

Drugim rysem było coraz większe osobiste zaangażowanie Franciszka w reformę. Przejawiało się przede wszystkim w tworzeniu nowych dykasterii lub modyfikowaniu dotychczasowych struktur i kompetencji. Trzy przykłady: w lutym 2014 r., ogłaszając *motu proprio* „Fidelis dispensator", papież ustanowił nową Radę Gospodarczą i Sekretariat ds. Gospodarczych Stolicy Apostolskiej, mianując prefektem tego drugiego urzędu australijskiego kardynała George'a Pella. W listopadzie 2014 r. Franciszek utworzył w Kongregacji Nauki Wiary nowy organ sądowniczy, który zajmuje się odwołaniami księży oskarżonych o nadużycia. Z kolei w lutym 2022 r. promulgował *motu proprio* „Fidem servare", modyfikujące strukturę Kongregacji Nauki Wiary, wydzielając w niej dwie sekcje – doktrynalną i dyscyplinarną – którym przewodniczy dwóch różnych sekretarzy.

Trzeci aspekt stanowią przemówienia Franciszka poświęcone kurii rzymskiej. ↦

Słowa kierowane do szefów dykasterii, na przykład podczas tradycyjnych spotkań bożonarodzeniowych, były szczególnie szorstkie i często trudne do przyjęcia. W przemówieniu z grudnia 2014 r. papież mówił o piętnastu chorobach centralnego urzędu Watykanu. Podzielił się też interesującym pomysłem eklezjologicznym, uznając kurię nie za strukturę biurokratyczną, ale widząc w niej „mały model Kościoła" i stawiając na pierwszym miejscu rys duchowy. W przemówieniu z grudnia 2015 r. przedstawił listę 24 cnót potrzebnych kurii. Rok później nakreślił dwunastoetapowy program reform. W grudniu 2017 r. mówił bardzo obrazowo (cytując belgijskiego księdza i dyplomatę de Mérode): „Wprowadzanie jakichkolwiek reform w Rzymie jest jak czyszczenie egipskiego Sfinksa szczoteczką do zębów". W przemówieniu z grudnia 2019 r. powiązał planowaną nową konstrukcję kurii z eklezjologią Vaticanum II i koniecznością odejścia od chrześcijaństwa średniowiecznego.

Nowe po staremu

Konstytucja „Praedicate Evangelium" daje jasno do zrozumienia, że marzenia z wczesnego okresu posoborowego się nie spełniły. Pojawiły się wtedy pomysły likwidacji kurii, rozbicia jej na części działające w różnych krajach, przeniesienia urzędów do Jerozolimy. Myślano o radykalnej redukcji i nawiązaniu do ekumenicznego modelu papiestwa z pierwszego tysiąclecia, z czasu przed rozejściem się z Kościołem prawosławnym i przed reformacją. Reforma Franciszka pozostawia rzymskiej kurii status organu centralnego, który pomaga papieżowi w zarządzaniu Kościołem katolickim.

Przewiduje zmiany w jego strukturze, ale nie wprowadza rewolucji. Franciszek pozostaje jezuitą, który bardziej wierzy w nawrócenie duchowe i kulturowe niż w zmiany instytucjonalne. W pierwszej części konstytucji widać, że fundamenty teologiczne reformy sięgają dokumentów Soboru Watykańskiego II (zwłaszcza konstytucji o Kościele „Lumen gentium", ale także dekretu o posłudze pasterskiej biskupów „Christus Dominus"). W części drugiej podkreślone są najważniejsze aspekty kościelne reformy: wspieranie posługi papieża, współodpowiedzialność, pomoc biskupom i Kościołom lokalnym, konferencjom episkopatów, wspieranie powszechności (katolickości) Kościoła. Część trzecia zajmuje się strukturą urzędu i procedurami działania kurii rzymskiej.

> Wprowadzanie reform w Rzymie jest jak **czyszczenie egipskiego Sfinksa szczoteczką do zębów** – cytował Franciszek złośliwe powiedzenie.

Podstawowa konstrukcja kurii rzymskiej w „Praedicate Evangelium" jest wciąż podobna do tej, jaką stworzył Sykstus V w 1588 r. Zmienia się co prawda nomenklatura – nie będziemy używać już nazwy kongregacja, a jedynie dykasteria – ale nadal pozostaniemy przy systemie „zgromadzeń stałych", w przeciwieństwie do modelu „zgromadzeń ad hoc", jaki dominował przed 1588 r. (choć w niektórych formach przetrwał do XIX w.). Nowa konstytucja podąża tą trajektorią, która prowadzi do profesjonalizacji personelu, ale też do jego większej i szybszej rotacji: Franciszek nie chce, by urzędnicy kurii byli „elitą" w Kościele. Jednocześnie reforma nie rozszerza jednak przestrzeni dla kolegialnych konsultacji kardynałów z Rzymu i z rezydencjalnych stolic Kościoła w całym świecie.

Pomimo deklarowanego zamiaru zmniejszenia liczby dykasterii postępuje dalsza ekspansja watykańskiej biurokracji. „Praedicate Evangelium" przewiduje 28 „departamentów stałych", które tworzą dykasterie, sądy oraz jednostki gospodarcze i finansowe. Konstytucja „Pastor bonus" Jana Pawła II z 1988 r. wymieniała 24 takie podmioty. Wzrost liczby nie jest jednak zaskakujący, jeśli weźmiemy pod uwagę globalny wzrost Kościoła katolickiego. Pojawiły się więc nowe urzędy: Dykasteria ds. Świeckich, Rodziny i Życia, Dykasteria ds. Integralnego Rozwoju Człowieka (Franciszek utworzył je jeszcze przed ogłoszeniem nowej konstytucji) czy Dykasteria ds. Służby Miłosierdzia. Z kolei dotychczasowa Kongregacja ds. Wychowania Katolickiego zostanie połączona z Papieską Radą ds. Kultury, tworząc nową Dykasterię Kultury i Edukacji.

Ważna, ważniejsza...

Ważną cechą nowej kurii jest też deklarowana równość wszystkich dykasterii – nie będzie już urzędu wyższego od pozostałych. Formalnie równość była już wprowadzona przez konstytucję „Pastor bonus", ale dopiero teraz okaże się, czy zaistnieje w praktyce. Nie jest to wcale pewne, bo już widać zarys triady superdykasterii: Ewangelizacji, Nauki Wiary i Sekretariatu Stanu.

Rangę najważniejszej dykasterii traci jednak urząd zajmujący się ortodoksją (czyli dotychczasowa Kongregacja Nauki Wiary): w nowej konstytucji na pierwszym miejscu wymieniana jest dykasteria ewangelizacyjna, co pokazuje, że celem reformy Franciszka jest nadanie Kościołowi charakteru misyjnego, a nie obrona doktryny. Nowa dykasteria, powierzona bezpośredniej kontroli papieża, przejmie funkcje dotychczasowej Kongregacji ds. Ewangelizacji Narodów, kierującej administracją Kościoła na terenach misyjnych, i Papieskiej Rady ds. Krzewienia Nowej Ewangelizacji, stworzonej za pontyfikatu Benedykta XVI.

Do dykasterii „pierwszego rzędu" nie będzie się jednak zaliczał Sekretariat ds. Gospodarczych, o co zabiegał jego pierwszy prefekt, kard. George Pell, który chciał nadać kierowanemu przez siebie urzędowi rangę niemal Sekretariatu Stanu. Pozostawienie sekcji gospodarczej w drugiej linii jest odpowiedzią na publiczne starcia, do jakich dochodziło w Watykanie w sprawach ekonomicznych. Sekretariat Gospodarczy będzie nadal „współpracował" z Sekretariatem Stanu, w gestii tego drugiego pozostają też, jak dotąd, „wyłączne kompetencje" w sprawach dotyczących dyplomacji i prawa międzynarodowego.

Kobiety i kompetencje

Ważną zmianę przynosi artykuł 17 nowej konstytucji, dotyczący rotacyjności urzędów kurialnych. Zgodnie z nim pracownicy kurii pełnią funkcję przez 5 lat i kadencja ta może być tylko jednorazowo ponowiona. Istotną nowością jest też nakaz, by po zakończeniu pracy w kurii (a więc po pięciu lub dziesięciu latach) duchowni i zakonnicy wracali do swoich diecezji, eparchii lub zakonów i instytutów. Rezultatem będzie częsta wymiana kadr, ale też poważny problem dla przyszłej kurii: praca w dykasterii jest już tak wyspecjalizowana, że wymaga nie tylko

odpowiedniego przygotowania, ale też doświadczenia.

W drodze wyjątku papież może nie przyjąć dymisji prefektów i sekretarzy dykasterii po upływie ich kadencji. Natomiast od zasady, że wszyscy członkowie kurii tracą urząd w wieku 80 lat (to granica wieku kardynałów, po przekroczeniu której nie mogą uczestniczyć w wyborze papieża), nowa konstytucja zdaje się nie przewidywać już wyjątków.

Jedną z głównych zmian wprowadzanych przez Franciszka jest zgoda, by członkami, a nawet przełożonymi dykasterii i instytucji kurialnych byli świeccy, w tym kobiety (wyjątkiem jest Najwyższy Trybunał Sygnatury, w skład którego wchodzą tylko kardynałowie, biskupi i kapłani). Do tej pory zatrudnianie kobiet w większej liczbie było utrudnione raczej przez klerykalną inercję, dotykającą także papieża, niż z powodu przeszkód teologicznych czy prawnych. Ideologiczne odczytanie nowej konstytucji budzi więc oczekiwania, które mogą i teraz okazać się nieuzasadnione.

Ciekawe jest również, jak będzie stosowane „kryterium kompetencji" osób świeckich, o którym mówi paragraf 129 konstytucji, nie precyzując, o jakie kompetencje chodzi. Wydaje się oczywiste, że – przynajmniej w przypadku większości dykasterii – najbardziej kompetentnymi osobami byliby świeccy profesjonaliści, kobiety i mężczyźni. Pozostaje jednak problem równowagi między tożsamością świecką i duchowną, którego nie da się rozwiązać przy pomocy technokratycznych kategorii.

W dodatku „Praedicate Evangelium" nic nie mówi o standardach wynagrodzeń dla ekspertów powoływanych do watykańskiej administracji. Zatrudnianie świeckich wiąże się z większymi kosztami w porównaniu do rekrutacji personelu spośród duchownych, którzy otrzymują dochody dodatkowe ze swoich diecezji lub zakonów. Mogą też pojawić się inne problemy – jeśli na przykład świeccy członkowie lub szefowie dykasterii będą wywodzić się głównie z nowych ruchów katolickich lub wspólnot świeckich, bowiem te historycznie są silnie związane z kręgami rzymskimi. Mogłoby to, owszem, zapewnić kurii kompetentnych katolików świeckich, ale nie spowodowałoby zwiększenia liczby rzeczywistych reprezentantów Kościoła światowego.

Przestawione akcenty

W odniesieniu do trawiącego Kościół kryzysu wykorzystywania seksualnego nieletnich zasadnicze znaczenie ma artykuł 78, włączający Papieską Komisję ds. Ochrony Nieletnich w struktury Kongregacji Nauki Wiary. Dzięki temu Komisja nie będzie już tkwić w instytucjonalnym zawieszeniu wobec kurii rzymskiej, jak było od początku jej istnienia (2014 r.). Jaki to będzie miało realnie wpływ na jej jej skuteczność i autorytet w samym Watykanie – dopiero się okaże.

Nowa konstytucja ma też znaczenie dla relacji między Franciszkiem a neotradycjonalistycznymi grupami antysoborowymi. Obecny papież zlikwidował powołaną przez Jana Pawła II (w lipcu 1988 r.) komisję Ecclesia Dei, której jeszcze większe znaczenie nadał Benedykt XVI poprzez *motu proprio* „Summorum pontificum" z 2007 r. Od teraz tradycjonalistami będzie zajmować się Dykasteria Nauki Wiary, co oznacza, że ruchy tradycjonalistyczne nie będą traktowane wyjątkowo i że za pontyfikatu Franciszka nie przykłada się zbyt dużej wagi do ich ewentualnego zjednoczenia z Rzymem.

Kluczową kwestią jest z pewnością zmiana funkcji Sekretariatu Stanu. Wydaje się, że papież zdecydował się ograniczyć jego rolę, przynajmniej w porównaniu z ogromnym znaczeniem, jakie nadał temu urzędowi Paweł VI w 1967 r. W artykule 22 „Praedicate Evangelium" czytamy, że Najwyższy Trybunał Sygnatury Apostolskiej ma rozstrzygać nie tylko konflikty kompetencyjne pomiędzy dykasteriami, jak było dotychczas, ale także spory między dykasteriami a Sekretariatem Stanu. Ponadto, w odróżnieniu od odchodzącej do historii konstytucji „Pastor bonus", artykuł 44 określa, że Sekretariat Stanu jest „sekretariatem papieskim": co wydaje się być kolejnym dowodem, że nowa kuria ma być jeszcze bardziej skoncentrowana na osobie papieża.

Wchodzący w życie dokument ani razu nie wspomina o Radzie Kardynałów. Decyzja o niewłączeniu „rady koronnej" do nowej konstytucji apostolskiej mogła mieć na celu uspokojenie starej watykańskiej gwardii. Stała Rada Kardynałów, pomagająca papieżom w zarządzaniu Kościołem i kurią, byłaby zmianą radykalną, ale też wyrazem wierności wobec jednego z postulatów Soboru Watykańskiego II. Co się stanie z działającą dotąd Radą po zakończeniu pontyfikatu Franciszka? Papież pozostawia decyzję następcom, dając im więcej swobody niż w innych sprawach, ściśle określonych przez nowe przepisy.

Ujmując rzecz historycznie, relacje między papieżem, kardynałami i kurią zawsze były złożone. Vaticanum II stworzył kolejną instytucję – Synod Biskupów – która nie jest częścią kurii rzymskiej, ale której sekretariat generalny znajduje się w Watykanie. Obie instytucje są przedłużeniem prymatu papieskiego. Nie jest jeszcze jasne, w jaki sposób po wprowadzeniu „Praedicate Evangelium" zmieni się relacja pomiędzy nimi (Synod Biskupów w nowej konstytucji nazywano po prostu „synodem"). W podobnie zdawkowy sposób dokument traktuje konsystorze (art. 35, niewiele różniący się od zapisu w „Pastor bonus") – spotkania wszystkich kardynałów, zwoływane przez papieża dla omówienia szczególnie ważnych spraw. Taki konsystorz Franciszek zwołał tylko raz, w lutym 2014 r., dla przedyskutowania problematyki rodziny. Podobny znak zapytania pojawia się również w stosunku do spotkań wszystkich prefektów kurii – zgodnie z artykułem 34 będą one zwoływane i koordynowane przez Sekretariat Stanu w porozumieniu z papieżem, ale konstytucja nie określa częstotliwości tych spotkań.

Nie ma wątpliwości, że nowa konstytucja wprowadza zmiany, które przebiegają po znanych trajektoriach posoborowego Kościoła. Z jednej strony, jest owocem poważnego wysiłku, by ukształtować kurię zgodnie z eklezjologią Vaticanum II, by pokazać mniej włoski, mniej europejski, a bardziej globalny charakter Kościoła. Z drugiej, widać w niej wszystkie niejasności katolickiej teologii instytucji, która próbuje znaleźć równowagę pomiędzy *urbs* (Rzymem) a *orbis* (Kościołem w świecie), papieskim prymatem i biskupstwem, charyzmatem i biurokracją. Odzwierciedla również trudną relację pomiędzy teologią, magisterium i prawem kanonicznym. I jest dowodem niezdecydowania papieża Franciszka w roli ustawodawcy.

© MASSIMO FAGGIOLI

Przełożył EDWARD AUGUSTYN

Autor (ur. 1970) jest profesorem Uniwersytetu Villanova (Filadelfia, USA), wykładowcą historii Kościoła i teologii historycznej oraz publicystą.

Bezpośredni Bóg

PIOTR SIKORA

Religia bierze się z Ducha, wobec którego jesteśmy równi. Wszelkie instytucje i hierarchie są wtórne.

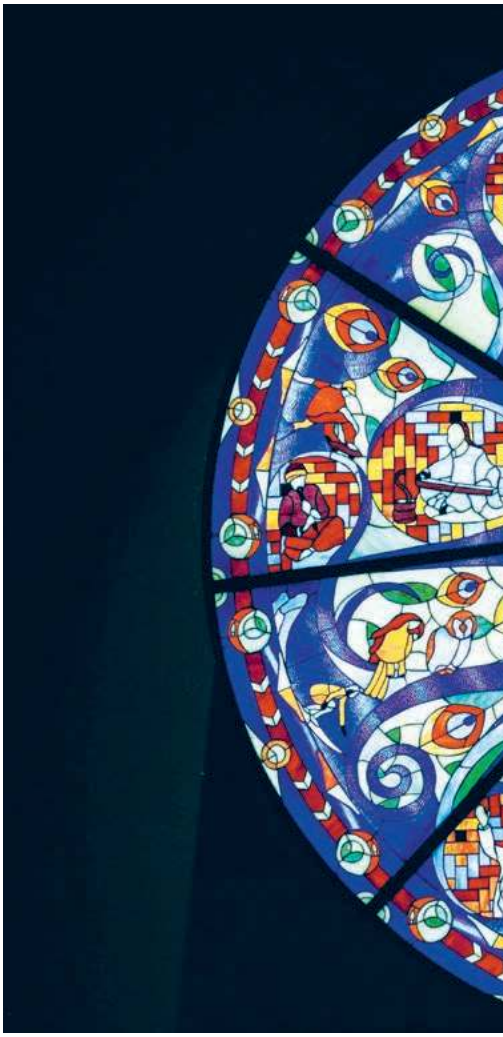

Rok 399 p.n.e., Ateny: podporządkowując się wyrokowi sądu, obywatel tego miasta, Sokrates, wypija cykutę i umiera. Rok – jak się przypuszcza – 30 albo 33 n.e., Jerozolima: po prawnie wątpliwym procesie umiera na krzyżu wędrowny galilejski nauczyciel, Jezus z Nazaretu. Rok 922 n.e., Bagdad: perski mistyk Al-Halladż zostaje przez radę muzułmańskich ulemów skazany na śmierć i powieszony. Rok 1310 n.e., Paryż: beginka i nauczycielka, autorka dzieła „Zwierciadło dusz prostych" Małgorzata Porete płonie na stosie z wyroku inkwizycji.

Cztery wyzwania

Wiele ważnych różnic można znaleźć pomiędzy tymi czterema osobami. Jest jednak coś, co je łączy – duchowe doświadczenie bezpośredniej łączności z Boskością, które spowodowało, że żyjąc z głębi tego doświadczenia i mówiąc o nim, ludzie ci zderzyli się z religijną instytucją swego miejsca i czasu. Sokrates słuchał wewnętrznego dajmoniona, który ujawniał mu złudność ludzkich pretensji do wiedzy o bogach, a jednocześnie prowadził go do wizji niepojmowalnego Dobra, istniejącego samo w sobie. Jezus, po przyjęciu chrztu od Jana w Jordanie, „ujrzał rozwierające się niebo i Ducha jak gołębicę zstępującego na siebie", co dało mu świadomość boskiego pochodzenia i jedności z Bogiem (por. Mk 1, 9-11). Al-Halladż w sufickiej medytacji poznał, że już nic go nie oddziela i nie różni do samej Boskiej Prawdy. Małgorzata Porete zaś odkryła, iż może zniknąć całkowicie w Boskiej Miłości – wolna od wszelkich stworzonych środków i pośredników.

Wszyscy czworo zderzyli się z instytucjami religijnymi, które pilnowały, by człowiek nie śmiał przekraczać dystansu, jaki – wedle ich doktryny – dzieli go od sfery boskiej. Instytucje te głosiły konieczność korzystania z pośrednictwa będącego w ich gestii: świętej Księgi, rytuałów, przepisów. Instytucje te albo już były skostniałe, albo właśnie uchodziło z nich życie głębsze niż polityczny interes.

Sokrates swymi pytaniami kąsał – jak giez konia – nieco prostacką religijność Ateńczyków, która jednak spajała ich polis, zapewniając w niespokojnych czasach trwanie *status quo*. Jezus, głosząc nadejście bezwarunkowej bliskości Boga, rozpalał nadzieje mesjańskie, które mogły zachwiać kruchym układem jerozolimskich elit religijnych z rzymskim okupantem. Sposób, w jaki Al-Halladż poszukiwał Boskiej Prawdy ukrytej wewnątrz serca, kwestionował społecznie ustalone granice pomiędzy wtajemniczonymi członkami zakonów sufickich i zwykłymi wyznawcami, sunnitami i szyitami, a nawet muzułmanami i poszukiwaczami Boga w innych tradycjach. Tu i teraz dostępna możliwość zniknięcia w Boskiej Miłości, o której pisała Małgorzata Porete, stawiała pod znakiem zapytania konieczność udzielanych przez księży sakramentów; sam zaś sposób bycia beginki, nauczającej innych ludzi, rozsadzał ustalony układ społecznych ról przypisywanych kobietom i mężczyznom.

Czas, przestrzeń, kultura dzieli czworo przywołanych osób. A jednak są podobni. Takie podobieństwo odnajdywane w różnych miejscach historii ludzkości skłania filozofów do wysnucia tezy: religia rodzi się z duchowego doświadczenia jednostek; później wokół doświadczonych gromadzą się uczennice i uczniowie; potem dopiero tworzą się struktury; doświadczenie stygnie; jego resztki albo pamięć o nim zostaje wykorzystana – jak paliwo – w drodze ku bardziej przyziemnym celom: utrwaleniu zbiorowej i indywidualnej tożsamości, uzyskaniu poczucia orientacji i bezpieczeństwa w skomplikowanym i niepewnym świecie, zdobyciu i utrzymaniu politycznej władzy, wygodnemu umoszczeniu się w gnieździe społeczeństwa...

Tradycje religijne, w których doświadczenie stygnie i które – w konsekwencji – zastygają w sztywnych strukturach, tracą swoją żywotność i moc. Często trwają dzięki sile politycznych patronów, którzy wykorzystując resztki dawnej żywotności religii do własnych celów, zapewniają w zamian religijnym instytucjom wsparcie, a nawet przywileje, pozwalające na bezpieczne funkcjonowanie bądź

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

GAO JING XINHUA / EAST NEWS

„Duchowość kobiet" – wystawa sztuki współczesnej. Pekin, kwiecień 2017 r.

na złudzenie zachowania dawnej potęgi. Gdy w takim otoczeniu pojawi się ktoś, przed kim boska rzeczywistość się odsłoniła i kto żyje czerpiąc z tego doświadczenia, łatwo dochodzi do konfliktu. Nowe wino – ostrzega Jezus w ewangelii – rozsadza stare bukłaki.

Osobiste i wspólnotowe

Filozofowie, którzy widzą źródło religii w duchowym doświadczeniu, zwracają najczęściej uwagę na jednostkę jako podmiot tego doświadczenia. Mają sporo racji. Po pierwsze, historyczne źródła sugerują, że właśnie takie duchowo wybitne jednostki stały u początków wielu religijnych tradycji: Laozi, Budda, Jezus, Mani, Mahomet. Co więcej: najważniejsze doświadczenie duchowe rozgrywa się zawsze w głębinach ludzkiej jaźni. Jest jak najbardziej osobiste, zwykle niemal niekomunikowalne.

W tym kontekście warto jednak zwrócić uwagę na tekst będący podstawą uroczystości Zesłania Ducha Świętego: „Kiedy nadszedł wreszcie dzień Pięćdziesiątnicy, znajdowali się wszyscy razem na tym samym miejscu. Nagle dał się słyszeć z nieba szum, jakby uderzenie gwałtownego wiatru, i napełnił cały dom, w którym przebywali. Ukazały się im też języki jakby z ognia, które się rozdzieliły, i na każdym z nich spoczął jeden. I wszyscy zostali napełnieni Duchem Świętym, i zaczęli mówić obcymi językami, tak jak im Duch pozwalał mówić" (Dz 2, 1-4).

Opis zamieszczony w Dziejach Apostolskich zachowuje osobisty wymiar doświadczenia religijnego – wyrażając go w symbolu płomienia, który się rozdziela, tak że na każdym uczestniku spoczywa jeden ognisty język. Z drugiej strony tekst Łukasza mówi o doświadczeniu wspólnotowym, przeżywanym razem. Co więcej: wskazuje, że skutkiem owego przeżycia jest umiejętność komunikacji z tymi, którzy byli dotąd obcy – zdolność dalszego nawiązywania i budowania wspólnoty. W teologicznej perspektywie Dziejów Apostolskich właśnie to doświadczenie jest początkiem nowego charakteru wspólnoty uczniów Jezusa. Można powiedzieć, że Łukasz buduje tu model wyjaśniający, skąd się bierze tradycja, którą można nazwać chrześcijaństwem.

Warto jednak przeczytać tekst dalej. Gdy postronni świadkowie wydarzenia dziwią się zachowaniu uczniów i sugerują, że upili się młodym winem, Piotr odrzuca to redukcjonistyczne wyjaśnienie i przypomina im przepowiednię proroka Joela: „W ostatnich dniach – mówi Bóg – wyleję Ducha mojego na wszelkie ciało, i będą prorokowali synowie wasi i córki wasze, młodzieńcy wasi widzenia mieć będą, a starcy – sny. Nawet na niewolników i niewolnice moje wyleję w owych dniach Ducha mego, i będą prorokowali" (Dz 2, 17-18 / Jl 3, 1-2).

Przeżycie i chrześcijaństwo

Znaczenie przywołania tego akurat cytatu ujawni się pełniej, jeśli weźmiemy pod uwagę, że Księga Joela przeciwstawia wyraźnie obiecane wylanie Ducha aktualnej sytuacji, w której prorok pisze swoje słowa – zniszczeniu i martwocie zarówno ziemi Izraela, jak i jerozolimskiej Świątyni, w której zamarł kult Boga. Bibliści nie są zgodni co do tego, do jakiej konkretnej sytuacji historycznej Joel się odnosi. Wiemy jednak na pewno, że opisuje jakiś fundamentalny kryzys społeczny i religijny. Wieszczy też jednocześnie, że jedyną drogą wyjścia z tego kryzysu jest bardzo głębokie – a jednocześnie obejmujące szerokie kręgi społeczne – doświadczenie duchowe.

Odwołanie się przez Piotra do cytatu właśnie z Księgi Joela wskazuje, że pierwsi chrześcijanie podobnie postrzegali sytuację religijnej wspólnoty, w której sami żyli. Byli zaś Żydami. Ich tradycją był judaizm Drugiej Świątyni. Przez wieki mieliśmy dość uproszczony obraz tego okresu religii Izraela. Dziś, po rozmaitych odkryciach archeologicznych, m.in. pism wspólnoty z Qumran, coraz lepiej uświadamiamy sobie skomplikowanie religijnego środowiska, w którym nauczał Jezus oraz w którym – po Jego śmierci i zmartwychwstaniu – kształtowała się wspólnota Jego uczniów.

Bez wątpienia centrum środowiska religijnego Izraela w połowie I wieku była Świątynia jerozolimska. Była to jednak Świątynia wybudowana przez poganina ↦

– Idumejczyka Heroda. Co więcej: od czasu wojen machabejskich można było mieć wątpliwości co do prawowitości składających ofiary kapłanów, a zatem i co do ortodoksyjności samych świątynnych rytuałów. W radykalny sposób zakwestionowała ją wspólnota z Qumran – całkowicie zrywając więzi z Jerozolimą i tworząc alternatywny kult na pustyni. Byli też ludzie wybierający drogę pośrednią – uczestnicząc w świątynnych ofiarach, ale za znacznie ważniejsze uważając praktyki prowadzące duszę przez kolejne kręgi niebios ku prawdziwej, niebiańskiej Świątyni, gdzie otwierała się wizja Boskiego Tronu.

Byli też tacy, którzy podejrzliwie patrzyli zarówno na układy warstw kapłańskich z Rzymianami, jak również na ekstatyczne praktyki i uzasadniającą je teologię tworzoną przez poszukiwaczy boskiej wizji. Nazwali się *peruszim*, po grecku *pharisaioi* – „oddzieleni". Oddzielali się od „nieczystych", tj. tych, którzy nie zachowywali nakazów i zakazów prawa. Byli zwolennikami uświęcania codzienności przez ujęcie jej w karby rozbudowanego systemu przepisów.

Chrześcijaństwo powstało jako jeden z nurtów tak zróżnicowanego judaizmu. Jak wskazuje zawarty w Dziejach Apostolskich opis Pięćdziesiątnicy, ale także inne fragmenty Nowego Testamentu – np. wizyjna mowa Szczepana, historia nawrócenia Szawła z Tarsu czy pieczołowicie zachowany opis początku działalności Jezusa – należało do tych nurtów, dla których źródłem oraz fundamentem całego życia religijnego było doświadczenie ogarnięcia przez Boskiego Ducha.

Religia rodzi się z duchowego doświadczenia. Gdy ono stygnie, religia zaczyna służyć przyziemnym celom: zbiorowej i indywidualnej tożsamości, poczuciu bezpieczeństwa, utrzymaniu politycznej władzy.

Ciemna strona ducha

Religijność oparta na duchowym przeżyciu ma – trzeba pamiętać – także swoją ciemną stronę. Pokazuje to historia rozmaitych sekt, które gromadziły się wokół ludzi uznanych za mistrzów w sposób zamykający na zewnętrzne otoczenie i w których dochodziło do bardzo poważnych ludzkich krzywd. O takich praktykach pisał już w II wieku Ireneusz z Lyonu, opisując działalność człowieka o imieniu Marek, który pod pozorem duchowego przewodnictwa uwodził kobiety i rozbijał małżeństwa. Uważna lektura pism ojców pustyni ujawnia, że również wśród tych duchowych poszukiwaczy dochodziło do wielu nadużyć. Tak było przez całą historię, a współczesne przykłady krzywd, które działy się w charyzmatycznych środowiskach – np. we Wspólnocie Błogosławieństw, w domach Arki, w duszpasterstwie prowadzonym przez Pawła M. – mogą sugerować, że doświadczenie duchowe niepoddane kontroli religijnej instytucji wyradza się łatwo w destrukcyjną siłę.

Owa destrukcyjna i krzywdząca siła ujawniała się w wielu religijnych tradycjach, w grupach ludzi dążących do duchowego doświadczenia. Różnią się ich doktryny, różni charakter pożądanych przeżyć. Ale przez niemal wszystkie przewija się jeden motyw: niezwykły autorytet nauczyciela, który staje się niemal koniecznym przewodnikiem po duchowej ścieżce. Najczęściej – przewodnikiem jedynym, odcinającym adeptkę lub adepta od kontaktów z „obcymi". Jest to najczęściej zalążek, czasami sprytnie ukryty, instytucjonalizacji duchowej drogi, wprowadzenie hierarchii pośredniczącej między człowiekiem a *sacrum*.

Nie wydaje się zatem, by można było uniknąć ciemnej strony religijności opartej na duchowym przeżyciu przez poddanie jej kontroli religijnych instytucji. Te ostatnie same są środowiskami, gdzie działy się nie mniejsze krzywdy. Szukając obrony przed ciemnością lepiej zwrócić uwagę na ważny aspekt obecny w doświadczeniu Pięćdziesiątnicy: dar mówienia w obcych językach – czyli zdolność komunikacji i nawiązania relacji także z tymi, którzy nie są „nasi". A także pamiętać – na co zwracał uwagę i Sokrates, i Jezus, i Al-Halladż, i Małgorzata – o naszej ludzkiej równej, absolutnej bliskości wobec Tchnienia, w którym żyjemy, poruszamy się i jesteśmy. Tchnienia obecnego w każdej i w każdym – tak jak jej lub jego oddech.

©℗ PIOTR SIKORA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP

oglądaj i czytaj!

3 czerwca rusza internetowa edycja **62. Krakowskiego Festiwalu Filmowego**. Wśród wielu znakomitych pozycji znajdą Państwo m.in. **„UKOS ŚWIATŁA"** – film dokumentalny Wojciecha Szumowskiego, którego producentem jest Fundacja Tygodnika Powszechnego.

Dla naszych Czytelników przygotowaliśmy wyjątkową ofertę: do każdej **kwartalnej** lub **rocznej prenumeraty cyfrowej**, zakupionej w dniach **3-12 czerwca**, dołączymy karnet zapewniający **nieograniczony dostęp do filmów** wyświetlanych w ramach **KFF VOD**.

Szczegółowe informacje znajdą Państwo pod adresem **www.tygodnikpowszechny.pl/sklep** lub pisząc na **kontakt@powszechswiat.pl**

62. KRAKOWSKI FESTIWAL FILMOWY
62nd KRAKOW FILM FESTIVAL

MARCELINA SZUMER-BRYSZ

Monastyr Mor Gabriel w Mardin, marzec 2022 r.

W klasztorach Anatolii

MARCELINA SZUMER-BRYSZ Z MARDIN (TURCJA)

We wschodniej Turcji syryjscy chrześcijanie żyją od wieków. Choć otoczeni przez muzułmanów, nigdy nie zrezygnowali ze swojej wiary i języka.

Na schodach z żółtego piaskowca spory tłum. Do klasztoru św. Gabriela (monastyr Mor Gabriel) przyjechała kolejna wycieczka. Tłum muzułmanek w chustach pozuje do zdjęć, starając się uchwycić na nich trzy dekoracyjne dzwonnice zwieńczone krzyżami i inne chrześcijańskie elementy dekoracyjne.

Klasztor, zwany po turecku Deyrulumur Manastiri, to obowiązkowy punkt wszystkich wycieczek do Mardin i Midyat. Rocznie odwiedza go około 10 tysięcy turystów. To jeden z najstarszych na świecie zachowanych klasztorów syryjskiego Kościoła prawosławnego, funkcjonujący nieprzerwanie od 397 r.

Poszczególne części budowli powstawały w różnych czasach. Główny kościół został wybudowany w 512 r. dzięki szczodremu wsparciu bizantyjskiego cesarza Anastazjusza I. Do dziś zachowały się w nim fragmenty oryginalnych mozaik. W pierwszej połowie V wieku powstało pomieszczenie zwane do dziś kopułą Teodory na pamiątkę fundatorki, żony cesarza Justyniana I. Przez otwór w szczycie kopuły do środka wpada światło. Niektóre źródła podają, że kopuła Teodory początkowo służyła za baptysterium. Być może później zmieniła przeznaczenie, bo w oficjalnych materiałach klasztoru czytamy, że była po prostu jadalnią. Między V a VI wiekiem powstał kościół Marii Panny. Beth Qadishe, czyli dom zmarłych, to z kolei mauzoleum, w którego kryptach, jeśli wierzyć przewodnikom, znajduje się ponad 12 tysięcy relikwii świętych i męczenników.

W pokojach na piętrze budynku wciąż mieszkają zakonnice i zakonnicy. Prócz oddawania się modlitwie, pracują w okalających klasztor sadach i ogrodach.

Bóg czy człowiek

Mnisi z klasztoru św. Gabriela kultywują tradycję zapoczątkowaną przez założycieli monastyru, mnichów Samuela i Szymona. Dziś jest ich kilku, ale były momenty w historii tego miejsca, gdy wspólnota liczyła kilkuset zakonników. Z klasztornych murów wyszło czterech patriarchów, 84 biskupów i wielu innych wysokich rangą duchownych. Przewodzą oni około 15-tysięcznej wspólnocie chrześcijan obrządku syryjskiego.

Aramejczycy, zwani w Turcji Asyryjczykami – bo od nich według historyków wywodzą się dzisiejsi syryjscy chrześcijanie – byli pogańskim ludem zamieszkującym tereny w dolinie Eufratu. Już w pierwszych wiekach przyjęli chrześcijaństwo. Do dziś posługują się językiem aramejskim, zarezerwowanym nie tylko dla liturgii. Dzieci syryjskich chrześcijan z Mardin i Midyat oprócz tureckiego uczą się też mówić i pisać w języku aramejskim. Początkowo Aramejczycy podlegali biskupowi Antiochii. Jak to się stało, że stworzyli własny, odrębny Kościół?

Poszło o istotę Jezusa. Nestoriusza, patriarchę Konstantynopola, oskarżono o zbyt daleko idące rozdzielanie w Jezusie ↦

natury boskiej i ludzkiej (mniejsza z tym, czy zarzut był uzasadniony, w tle była rywalizacja z biskupem Aleksandrii). W 431 r. Sobór efeski potępił tzw. nestorianizm, a Nestoriusza pozbawił urzędu. Już wtedy część patriarchów odcięła się od stolicy. Większość Syryjczyków pozostała wierna ortodoksji, jednak już kolejny spór o naturę Chrystusa na dobre skłócił wiernych. Monofizytyzm – idea, zgodnie z którą nie da się wyróżnić boskiej i ludzkiej natury Jezusa, również została uznana za herezję na Soborze chalcedońskim. Część Aramejczyków nie zgodziła się jednak z postanowieniami soboru. Choć prześladowani, wytrwali w swych przekonaniach.

Cement dla wiernych

Niespełna godzinę drogi od klasztoru znajduje się wioska. Turcy nazywają ją Alagöz, Aramejczycy: Bethkustan – Dom Konstantyna. Taka też tablica wskazuje przyjezdnym drogę do wsi zamieszkałej głównie przez syryjskich chrześcijan. To tu w VII wieku miał urodzić się Gabriel, od którego imienia nazwę wziął klasztor. Dziś mieszka tu około 150 osób, samych wyznawców Chrystusa. Wielu z nich wróciło do rodzinnych domów po latach na emigracji.

Ksiądz Gabriel Aktaş nigdy nie wyjechał, ale rozumie tych, którzy to zrobili. „Bieda, warunki życia i presja zmusiły wiele osób do wyjazdu w latach 70." – mówił w rozmowie z dziennikarzami agencji informacyjnej Demirören. Wtedy w wiosce zabrakło księdza, pisać i czytać po aramejsku Aktaşa nauczył duchowny, który dojeżdżał do Bethkustan z innej wsi. Dziś sam jeździ do sąsiedniej wsi, gdzie organizuje nabożeństwa i uczy dzieci mówić i pisać w języku przodków. To nie wszystko. Aktaş zajmuje się też odnawianiem syryjskich ksiąg religijnych. Ręcznie przepisuje te zniszczone. Zaczęło się od czterech modlitewników, po tysiąc stron. Zajęło mu to pięć lat. Reprodukcje wydrukowano i rozesłano do syryjskich kościołów w całej Turcji.

W jego wiosce też jest kościół. Świątynia Mor Eliyo z 343 r. kilka lat temu została odrestaurowana. „Właściwie zbudowaliśmy ją od początku. Jedynym oryginalnym fragmentem jest ściana z kamiennym napisem. Przed naprawą kościół był w tak złym stanie, że nie nadawał się na miejsce kultu". Ksiądz Aktaş zaznacza, że kościół udało się odbudować tylko dzięki datkom syryjskiej społeczności. Od państwa syryjscy chrześcijanie dostali 100 worków cementu.

Już w pierwszych wiekach przyjęli chrześcijaństwo. Do dziś tureccy Asyryjczycy posługują się językiem aramejskim, którym mówił Jezus.

Syryjczycy walczą o swoje

Oprócz rolnictwa, syryjscy chrześcijanie parają się rękodziełem. Ręcznie malowane chusty, a przede wszystkim ażurowa srebrna biżuteria to wizytówka okolic Mardin i Midyat. W mieście jest też dużo sklepów z syryjskim winem. W jednym z nich pytam, jak powodzi się syryjskim chrześcijanom i jakie mają relacje z tureckimi mieszkańcami miasta.

– My pracujemy, a Turcy zarabiają – śmieje się winiarz i radzi, żebym przyjrzała się syryjsko-tureckim sporom o ziemię.

Rzeczywiście, sprawa jest skomplikowana. Do 2008 r. fundacje i stowarzyszenia mniejszościowe nie miały prawa własności. Po zmianach, gdy uzyskały osobowość prawną, zaczęły się starać o zwrot ziemi i majątków należących niegdyś do ich kościołów. Częściowo się udało. Ale w 2013 r. przyszła kolejna reforma, tym razem administracyjna. Część wsi wcielono do miast, przekształcając w dzielnice. Zmieniło to ich sytuację prawną, część ziemi i budowli przeszło z powrotem w ręce skarbu państwa. Jak informuje prezes fundacji klasztoru Mor Gabriela Kuryakos, stało się tak z wieloma miejscami kultu oraz syryjskimi cmentarzami.

Syryjczycy napisali w tej sprawie do gubernatora prowincji i Diyanetu (turecki urząd do spraw religii). Czekają na rozstrzygnięcie i mają nadzieję na odzyskanie dóbr, które od dwóch tysiącleci należały do nich. Lata temu wygrali spór o klasztor św. Gabriela. W wyniku sporu z tureckim rządem i lokalnymi kurdyjskimi politykami klasztor i przyległe do niego działki odebrano chrześcijanom syryjskim i przekazano do skarbu państwa. Syryjczycy wystąpili w tej sprawie do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Pojawił się nawet argument, że klasztor powstał na terenie dawnego meczetu, choć przecież mnisi modlili się w nim dobrych 400 lat przed narodzinami proroka Mahometa.

Cudowna ziemia

Ale monastyr Mor Gabriel i kościół Mor Eliyo to przecież niejedyne syryjskie świątynie we wschodniej Anatolii. Zaledwie 4 km od Mardin znajduje się inny monastyr, pamiętający V wiek naszej ery. Klasztor Szafranowy (tur. Deyrulzafaran) zwany jest tak ze względu na rosnące wokół krokusy, z których pozyskuje się cenny szafran. Podobno dodawano je do zaprawy murarskiej w trakcie budowy. Klasztor powstał w miejscu dawnej pogańskiej świątyni, prócz elementów dekoracyjnych na zewnątrz budowli, najbardziej imponujące jest podziemne sanktuarium. Olbrzymie głazy jego sklepienia umieszczono tam bez zaprawy murarskiej. Sufit nie spada pielgrzymom na głowę tylko dzięki prawom fizyki. W podziemiach mieszczą się też grobowce tutejszych mnichów. Pielgrzymi, nawet muzułmanie, zabierają z nich garście ziemi, która ma ponoć uzdrawiającą moc.

Zresztą nie trzeba w ogóle wyjeżdżać z miasta. W centrum Mardin znajduje się kościół Mor Behnam, znany bardziej jako Kırklar Kilisesi – Kościół Czterdziestu. Za nazwą stoi legenda. Czterdziestu rzymskich żołnierzy nie wyrzekło się Chrystusa, w wyniku czego zostali ukamienowani. Ich szczątki trafiły do kościoła w Mardin. Wrażenie robią gładko oszlifowane kamienie i łuki wsparte na dwunastu masywnych kolumnach. Od 1293 r. rezydowali tu patriarchowie Kościoła syryjskiego, tu mieściła się kościelna administracja. Od XVIII wieku działała też szkoła religijna.

Jak jest dzisiaj? Mardin, Midyat i okolice prezentowane są jak wizytówka tureckiej tolerancji religijnej. Mieszkańcy twierdzą, że chrześcijanie syryjscy i muzułmanie zgodnie żyją tu od lat.

Kilka kilometrów od Mardin mieści się kościół św. Jakuba (Mor Yakup Kilisesi). Kilkanaście lat temu na jego ścianach pojawiły się napisy: „Precz z niewiernymi", „Grzesznicy muszą odejść". Napisy zamalowano, prace wykopaliskowe w świątyni trwają. Ataki się nie powtórzyły.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ

WOJCIECH

Bonowicz:
Inne tempo

Jasnoniebieskie niebo, na niebie baranki, cieplutko. Z okna na czwartym piętrze hotelu centrum Śródki wygląda jak rynek małego miasteczka we Francji czy Włoszech. Przy stolikach ustawionych naprzeciwko gotyckiego kościoła, pod napinanymi przez wiatr dachami z płótna, ludzie spokojnie piją kawę, a dzieci jedzą lody. Żaden świst nie przerywa leniwych rozmów, ziemia się nie trzęsie, na horyzoncie nie błyska się i nie słychać szczęku żelaza. Rytmiczna muzyka płynie główną ulicą, zakręcając pod wyglądającym jak kawałek tortu klasztorem filipinów.

Jest nieprzyzwoicie pięknie – mówimy w takich dniach o takich miejscach. Potrzebujemy piękna, bo grozy, choć oglądamy ją tylko z daleka, mamy już dosyć, a wiemy, że jeszcze potrwa. Potrzebujemy czegoś tak prostego, jak to właśnie pogodne czwartkowe przedpołudnie z dziećmi w wózkach i na rowerkach, z rozglądającymi się niepewnie turystami, którzy po śniadaniu zastanawiają się, gdzie zjedzą lunch, z ciężarówkami parkującymi nieprzepisowo, z których wypadają zawsze jakby spóźnieni kurierzy. Lecz piękno jest nieprzyzwoite, bo odwraca naszą uwagę, koi nerwy, uspokaja, ale za wcześnie, zanim naprawdę wolno nam będzie odetchnąć. Jest nieprzyzwoite, bo jest prawdziwe, a jego prawda jest przyjemna, co w zderzeniu z nieprzyjemną prawdą wojny nieuchronnie budzi poczucie winy. Zawsze jakaś karuzela kręci się pod murami jakiegoś getta, nasz deser sąsiaduje z czyimś głodem, a nasze odprężenie z czyimś strachem. Świat powinien stać na baczność przed cierpieniem, ale z różnych powodów nie stoi, a w każdym razie nie wytrzymuje w tej postawie zbyt długo.

W takich chwilach przypomina mi się wiersz Ilony Witkowskiej, zatytułowany „kółko graniaste”:

łódź zatonęła koło Lampedusy.
śmialiśmy się: Łódź zatonęła? miasto?

my tu się śmiejemy, oni tam umierają.

więc co? mamy się nie śmiać?
kiedy się nie śmiejemy, to też umierają.

Kółko graniaste, czyli sprzeczność, w której utknęliśmy. W którą nieuchronnie popadamy, ilekroć zaczynamy myśleć o tym, co właściwie dzieje się w naszym świecie i jaka jest nasza rola w rozgrywających się dramatach. Ba, ale najpierw trzeba sobie uświadomić, co to jest – ten nasz świat. Jak daleko sięga nasza odpowiedzialność? Czy jej granice są ustalone, czy ruchome? A jeśli ruchome, to kiedy powinniśmy je przesunąć? I czy rzeczywiście – tyle wolności, ile odpowiedzialności? Poetka łapie nas za twarz w momencie, w którym chcielibyśmy odwrócić wzrok. Urywa zresztą ten krótki wiersz-zapis w bardzo ciekawym miejscu. Mamy się nie śmiać? Przecież to nie od nas zależy – nawet jeśli odmówimy sobie kawy, lodów, śmiechu, i tak będą umierać. A może jednak...?

Ulicę wypełnia rytmiczna muzyka dobiegająca z wystawionych na zewnątrz głośników. Mimo wzmocnionych basów nie drażni, raczej kołysze, jakby wyznaczała rytm kolejnych czynności, rytm poruszania się, siedzenia, rozmów. Jej leniwa energia sprawia, że zwykły roboczy dzień można przeżywać jak święto. Mężczyzna z tatuażami na ramionach wychyla się z okna. Dziewczyny z tatuażami na rękach i szyjach przynoszą do stolików zamówione napoje. Niewielka wycieczka klaszcze, żeby podziękować przewodniczce, która ją tu przyprowadziła. Niepełnosprawny chłopak przechodzi, nie rozglądając się, przez nieruchliwą jezdnię, jego kołyszące się ciało przywodzi na myśl metronom. Idzie w innym tempie, jakby nie słyszał muzyki dobiegającej z głośników. Jakby szedł do muzyki, którą słyszy tylko on sam, wewnątrz. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Synowi ostatniego technicznego dowódcy austriackiej Twierdzy Kraków i szefa Oddziału IV Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, przedstawicielowi rodziny wielce zasłużonej dla kultury polskiej i Krakowa, absolwentowi Wydziału Politechnicznego Akademii Górniczej, humaniście, poliglocie, seniorowi krakowskiego szybownictwa, pięknemu, mądremu człowiekowi trudnych do policzenia talentów

Panu Witoldowi Starzewskiemu
z okazji 100. rocznicy urodzin

życzenia składają
redakcja „Tygodnika Powszechnego”
oraz Waldemar Łazuga, członek Rady Nadzorczej
„Tygodnika Powszechnego”

TYGODNIK POWSZECHNY

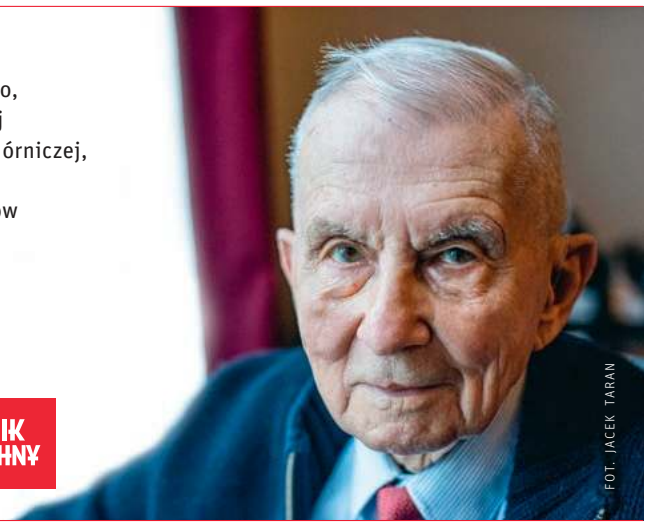
FOT. JACEK TARAN

ALENA GROM x4

Z projektu „Strategia przetrwania". Bucza, kwiecień 2022 r.

WRÓCIŁAM DO BUCZY

ALENA GROM, UKRAIŃSKA FOTODOKUMENTALISTKA:

Doświadczenie pokazuje mi, że wojna nie może zabić w ludziach miłości i dobroci. To chcę pokazywać w moich zdjęciach: afirmację życia.

KATARZYNA MALAROWSKA: Niedawno byłaś znowu w Buczy, którą opuściłaś 24 lutego.

ALENA GROM: To było na początku kwietnia, po odejściu Rosjan. Ciężko było tam wjechać, trwało sprzątanie ciał, rozminowywanie miasta. Ale się udało. Zrobiłam dużo zdjęć, pracowałam nad projektem fotograficznym m.in. dla UNICEF-u. Usłyszałam setki opowieści, o których można napisać kilka książek. Byłam przy wydobywaniu zwłok pochowanych na podwórkach i w masowych grobach. Widziałam tragedię na każdym kroku: śmierć bliskich, utratę domu. To, co Rosjanie zrobili w Buczy, uważam za ludobójstwo narodu ukraińskiego.

Twój dom ocalał?

Ocalał. Odłamki pocisku uderzyły jedynie w drewnianą podłogę na werandzie.

Co mówią mieszkańcy Buczy?

Że to było piekło. Wojska rosyjskie zabiły w Buczy setki osób. Do tej pory nie ma pełnych statystyk dotyczących zgwałconych kobiet i zmarłych, odkrywane są kolejne groby. Ulica Jabłońska nazywana jest teraz ulicą Śmierci, bo była zawalona zwłokami. Mieszkanka bloku przy tej ulicy, Tamara, opowiedziała mi, co widziała. Jej mąż porusza się na wózku inwalidzkim, dlatego nie mogli się ewakuować i całą okupację przeczekali w mieszkaniu. Rakieta uderzyła w sąsiedni dom, dwa piętra spłonęły. Rosyjscy żołnierze ostrzelali auta zaparkowane na podjeździe. Nie pozwalali swobodnie poruszać

Z projektu „Środek nauczania". Marjinka, Donbas, wiosna 2017 r.

się po ulicach. Zmuszali ludzi do noszenia białych opasek. Mężczyzna, który nie założył opaski, zginął na miejscu. Na jej oczach Rosjanie kilkukrotnie rozstrzelali ludzi.

Pewnego dnia rosyjscy żołnierze zauważyli, że Tamara obserwuje ich przez okno. Strzelili. Na szczęście kula przeszła nad jej głową.

W pobliżu jej budynku kursował autobus, w czasie pokoju woził pasażerów po mieście. Rosjanie kazali mieszkańcom zbierać zwłoki z ulic i składować je w tym autobusie. Następnie, gdy był pełny, pozwalali przenieść ciała do masowego grobu. Czasem zabraniali je przenosić. I tak leżały.

Plądrowali mieszkania i sklepy. Raz obrabowali sklep obuwniczy, a ulicą przeszedł rosyjski żołnierz w mundurze i białych tenisówkach. Miejscowi po cichu śmiali się z niego. Gdy oni uciekli z Buczy, w pełni zobaczyliśmy ich okrucieństwa. W miejscu, w którym stacjonowali, znaleziono ciała, w tym zaginionego sąsiada Tamary. Miał wydłubane oczy i rozerwany żołądek.

Z rodziną uciekłaś z Buczy tuż po orędziu Putina.

Kiedy Putin skończył, już byliśmy ubrani. Walizki od kilku dni mieliśmy spakowane. Z 12-letnim synem wynosiliśmy je do samochodu. Bak napełniliśmy dzień wcześniej. Syn powtarzał: „Co się stało, co się stało?". Psa i szynszyle zawieźliśmy do teściów, którzy również mieszkali w Buczy. Mieli do nas dojechać kilka dni później. Dużo trudniej wynająć mieszkanie ze zwierzęciem.

Ruszyliśmy na zachód Ukrainy. Donikąd. Samochody pędziły autostradą. Kuzynka, która mieszkała w Doniecku, śledziła wiadomości i wskazywała, które miasta są bombardowane, żebyśmy nie trafili pod ostrzał. Na stacjach benzynowych kolejki, korki, wszystkie punkty gastronomiczne zamknięte. Brak wody i jedzenia. Kierowaliśmy się na zachód, a w przeciwnym kierunku jechało ukraińskie wojsko. Poczułam wstyd. Ludzie, tacy jak my, musieli założyć mundury, żeby nas chronić.

Moja córka, która kilka dni wcześniej wyjechała z chłopakiem do Krakowa, wynajęła dla nas kawalerkę w Użhorodzie na Zakarpaciu. W trasie zachorowałam na covid.

Wcześniej ostrzegałam znajomych i rodzinę, że nadciąga wojna.

Przeczuwałaś?

Znam ją z doświadczenia. Od 2014 r. dokumentuję wojnę w Ukrainie i wszystko, co z nią związane. Monitoruję, co dzieje się na świecie, w kraju, w polityce. Poza tym wojna nie odeszła, była blisko. W ostatnim czasie poziom nienawiści do Ukrainy w rosyjskich mediach gwałtownie wzrósł. Zaczęto dehumanizować Ukraińców. Komunikaty były przesycone informacjami o nadchodzącym konflikcie. Sygnałem było też gromadzenie wojsk rosyjskich na granicy z Ukrainą i wypowiedzi administracji Bidena o przygotowaniach Rosji do inwazji.

Rodzina z Buczy do Was dojechała?

Niestety już dwa dni później zaczęły się aktywne działania wojenne. Zbombardowano w Buczy mosty, rosyjskie wojsko kontrolowało drogi naokoło, nie mieli ↦

↦ jak uciec. Cały czas sprawdzaliśmy, którą drogą mogliby się bezpiecznie wydostać. Odchodziliśmy od zmysłów. Po dwóch tygodniach kontakt telefoniczny się urwał. Zbombardowano okolice domu i sosny pospadały na linie wysokiego napięcia. W mieście zabrakło prądu i ogrzewania. Temperatury spadały wtedy poniżej zera. Nie mogli naładować telefonów.

Mojej krewnej skończyły się leki, które musi przyjmować. Obrona terytorialna poinformowała, że mieszkańcy mogli się przemieszczać po mieście w określonym dniu. Dodzwoniliśmy się do sąsiada – miał własny generator prądu i naładowany telefon. Przez ogrodzenie przekazał teściowi, jak poruszać się po mieście. Szyba w samochodzie musiała być opuszczona. Należało wystawić przez nią lewą rękę – znak, że jest się cywilem bez broni. W ten sposób udało mu się zdobyć leki.

Część mieszkańców Buczy nie wiedziała, że 9 marca podstawiono specjalne autobusy przy budynku administracji miasta, 5 km od naszego domu. Teściowe bali się jechać autem, bo Rosjanie strzelali w pojazdy. Zabrali najmniejsze torby i psa. Szynszyle trzeba było wypuścić. Zostawili im karmę. Gdy szli na autobus, widzieli trupy na ulicach. 20-letniego syna sąsiadów z naprzeciwka znaleziono potem w lesie z odciętą głową.

Teściowie są teraz z Wami?

Tak, mieszkamy w kawalerce. Śpimy na podłodze w kuchni, rodzicom oddaliśmy pokój. W Użhorodzie ciężko wynająć mieszkanie, bo przyjechało tu wielu uchodźców.

Jak Twój syn?

Bardzo się stresował. Wie, co się dzieje, ciągle o tym rozmawiamy. Skądś usłyszał, że dzieci mogą prowadzić własną „cyberwojnę", przeciążając serwery rosyjskich stron internetowych. Razem z kolegami umawiali się na „hakowanie" Kanału Pierwszego rosyjskiej telewizji. Zaczął postrzegać tę propagandową maszynę jako głównego wroga.

Tuż przed inwazją Ihor w drodze do szkoły zapytał, czy wiem, co robić w razie ataku jądrowego. Dowiedział się w szkole, że trzeba się wtedy schować w żeliwnej wannie. Wytłumaczyłam mu, jak się zachować w trakcie bombardowania. Z doświadczenia wiem, że najwięcej ofiar jest na początku wojny, kiedy ludzie jeszcze nie wiedzą, jak poprawnie reagować. Poinstruowałam go, że w razie ataku musi paść na podłogę i zakryć głowę dłońmi, a gdy ostrzał zelżeje, musi czołgać się jak najdalej od okien. Odłamki mogą zranić.

Powiedział, że boi się chodzić do szkoły, bo nie ma tam schronu przeciwbombowego. Wytłumaczyłam, którą ulicą ma iść, jeśli zaczną się wojenne działania, a nie mogłabym go odebrać ze szkoły.

Zrobiłaś zdjęcia, jak budujecie w domu „schrony" z koców, krzeseł.

Ihor przez wiele lat miał obsesję na punkcie budowania różnych kryjówek. Zaczęło się, gdy po raz pierwszy straciliśmy dom w 2014 r. Miał wtedy trzy lata. Dostawał ataków paniki. Psycholog stwierdził u niego zespó ł stresu pourazowego. W jakimś momencie zaczęłam robić zdjęcia tym jego domkom. Zapytałam go wtedy, jaka powinna być droga do domu. Pomyślał i stwierdził, że to droga w głąb siebie. Zrozumiałam, że wchodząc do domków, szedł w stronę siebie. W Użhorodzie znów rozkłada sobie poduszki w składziku i tam przesiaduje.

Na dworzec w Użhorodzie przyjeżdżają pociągi pełne uchodźców, niektórzy uciekają ze wschodniej Ukrainy, inni jadą w przeciwnym kierunku. Miejsce graniczne. Wielu ma nadzieję na znalezienie bezpiecznej przystani. Spisujesz historie tych ludzi, robisz zdjęcia. Poruszyła mnie historia starszej pani z dwoma psami na dworcu. Jeden z psów siedział na kocu.

To Irina. Wyglądała jak babuleńka, a ma 50 lat. Miała nieobecny wzrok, pusty. Dwa tygodnie się nie myła. Uciekła z Irpienia. Jest biologiem, uwielbiała pracę w laboratorium. Psy nazywały się Drużok i Dzień. Mówiła, że ryk ostrzału był nieustający, że miała szczęście, bo w kierunku jej domu wystrzelono rakietę, ale ukraińskie wojsko zdążyło ją zestrzelić. Spała w zimowych butach, wodę pobierała z pobliskiego jeziora. Twierdziła, że najważniejsze na wojnie to dawać sobie zadania: wstawać, nosić drewno na opał, porządkować naczynia, obierać ziemniaki, cały czas obierać ziemniaki.

Irina nie planowała ewakuacji. Pewnego dnia szła upiec kaczkę na ognisku, a tu wolontariusze złapali ją, zwierzęta, plecak i wsadzili do minibusa bez okien. Jechali pod ostrzałem, dookoła były bombardowania. Mężczyzna wymiotował ze strachu. W pociągu do Użhorodu pasażerowie narzekali, że psy brzydko pachną. Wiem, że brzydko pachną, ja też, opowiadała Irina. Zamierzała jechać do znajomych na Słowacji.

Kilka lat wcześniej sama byłaś zmuszona uciekać z domu w Doniecku. Opowiesz?

Pięć lat stawiałam dom w Doniecku. W styczniu 2014 r. zrobiłam parapetówkę, a w marcu Rosjanie anektowali Krym. Donieck podzielił się na przyjaciół i wrogów. Rosyjska propaganda antagonizowała ludzi. Sąsiedzi, z którymi znaliśmy się od lat, stawali się agresywni. Zainstalowałam nawet aplikację Zello, za pomocą której separatyści dyskutowali o swoich działaniach. Czasem słyszałam, jak miejscowi mówili coś w stylu: „Mam proukraińskich sąsiadów, mieszkają pod takim a takim adresem, takie i takie nazwisko, chodź". Taksówkarze, przewożący pasażerów, próbowali dowiedzieć się, kogo ci popierają, a następnie zgłaszali ich do odpowiednich osób. Baliśmy się. W pewnym momencie spaliśmy z bronią przy łóżku.

Szukałam w internecie skutecznych strategii przetrwania w warunkach wojennych. Natknęłam się na artykuł o człowieku, który przeżył wojnę w Bośni. Doradzał, jak przetrwać w okupowanym mieście, a na końcu artykułu stwierdził: „Jeśli masz choć jedną szansę na opuszczenie strefy wojennej, skorzystaj z niej". Wyjechaliśmy w nocy 30 kwietnia 2014 r. Zabraliśmy tylko to, co konieczne. Zamieszkaliśmy w Kijowie.

Myśleliście, że to tymczasowe?

Mieliśmy nadzieję, że wrócimy. Najpierw liczyłam dni, potem lata. W końcu zaczęliśmy się rozglądać za miejscem na budowę drugiego domu. Wybraliśmy Buczę. To była ładna miejscowość, ludzie mówili, że to mała Europa pod Kijowem. Świeże powietrze, sosnowy las. W Doniecku mieliśmy tylko stepy. To nas urzekło. Zaczęliśmy budowę.

Od tamtego momentu wiodącym tematem Twoich fotografii stała się trauma wojenna osób żyjących na terenach kontrolowanych przez Rosję. Jeździłaś do strefy wojennej w Donbasie, dokumentowałaś zbrodnie rosyjskie. To sposób na własną traumę?

W latach 2014-15 powiatowe miasto Marjinka w Donbasie, pozostające pod kontrolą ukraińską, było areną ciężkich walk. Z projektu „Łono". Donbas, 2018 r.

Irina, która uciekła z Irpienia z dwoma psami, dworzec w Użhorodzie. Z projektu „Między granicami", marzec 2022 r.

↦

ARCHIWUM PRYWATNE

ALENA GROM urodziła się w 1976 r. w Doniecku. Artystka i fotodokumentalistka, w 2014 r. po agresji rosyjskiej na Donbas została zmuszona do opuszczenia rodzinnego miasta. W 2017 r. zamieszkała w Buczy pod Kijowem, skąd uciekła 24 lutego 2022 r., zaraz po rozpoczęciu inwazji na Ukrainę. Pracuje na styku reportażu społecznego i fotografii konceptualnej. Głównym tematem jej zdjęć stała się trauma ludzi żyjących w strefie wojny z Rosją. Laureatka międzynarodowych konkursów fotograficznych.

Dokumentuję to, co Rosjanie po sobie zostawiają. Ale rzeczywiście fotografia pomogła mi uciec od traumatycznej rzeczywistości. Monolog wewnętrzny przerodził się w dialog z ludźmi, którzy byli w gorszej sytuacji. Moja fotografia jest poniekąd protestem przeciw obojętności. Bo znużenie wojną prowadzi do obojętności. Sztuka zawsze współbrzmi z tym, co dzieje się wokół. Wierzę, że jest siłą, która może skłonić ludzi do udziału w publicznym dialogu.

W jednym z projektów wykorzystałaś cytat włoskiego reżysera Paola Sorrentino: „Wie pan, dlaczego jem tylko korzonki? Bo korzenie są ważne”.

Przez ten cały czas nie zapominałam, skąd jestem. Niektórzy krewni z powodów osobistych nie mogli opuścić okupowanego Doniecka i przez kilka lat żyli pod ostrzałem. Czasami musieli ukrywać się w piwnicach przez całą noc. Jak mogłam spokojnie żyć, wiedząc, że lada chwila może umrzeć ktoś z moich bliskich?

Mój krewny został schwytany przez separatystów jesienią 2014 r. Jechał przez Donieck, by dostarczyć lekarstwa chorej teściowej. Zatrzymał go patrol separatystów w pobliżu jej domu. Pokazał dokumenty uzbrojonym mężczyznom, ci złapali go za ramiona, wciągnęli do samochodu i odjechali. Teściowa widziała wszystko przez okno. Zatrzymali go przez brak pozwolenia na pobyt w Doniecku, oskarżyli o szpiegostwo. Myśleliśmy, że nie żyje. Okazało się, że kopał rowy dla separatystów. Wykupiliśmy go.

Jak po 2014 r. wyglądały Twoje wyjazdy na tereny wojenne?

Byłam całkowicie zależna od sytuacji, trudno było cokolwiek przewidzieć i zaplanować. Często nie wiedziałam, gdzie będę spać następnej nocy. Istniało niebezpieczeństwo uwięzienia przez grupy dywersyjno-zwiadowcze, znalezienia się pod ostrzałem itd. Punkty kontrolne, ciężki sprzęt, brak pozwoleń na filmowanie w strefie wojskowej znacznie komplikowały zadanie.

Pracując w obszarze konfliktu, zawsze czuję napięcie. Zapominam o spaniu, jedzeniu, zmęczeniu. Skupiam się na przetrwaniu i fotografii. Dopiero później, w bezpiecznych warunkach, dostrzegam ważne szczegóły, np. siwy kosmyk włosów chłopca, który stracił mamę.

Jeździłaś sama?

Czasem tak. Od 2017 r. często dołączałam do grupy wolontariuszy z AKCentre. To niesamowity zespół charkowskich wolontariuszy, w tym uciekinierów z Donbasu. Są przykładem dobroci, człowieczeństwa i bezinteresowności. Na święta Bożego Narodzenia postanowili zrobić prezenty dla dzieci mieszkających na terenach wojennych. Zebrali 1630 listów do świętego Mikołaja. Paczki z darami nadeszły z całego świata.

Doświadczenie pokazuje mi, że wojna nie może zabić w ludziach miłości, dobroci, człowieczeństwa. Na ruinach rozkwitnie piękno. Za każdą wiadomością o ostrzale i dewastacji kryje się historia afirmująca życie. Jak ujęła to Swietłana Aleksijewicz, człowiek jest większy niż wojna. To chcę pokazywać w swoich fotografiach. Afirmację życia.

Twój projekt „Łono” jest właśnie o sile życia, o życiu na przekór przeciwnościom. To historie kobiet mieszkających w kopalniach przerobionych na schrony, które decydowały się rodzić i wychowywać tam dzieci.

Pracując nad tym projektem, zastanawiałam się, jak kobiety odważyły się rodzić mimo bomb, braku leków i podstawowych rzeczy. Jak nie bały się odpowiedzialności za kolejne maleńkie i kruche życie? Strasznie tam żyć. Ale słuchając różnych opowieści, objawiła mi się prosta prawda: przyrodą rządzą prawa natury, a człowiek jest częścią natury, jej dzieckiem. Płodność jest szczególną reakcją natury na zniszczenie. Równowaga jest jednym z jej głównych praw.

Od początku wojny w 2014 r. wiele zamkniętych kopalń zamieniono w schrony. Dla niektórych stały się domem. W schronach toczy się egzystencja. Kojarzą mi się z łonem, które daje nowe życie.

Masz kontakt ze starszą siostrą, która mieszka w Rosji?

W zasadzie po 2014 r. przestałam rozmawiać z krewnymi z Rosji. Z siostrą poruszałam temat agresji Rosji na Ukrainę, ale podważała wszystkie moje argumenty. Ona i jej rodzina twierdzili, że media nas okłamują, że informacje w Ukrainie nie są wiarygodne. Potrafili wytłumaczyć każdy zarzut. Odnosiłam wrażenie, jakbym rozmawiała z rosyjskim telewizorem. Najbardziej uderzający był ich całkowity brak współczucia i empatii dla nas.

To znaczy?

Początkowo nie wierzyli, że Rosja zamierza zaanektować Krym, potem nie wierzyli, że sprowadza bojowników do Donbasu i rozpowszechnia propagandę. Wymyślali dla siebie wymówki, dzięki którym można żyć bez poczucia wstydu.

Siostra przyjechała do Buczy dwa lata temu, gdy umierała nasza mama. Pogodziłam się z nią, żeby uspokoić mamę. Nie rozmawiałyśmy o polityce, ale jej retoryka dotycząca konfliktu między Rosją a Ukrainą bardzo się zmieniła. Rosjanie nauczyli się odcinać się od polityki, zwalniać z odpowiedzialności. Mówią, że to wszystko wina Putina.

Teraz, po rozpoczęciu inwazji, pod koniec lutego zadzwoniła do mnie i zapytała, czy żyjemy. Powiedziałam, że Rosja bombarduje miasta, są tysiące zabitych, że po raz drugi moje dzieci zostały bez domu za ich milczącą zgodą. W odpowiedzi zapadła cisza.

© Rozmawiała KATARZYNA MALAROWSKA

W tłumaczeniu pomogła Marta Romankiv

24-letni Patryk (imię zmienione) z Warszawy wyjechał walczyć na Ukrainę, aby – jak mówi – bronić jej przed dyktatorskimi zapędami Kremla. 17 maja 2022 r.

Legion międzynarodowy

TEKST I ZDJĘCIA: PAWEŁ PIENIĄŻEK Z OBWODU CHARKOWSKIEGO

Po wezwaniu prezydenta Ukrainy do walki przeciwko Rosji dołączyli ochotnicy z zagranicy. Wśród nich także Polacy.

W gęstym lesie, w którym śpiew ptaków miesza się z hukiem artylerii, stacjonują nie tylko ukraińscy żołnierze. Jedna z drużyn szykuje pozycje. Kopią głęboko. To zasługa Kolumbijczyka, który do walk przygotowywał się w dżungli.

– Za pierwszym razem dokopał się do wody. Patrzyliśmy na to ze zdziwieniem, kiwaliśmy głowami z uznaniem – mówi 24-letni Patryk, jeden z kopiących.

Na bluzie ma niebiesko-żółty rzep, jak wszyscy, ale jego pochodzenie zdradza bejsbolówka z biało-czerwoną flagą. Do lasów w obwodzie charkowskim, w którym trwają zacięte walki, ściągnęła go – jak wyjaśnia – chęć obrony ukraińskiej państwowości przed dyktaturą, która chce pozbawić Ukraińców praw, wolności i możliwości decydowania o sobie.

– Powinniśmy tego bronić za wszelką cenę, nawet jeśli ceną jest życie – stwierdza. – Dla mnie atak na Ukrainę nie różni się zbytnio od ataku na Polskę.

Obrona państwa, ludności cywilnej, wstrzymanie dalszej zbrojnej ekspansji Rosji – to powody, dla których najczęściej trafiają na Ukrainę zagraniczni ochotnicy. Prócz Polaków w oddziale można spotkać ludzi ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Holandii, Litwy, Izraela, Korei, Japonii czy Australii. Ukraina – tak jak dawniej Hiszpania, a całkiem niedawno Syria – stała się miejscem, za które są gotowi umierać nie tylko jej obywatele.

Nie każdy chce walczyć

Kiedy 24 lutego Rosja rozpoczęła ofensywę na pełną skalę, Patryk śledził informacje w Warszawie, gdzie mieszkał. Trzy dni później prezydent Wołodymyr Zełenski ogłosił powołanie legionu międzynarodowego i wezwał chętnych z całego świata, by stanęli ramię w ramię z ukraińską armią w walce z najeźdźcą. To dało początek Międzynarodowemu Legionowi Obrony Terytorialnej Ukrainy.

Patryk uznał, że nie może pozostać obojętnym. Gdy w 2014 r. wybuchła wojna w Donbasie, był jeszcze nastolatkiem. Wtedy również zagraniczni ochotnicy zasilili ukraińskie szeregi – głównie Gruzini i Białorusini – ale byli nieliczni.

Patryk to imię zmienione. Mężczyzna służył w Wojsku Polskim, potem był przedsiębiorcą. Nie podaje dokładnego zawodu ani prawdziwego imienia. Zgodnie z obowiązującym prawem, Polak dołączający do obcej armii czy grupy zbrojnej bez zgody Ministerstwa Obrony Narodowej może zostać skazany nawet na pięć lat więzienia. Część polskich polityków apelowała o zmianę tego zapisu dla ochotników pragnących bronić Ukrainy, ale do tej pory nie zapadła żadna decyzja.

– Jeśli prawo się zmieni, chętnie pokażę swoją twarz – przyznaje Patryk.

Mimo potencjalnych problemów nie miał wątpliwości, że postępuje słusznie. Podobnie zrobiło kilku Polaków, którzy są w jego oddziale. Najmłodszego i najstarszego dzieli przynajmniej różnica ↦

28-letni Jan ze Lwowa całe dorosłe życie spędził w armii. Teraz jest dowódcą kompanii legionu międzynarodowego. 17 maja 2022 r.

↦ pokolenia. Nie wszyscy mają doświadczenie wojskowe.

Patryk jest zaskoczony tak nikłym udziałem swoich rodaków w wojnie przeciwko Rosji: – Z tego, co widziałem, więcej jest Niemców niż Polaków. To dziwne, bo myślałem, że więcej osób będzie czuło więź z Ukraińcami. W końcu graniczymy i z Ukrainą, i z Rosją. Choć oczywiście rozumiem, że nie każdy chce brać udział w wojnie – dodaje.

Liczba Polaków, którzy pojechali walczyć na Ukrainę, nie jest znana. Oficjalnych danych nie podaje ani strona polska, ani ukraińska. Ponadto obcokrajowcy walczą nie tylko w legionie międzynarodowym – są także włączani do różnych oddziałów sił zbrojnych Ukrainy. Nie jest też znana liczba zagranicznych ochotników w ogóle. Ukraińskie ministerstwo spraw zagranicznych informowało na początku marca, że niemal 20 tys. osób chciało dołączyć do legionu międzynarodowego, jednak nie wiadomo, ilu z nich rzeczywiście przekroczyło granicę.

Atak rakietowy na początek

Po apelu Zełenskiego Patryk zrezygnował z pracy.

– Musiałem sporo rzeczy zostawić, by tu przyjechać. Miałem swoje projekty i biznes, który zamknąłem. Otworzę go, jak wrócę – przyznaje.

Nie mówiąc nic rodzinie, na początku marca przekroczył granicę z Ukrainą. Dopiero na miejscu odważył się wysłać im wiadomość, że pojechał walczyć. Przerażeni, błagali go, aby wracał. Twierdzi, że w końcu pogodzili się z jego decyzją.

Spakował ubrania, jedzenie, papierosy (sam nie pali, ale to zawsze dobra waluta w czasach kryzysów), celownik, nóż, kamizelkę kuloodporną, pas taktyczny i medykamenty: – Nie spodziewałem się, że coś tutaj otrzymam, tylko że dadzą mi broń i od razu wyślą na front – wyjaśnia.

To jednak nie jest rok 2014, gdy ukraińska armia nie miała wyposażenia ani zaplecza. Patryk podpisał roczny kontrakt i dostał wszystkie niezbędne rzeczy, także amerykański karabinek M4, który jest rzadkością wśród ukraińskich żołnierzy.

Najpierw trafił do Międzynarodowego Centrum Sił Pokojowych i Bezpieczeństwa w Jaworowie, ok. 20 km od granicy z Polską. Miał tutaj przejść szkolenia. To w Jaworowie od lat natowscy instruktorzy szkolili ukraińskich żołnierzy.

Rankiem 13 marca w bazę uderzyły rosyjskie rakiety. Patryka wybudziło sypiące się szkło z okien. Natychmiast wyskoczył z łóżka. Już po wybuchach rozległ się spóźniony alarm. Ochotnicy i żołnierze znajdujący się w bazie chronili się w lesie, bo jeszcze przez jakiś czas baza była atakowana. Według strony ukraińskiej zginęło wtedy 35 osób, a 134 zostały ranne.

Dopiero w kolejnej bazie Patryk odbył resztę z kilkutygodniowego szkolenia, które przechodzili wszyscy ochotnicy nieposiadający doświadczenia wojennego. Weterani od razu byli wysyłani na front. Pierwsze oddziały cudzoziemców już w marcu brały udział m.in. w obronie Kijowa.

Po szkoleniu legion międzynarodowy trafił w okolice Charkowa w północno-wschodniej Ukrainie. Półtoramilionowe miasto od pierwszego dnia inwazji stało się celem rosyjskiej ofensywy. Niemal natychmiast na jego obrzeżach pojawiły się rosyjskie czołgi, a walki rozgorzały pełną parą. Stopniowo jednak ukraińska armia odpychała Rosjan od miasta, zajmując kolejne miejscowości [patrz „TP" nr 22 – red.]. Żołnierze legionu międzynarodowego szli za frontem, zajmując głównie pozycje na drugiej linii obrony i odciążając ukraińską armię.

– Nie braliśmy udziału w ostrych walkach. Kilkanaście razy byliśmy ostrzeliwani – przyznaje Patryk. Do niektórych działań dołączani są tylko operatorzy moździerzy, javelinów i snajperzy z jego oddziału.

Miejsca, które znał Ryan

Do tych ostatnich należy 33-letni Ryan, obywatel Stanów Zjednoczonych. 24 lutego był w górach Gruzji i nie miał zasięgu, a przez to nie docierały do niego informacje. Ryan jest współwłaścicielem firmy zajmującej się turystyką górską. Gdy dzień później podłączył się do internetu, od razu ruszył do najbliższego miasta, kupił bilety na pierwszy dostępny lot i przedostał się na Ukrainę. Chciał pomóc, choć nie wiedział jeszcze do końca jak.

Wcześniej mieszkał na Ukrainie dwa i pół roku – we Lwowie, w Kijowie i Dnieprze. Był nauczycielem i wolontariuszem podczas obozów alpinistycznych dla dzieci. Uczył je, jak się wspinać i wędrować. Czuł się z krajem blisko związany.

Zmierzał na Ukrainę z myślą, że pojedzie do Kijowa i dołączy do obrony terytorialnej.

– Chciałem to zrobić dla moich ukraińskich przyjaciół. Zależało mi, żeby byli bezpieczni, a ich życie wróciło do normalności – wyjaśnia.

W międzyczasie Zełenski ogłosił powstanie legionu międzynarodowego. Amerykanin stwierdził, że to miejsce dla niego. Snajperem został dlatego, że przez lata zajmował się strzelectwem długodystansowym. Wcześniej nie służył w armii. Trochę obawiał się podporządkowania i wykonywania rozkazów. Jednak szybko przyzwyczaił się do działań podczas wojny. Do tej pory nie strzelał. Wychodzi na pozycje, gdzie obserwuje ruchy przeciwnika znajdującego

33-letniego Ryana z USA rosyjska inwazja zastała w górach w Gruzji. Nie miał zasięgu, a gdy dowiedział się, co się stało, od razu ruszył na Ukrainę. 17 maja 2022 r.

się niedaleko od pozycji legionu międzynarodowego.

Najtrudniejsze do wytrzymania są ostrzały.

– Artyleria jest straszna. Ja jestem mały, ona duża i łatwo mogę zginąć. Jestem jednak alpinistą, w górach czasami dzieją się straszne czy niebezpieczne rzeczy. W górach robię to dla zabawy, a tutaj przynajmniej ten strach i niebezpieczeństwo są w imię czegoś – przyznaje Ryan.

Bardziej niż trudy wojny wywarło na nim wrażenie, jak zmieniła się Ukraina, którą znał. Charków odwiedził jeszcze w październiku. Trudno było uwierzyć, że tętniące niedawno życiem miasto stało teraz opustoszałe i niszczone. Widział także graniczący z Rosją Wołczańsk, do którego docierał przez tamę. Teraz tama jest wysadzona, a miasto okupowane przez Rosjan.

– Widziałem te miejsca, więc dostrzegam kontrast, szczególnie patrząc na przerażonych ludzi uciekających ze swoich wsi. To zwiększa moją motywację, aby być tutaj – mówi Ryan.

Oczekując na swój moment

Odkąd Patryk przyjechał do bazy w Jaworowie, liczba ochotników znacząco spadła.

28-letni Jan ze Lwowa, dowódca kompanii w randze kapitana, uważa, że były dwa momenty, które do tego doprowadziły. Pierwszym był atak rakietowy w Jaworowie. Drugim – sam trening, gdy część cudzoziemców zrozumiała, że nie jest w stanie znieść takiego obciążenia fizycznego lub wojskowego drylu.

Patryk dodaje trzeci moment. Był to kilkugodzinny ostrzał artyleryjski, pod którym znalazł się jego oddział w jednej ze wsi. Szrapnele trafiały w dom, gdzie przebywali.

– To było dla mnie gorsze niż rakiety, bo nie trwało chwilę, tylko kilka godzin – przyznaje.

Jakiś czas wcześniej podczas rosyjskiego ostrzału zginął ochotnik z Holandii. Jan wyjaśnia, że doszło do tego, gdy po wykonaniu zadania oddział dostał rozkaz, by wrócić na pozycje. Wtedy najprawdopodobniej spadły na nich rakiety.

– Z ostrzałami artyleryjskimi nie radzą sobie nawet ci, o których sądziłeś, że powinni je znosić, bo mają doświadczenie bojowe, służyli np. w Iraku podczas kilku misji. A mimo to nie wytrzymali psychicznie. Po prostu leżysz i czekasz, czy ciebie trafią, czy nie. Zginę albo nie. To loteria – mówi Patryk.

Dlatego ci, którzy pozostali na miejscu, są najbardziej zmotywowani i chętni do walki. Nie myślą o szybkim wyjeździe. Także Patryk nie ma planów powrotu. Jak wszyscy ma kontrakt podpisany na rok, ale jest w nim zapis, że z ważnych powodów można go zerwać. Z doświadczenia wie, że rozwiązanie go nie jest problemem. Na pewno po wojnie nie chce zostawać na Ukrainie.

– Mam życie w Polsce, tam chcę wrócić. Rok to bardzo długo, więc może w tym czasie skończy się wojna? – zastanawia się.

Ryan chciałby wrócić do cywila przed zimą, bo wtedy w jego firmie jest mnóstwo roboty, a on nie chce porzucać swoich kolegów z pracy.

Dlatego jedyne, co może zmęczyć ochotników, to nuda. W nieoficjalnych rozmowach wielu z nich przyznaje, że chcieliby nareszcie znaleźć się na froncie, a nie czekać w odwodzie. Szczególnie że na tamtym odcinku toczą się zacięte walki. Obcokrajowcy liczą, że i oni wezmą udział w wyzwoleniu obwodu charkowskiego.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

WAKIL KOHSAR / AFP / EAST NEWS

Modlitwa podczas święta Id al-Fitr na koniec ramadanu. Przed meczetem w Kabulu, 1 maja 2022 r.

Wiosenna pora wojenna

WOJCIECH JAGIELSKI

Trwająca pół wieku afgańska wojna przycichła latem ubiegłego roku, gdy władzę objęli talibowie. Nie minął jednak rok, a wróciła – w podkabulskiej dolinie Pandższiru.

Walki wybuchły tu w pierwszych dniach maja, gdy w dolinie znów pojawili się partyzanci wrogiego wobec talibów Narodowego Frontu Oporu. Siedem miesięcy temu, we wrześniu 2021 r., Pandższir jako ostatni zakątek Afganistanu poddał się talibom. Jego obrońcy zaszyli się w górskich kryjówkach, a ich przywódcy wyjechali z kraju, by na wygnaniu przygotować się do wiosennej wojny.

To właśnie wiosną, gdy tają śniegi i górskie przełęcze stają się przejezdne, w Afganistanie ożywają wojny. Przez ostatnie ćwierćwiecze wiosenne natarcia ogłaszali talibowie, walczący przeciwko Amerykanom. Tegoroczna wiosna jest pierwszą od lat, gdy to przeciwnicy talibów podnoszą bunt przeciwko ich rządom.

W północnych dolinach

Majowe walki wywołał miejscowy imam – ogłosił, że talibowie błędnie wskazali termin końca miesiąca postu, ramadanu, i że odprawiane z tej okazji święto Id al-Fitr wierni powinni zacząć dzień później, 2 maja. Talibowie kazali aresztować imama, ale w jego obronie stanęli partyzanci Narodowego Frontu Oporu, którzy ściągnęli do doliny. Na południu Pandższiru, a nawet wokół Bazaraku, stolicy prowincji, doszło do ciężkich walk. Przywódcy Frontu Oporu utrzymują, że zabili kilkudziesięciu talibów i przejęli kontrolę nad kilkoma powiatami.

Choć talibowie narzucili swoją władzę Pandższirowi, to przez całą zimę dochodziło tam do zbrojnych potyczek, a talibowie urządzali w dolinie operacje pacyfikacyjne i obławy na ukrywających się partyzantów.

Mieszkańcami doliny są Tadżycy – drugi po Pasztunach najliczniejszy lud Afganistanu, żyjący głównie na północy i w centrum kraju. Z kolei Pasztunowie, stanowiący prawie połowę 40-milionowej ludności kraju, zamieszkują południe i wschód. Talibowie wywodzą się głównie spośród Pasztunów, Tadżycy zaś, zwłaszcza ci z Pandższiru, sprzyjają opozycji.

Talibowie zaprzeczają, że do Pandższiru wróciła wojna – choć przyznają, że w dolinie pojawili się partyzanci. Zaprzeczają też oskarżeniom przywódców Frontu, że w odwecie za nieposłuszeństwo mszczą się na ludności cywilnej.

Pod koniec maja do doliny zjechał sam minister obrony talibów, mułła Muhammed Jagub – syn Omara, założyciela ruchu i jego pierwszego emira (Omar umarł w 2013 r. na wygnaniu w pakistańskim Karaczi). Minister zapowiedział pandższirskiej starszyźnie, że jeśli nie będzie dawać wiary plotkom, rozpuszczanym przez wrogów talibów, słuchać ich wezwań do buntu ani udzielać im wsparcia, to talibowie zapewnią dolinie porządek i święty spokój.

Partyzanci z rządowej armii

Ruchowi Oporu przewodzi Ahmad Massud – syn Ahmada Szaha Massuda, pandższirskiego Tadżyka, najsławniejszego z partyzanckich komendantów z czasów wojny z armią sowiecką (1979-89) i potem z talibami (1993-2001). Jako minister wojny z lat 1992-96, Ahmad Szah Massud był faktycznym przywódcą Afganistanu (choć oficjalnie był nim jego polityczny zwierzchnik, prezydent Burhanuddin Rabbani). Zginął 9 września 2001 r. w pierwszym w Afganistanie samobójczym zamachu, jakiego w przeddzień ataków na Amerykę dokonali na niego partyzanci Al-Kaidy.

32-letni Massud-junior, rocznik 1989 (jego ojciec w podobnym wieku dowodził w Pandższirze partyzancką wojną przeciw żołnierzom sowieckim), zebrał pod komendą dawnych partyzantów, którzy służyli jeszcze u jego ojca, a także żołnierzy z byłej armii rządowej, która latem 2021 r. rozpierzchła się pod natarciem talibów.

Wprawdzie przejąwszy władzę, talibowie ogłosili amnestię i zapowiedzieli, że nie będą karać urzędników, żołnierzy ani policjantów, którzy służyli rządowi ustanowionemu przez Amerykanów w Kabulu, ale w rzeczywistości prześladują niedawnych wrogów i w niespełna rok zabili prawie pół tysiąca oficerów i żołnierzy z byłej armii rządowej. Pozostali ukrywają się (wielu uciekło też z kraju), a nie widząc dla siebie przyszłości pod rządami talibów, coraz liczniej przystają do partyzantki.

Narodowy Ruch Oporu jest najstarszą i najsilniejszą z działających dziś w Afganistanie partyzanckich armii, a Massud-junior dzieli w nim przywództwo z byłym wiceprezydentem Amrullahem Salehem. Frontowcy twierdzą, że poza Pandższirem, Baghlanem i Taharem działają jeszcze w dziesięciu innych prowincjach kraju, głównie na jego północy, a także że nawiązują przymierza z innymi partyzantkami.

Krajobraz oporu

W sąsiadującej z Pandższirem dolinie Andarabu (w prowincji Baghlan) walczy też sprzymierzony z Massudem-juniorem Front Oporu Andarabu. Dowodzi nim były minister policji Massud Andrabi. Dalej na północy, w górzystym Badachszanie, Frontem Wolności Afganistanu przewodzi inny Tadżyk, Jasin Zia – były towarzysz broni Massuda-seniora, a także były minister obrony i dawny szef sztabu rządowego wojska.

Z kolei w Balchu, przy granicy z Uzbekistanem, działają partyzanci Atty Mohammeda Nura – Tadżyka i kolejnego dawnego towarzysza broni Massuda-seniora. Atta, wcześniej gubernator Balchu, uciekł za miedzę do Uzbekistanu, skąd dowodzi dziś swoimi zwolennikami w kraju.

Również w Balchu, a także w pobliskich Samanganie i Dżauzdżanie, w partyzanckie wojsko skrzykują się zwolennicy marszałka Abdula Raszida Dostuma – weterana wojen i uzbeckiego watażki (Uzbecy stanowią piątą część ludności kraju i mieszkają na jego północy). Sam Dostum przebywa w Turcji, a jego zwolennikami dowodzi jego syn Jar Mohammed. Partyzanci pojawili się też w Bamjanie, podkabulskich Kapisie i Parwanie, a w Heracie na zachodzie kraju partyzantkę zawiązali oficerowie z dawnego afgańskiego wojska.

Bunt tli się nawet na pasztuńskim południu i wschodzie, dotąd twierdzach talibów. W Kandaharze, ich kolebce, w partyzantkę skrzykują się dawni podwładni watażki i komendanta policji Abdula Razeka Aczakzaja, zabitego w 2018 r. przez talibów. Z kolei w Nangarharze, na wschodzie, już walczy Muzułmański Narodowo-Wyzwoleńczy Ruch Afgawwwwwnistanu, dowodzony przez byłego komandosa z rządowego wojska Abdula Matina Sulejmana Khela.

Do walki zamierza się włączyć też inny komandos, Sami Sadat, absolwent zachodnich akademii, który generalskiego stopnia dorobił się jeszcze przed czterdziestką. Latem 2021 r. jako jeden z nielicznych w armii walczył z talibami do ostatka, a prezydent Aszraf Ghani mianował go nawet dowódcą wszystkich komandosów. Jednak gdy Sami Sadat przyjechał do Kabulu, żeby odebrać awans, u bram stolicy stali już talibowie, a prezydent uciekł z kraju. Wiosną Sadat ogłosił, że niecały rok wystarczył, by przekonać się, iż talibowie nie nadają się do rządzenia, i że jedynym ratunkiem dla Afganistanu jest odebrać im władzę siłą.

Nowe Przymierze Północy

Żadna z tych afgańskich grup partyzanckich nie stanowi w pojedynkę zagrożenia dla rządów talibów. Zresztą najaktywniejszym – a także najkrwawszym – z wszystkich partyzanckich ugrupowań w Afganistanie pozostaje miejscowa filia Państwa Islamskiego.

Zdając sobie z tego sprawę, w połowie maja w domu Dostuma w tureckiej Ankarze zebrało się pół setki afgańskich polityków i komendantów. Utworzyli Ruch Oporu i Ocalenia Afganistanu – nowe Przymierze Północy, jakie przed laty zakładał Massud-senior do walki z armią sowiecką, a potem z talibami.

Nowe Przymierze Północy zawiązali – i weszli w skład jego Rady Najwyższej – weterani afgańskich wojen: Dostum, Ismael Chan z Heratu i Abdurrab Rasul Sajjaf, który ściągnął do Afganistanu arabskich ochotników Osamy ibn Ladina, szyiccy przywódcy Muhammad Mohakek i Karim Chalili, bracia Massuda-seniora Ahmad Zia i Ahmad Wali (występujący w imieniu nieobecnego w Ankarze bratanka Ahmeda), Atta Mohammed i Salahuddin Rabbani (syn byłego prezydenta). Ogłosili, że wojna przeciw talibom jest sprawiedliwa i konieczna, i że uda się jej uniknąć tylko jeśli Pasztuni, z których wywodzą się talibowie, podzielą się władzą z ludami północy.

Sąsiedzi tracą cierpliwość

Najlepszą dla talibów gwarancją, że nic nie zagrozi ich panowaniu, było dotąd to, że żaden z sąsiadów nie wspierał ich przeciwników. Chiny, Pakistan, Iran, Turkmenia i Uzbekistan nie uznały wprawdzie dotąd talibów za prawowite władze, ale gotowe są z nimi – dla świętego spokoju – współpracować.

Jednak dobre sąsiedztwo z talibami okazuje się trudniejsze, niż sądzono. Szyicki Iran ma do nich pretensje, że nie potrafią lub nie chcą zapewnić bezpieczeństwa Hazarom (afgańskim szyitom). Cierpliwość do talibów tracą Pakistańczycy, którzy – przyjmując ich na swej ziemi – pomogli im przetrwać 20 lat obecności Amerykanów. Dziś wypominają swoim afgańskim dłużnikom, że wciąż nie potrafią (lub nie chcą) pozbyć się z Afganistanu pakistańskich talibów i grożą, że jeśli talibski rząd nie zaprowadzi porządku na swoim pograniczu, poślą tam lotnictwo, by zbombardowało kryjówki pakistańskich partyzantów.

Natomiast Tadżykistan, najsłabszy i najuboższy z sąsiadów, udzielił schronienia Massudowi-juniorowi i jego partyzantce, i odmawia jakiejkolwiek współpracy z talibami, dopóki nie podzielą się władzą z przywódcami tadżyckiej i uzbeckiej północy. Talibowie grożą Tadżykistanowi, że udzielą wsparcia tadżyckim dżihadystom, którzy po wojnach w Iraku, Syrii i Afganistanie schronili się – w liczbie kilku tysięcy – na afgańskiej północy i marzą tylko, by przenieść „świętą wojnę" do Tadżykistanu.

Gorąco w Tadżykistanie

Za okazję do talibskiego odwetu może posłużyć rebelia, jaka w maju znów wybuchła w Górnym Badachszanie – pamirskiej krainie rozdzielonej między Tadżykistan i Afganistan. Buntownicy z tadżyckiego Górnego Badachszanu są co prawda ismailitami, których talibowie uważają za heretyków. Ale rządzący w Kabulu mogą uznać, że zemsta jako cel uświęca nawet grzeszne metody.

Tadżycki satrapa Imam Ali Rahman, który jesienią będzie obchodził 30-lecie rządów, już dziś dopomina się od sojuszniczki Rosji obietnicy, że mimo wojny przeciw Ukrainie w razie czego nie zostawi go w potrzebie. ©℗

DAWNO TEMU W AMERYCE

Kiedyś Rosjanie docierali aż do Kalifornii i na Hawaje. Pójdźmy śladami ich dawnych kolonii.

KACPER DZIEKAN Z ALASKI, KALIFORNII I HAWAJÓW

GEORGE ROSE / GETTY IMAGES

Festiwal „Święto Plonów" w kalifornijskim Fort Ross, 18 października 2017 r.

Rosyjska obecność w Ameryce Północnej kojarzy się głównie z Alaską. Mało kto wie, że w pierwszej połowie XIX w. Rosjanie skolonizowali także część Kalifornii oraz podjęli próbę osiedleńczą na Hawajach. Jak dziś prezentuje się dziedzictwo carskich poddanych w niegdyś najdalszych posiadłościach Rosji? Jak współcześni patrzą na tę kolonialną historię? Co z niej zostało?

Ekspansja za ocean

Brzegi Alaski zostały „odkryte" dla Rosjan podczas słynnej Wielkiej Wyprawy Północnej z lat 1733-43 pod dowództwem Duńczyka Vitusa Beringa. Dziś wiemy jednak, że pierwszym rosyjskim żeglarzem, który dopłynął do Ameryki już w 1648 r., był kozak Siemion Dieżniew.

Regularna kolonizacja zaczęła się dopiero pod koniec XVIII w., a jej rozwój zapewniło powstanie w 1799 r. Kompanii Rosyjsko-Amerykańskiej. Z jej nadania władzę nad nową kolonią przejął pierwszy gubernator Aleksandr Baranow, który zarządzał nią przez prawie 20 lat i odcisnął najsilniejsze piętno w pamięci dzisiejszych mieszkańców Południowo-Wschodniej Alaski.

Dziedzictwo Baranowa i rosyjskiej działalności kolonialnej jest dziś częścią dyskusji publicznej w USA, która dotyczy całej kolonialnej spuścizny europejskich mocarstw. Alaski nie ominęły też protesty antykolonialnych aktywistów, które przetoczyły się przez Stany wiosną 2020 r.

Centrum tych wydarzeń stanowi urokliwe i senne miasteczko rybackie Sitka, wciśnięte między góry a Ocean Spokojny. Miejscowi żartują, że jest tu więcej gór niż ludzi. A także więcej niedźwiedzi niż ludzi. W końcu to Alaska.

Przez większość roku życie płynie tu spokojnie. Miasteczko ożywa jedynie latem, gdy trwa sezon turystyczny: Sitka jest na szlaku części wielkich promów wycieczkowych. Może wtedy chwalić się turystom swoim potencjałem historyczno-kulturowym. Wszak jeszcze nieco ponad 150 lat temu była stolicą guberni jednego z największych imperiów w dziejach, rozciągniętego od jej brzegów aż po polski Kalisz. Wówczas miasteczko nosiło nazwę Nowy Archangielsk.

Nie powstało na niczym. Na terenie dzisiejszej Sitki od wieków (czy nawet od 10 tys. lat, jak twierdzą rdzenni mieszkańcy) znajdowała się osada plemienia Tlingitów. W 1799 r. nieopodal swoją osadę zakładają ludzie Baranowa – mają na to zgodę Tlingitów. Jednak w wyniku wydarzeń, na temat których do dziś toczą się spory, dochodzi do konfliktu i Rosjanie po trzech latach zostają zmuszeni do ucieczki.

Wracają w 1804 r., odzyskują terytorium i poszerzają swoje zdobycze. Wkrótce zostaje tu przeniesiona – z osady Kodiak – stolica Rosyjskiej Ameryki. Nowy Archangielsk staje się administracyjnym, portowym, handlowym, kulturalnym i politycznym centrum rosyjskiego władztwa w Ameryce Północnej. Pozostanie nim do 18 października 1867 r., kiedy to zostanie oficjalnie przekazany Stanom Zjednoczonym. ↦

Czyja jest Alaska?

↦ Dziś 18 października świętowany jest jako Dzień Alaski.

Święto obchodzone jest wyłącznie w Sitce. To dzień wolny od pracy. Przez miasto idzie parada, lokalne organizacje proponują mieszkańcom i gościom różne atrakcje, a wieczorem odbywa się uroczysty bal w strojach z epoki. Jednak dla wielu gwoździem programu jest historyczna rekonstrukcja przekazania władzy nad Alaską, która odbywa się na Wzgórzu Zamkowym. W 2020 r. uroczystości po raz pierwszy poważnie okrojono ze względu na pandemię. W 2021 r. większość atrakcji przywrócono, choć zrezygnowano z balu, gdyż w październiku statystyki zachorowań na covid były na Alasce rekordowe.

W ostatnich latach obchody Dnia Alaski wywołują kontrowersje: dla dużej części Tlingitów tradycyjna forma świętowania jest nie do przyjęcia. Obiekcje dotyczą głównie rekonstrukcji historycznego przekazania przez Rosjan Alaski Amerykanom.

– 18 października 1867 r. nasi ludzie nawet nie wiedzieli, co się dzieje – tłumaczy mi Chuck Miller (znany też pod tlingickim imieniem jako Daanax.ils'eik), przedstawiciel Sitka Tribe of Alaska. – Jedna flaga była opuszczana, a druga podnoszona. Oni w ogóle tego nie rozumieli. Czy Tlingitów w jakikolwiek sposób uwzględniono w tej ceremonii? Czy dano im szansę wypowiedzi? Nie, nic im nie powiedziano, niczego nie konsultowano.

– Najbardziej uderzały mnie zawsze te rozmowy o sprzedaży Alaski – mówi Miller. – Przecież Rosjanie posiadali jedynie niewielką osadę. Jak możesz sprzedawać coś, nad czym nie masz kontroli? Nie kontrolowali terenów wokół dzisiejszych miast Fairbanks czy Anchorage ani żadnych innych. Jak mogli zatem sprzedać to wszystko Stanom? A Amerykanie pomyśleli sobie: „Hej, dzięki, to teraz zajmiemy sobie całe terytorium". To oszustwo. Dlatego powinni pozbyć się tej rekonstrukcji. To jak policzek: „Hej autochtonie, wiesz co, kupiliśmy twoją ziemię, ale nie masz nic do gadania".

Kilka lat temu grupa rdzennych mieszkańców zaczęła ceremonię opłakiwania straconej ziemi. Zbierali się pod Wzgórzem Zamkowym w trakcie rekonstrukcji i wykonywali żałobny taniec.

Próby pogodzenia się między organizatorami Dnia Alaski a tlingickimi aktywistami na razie nie powiodły się. Jednak w 2021 r. aktywiści zorganizowali swoją akcję dzień wcześniej, a na oficjalnych obchodach podkreślano znaczenie przynależności tych ziem do ludności tlingickiej.

Pomnik króla Kaumuali'iego w ruinach dawnego rosyjskiego fortu. Hawaje, listopad 2021 r.

KACPER DZIEKAN

Poza zmianą formy obchodów aktywiści postulują też zmianę nazwy święta. Zamiast Dnia Alaski (*Alaska Day*) proponują Dzień Pojednania (*Reconciliation Day*). Argumentują, że to będzie łączyć. A jaka będzie przyszłość tej rocznicy w Sitce? Zobaczymy.

Jak Baranow trafił do muzeum

Problem z upamiętnianiem nie ogranicza się do Dnia Alaski. Na fali zmian i dyskusji toczących się w Stanach (oraz w innych krajach z przeszłością kolonialną) także w Sitce podejmowane są inicjatywy zmierzające do zmian w przestrzeni publicznej.

Dotyczy to również pomnika Baranowa. Umieszczono go w reprezentacyjnym miejscu w 1989 r. Od kilku lat trwa wokół niego dyskusja. Moment kulminacyjny miał miejsce wiosną 2020 r., gdy fala protestów po śmierci George'a Floyda nie ominęła Alaski. Baranowa na postumencie zdewastowano, a do władz miasta wpłynęła petycja z żądaniem jego usunięcia.

Przez kolejne miesiące toczyła się debata, prowadzono konsultacje społeczne. Ostatecznie we wrześniu 2021 r. zapadła decyzja o przeniesieniu Baranowa do Muzeum Historycznego, położonego po sąsiedzku.

– Każda osoba odwiedzająca Sitkę mijała ten pomnik – mówi mi Hal Spackman, dyrektor muzeum. – Dominował nad krajobrazem. Rdzenni mieszkańcy Alaski, ale też inni mieszkańcy czuli, że ten pomnik jest ciągłym przypomnieniem rosyjskiego kolonializmu. Dla jednych to coś złego, dla innych po prostu historia. Dwa zupełnie odmienne punkty widzenia. Jedni argumentują: nie można upamiętniać takich osób jak Baranow. Drudzy: to historia, trzeba o tym dyskutować i dlatego trzeba to upamiętniać.

Nicole Fiorino, kuratorka z muzeum, dodaje: – Dlatego postanowiliśmy przenieść tu pomnik. Tu mamy możliwość przedstawić szerszą perspektywę, oddać głos wszystkim stronom.

– Niektórzy podnosili kwestię pieniędzy – wspomina Spackman. – Mówili: po co ludzie przyjeżdżają do Sitki? Aby ją zwiedzić. Turystyka jest ważnym elementem naszej lokalnej gospodarki. Ludzie są zafascynowani rosyjską przeszłością. Czy to ma zniknąć? Nie, bo jest to ważne dla naszej turystyki kulturowej. Czy powinniśmy opowiadać historię, która jest bardziej prawdziwa i uczciwa? Tak. Czy powinniśmy uwzględniać więcej perspektyw? Tak, ale to nie oznacza, że pomnik musi zniknąć. Dlatego uznaliśmy, że to część naszej historii i chcemy opowiedzieć ją w możliwie najbardziej obiektywny sposób. To nasza filozofia.

LIBRARY OF CONGRESS

Na terenie dzisiejszej Sitki od wieków znajdowała się osada plemienia Tlingitów. Na zdjęciu: tlingicka kobieta, Alaska, 1903 r.

Wielu chciało go zniszczyć

Perspektywę rdzennych mieszkańców na spór o pomnik tłumaczy mi także Chuck Miller: – Wiele osób ma mieszane uczucia na ten temat. Według mnie, kiedy postanowiono zbudować ten pomnik, ludzie chcieli upamiętnić przeszłość. Ale robiąc to, nie rozumieli w pełni historii. Zamówili pomnik, nie myśląc, jak to wpłynie na wszystkich. Chcieli tylko uhonorować osobę, która przyjechała tutaj i zostawiła swój ślad. Rozumiem to. Nie wzięli jednak pod uwagę, jak złym człowiekiem był Baranow dla rdzennej ludności.

Miller uważa, że przeniesienie pomnika do muzeum jest dobrym rozwiązaniem: – Wielu miejscowych chciało go zniszczyć. Baranow nie był szczególnie honorowym człowiekiem. Nie traktował naszych ludzi dobrze. Pomnik w centrum, gdzie wszyscy go widzą, jest niczym policzek. Zgadzam się, że powinno się go pozbyć. Nie da się jednak wymazać historii. Umieszczono go w muzeum, bo to część historii. Przynajmniej nie jest już w przestrzeni publicznej.

Kolejne inicjatywy dotyczą zmian innych miejsc w przestrzeni publicznej, m.in. Wzgórza Zamkowego. Nad nową wystawą o czasach kolonialnych pracuje też Narodowy Park Historyczny, który opiekuje się materialnym dziedzictwem Sitki. Praca nad tą trudną pamięcią potrwa zapewne jeszcze wiele lat.

Rosjanie ruszają na południe

Inaczej wygląda sytuacja z rosyjskim dziedzictwem w Kalifornii. Obejmuje ono znacznie krótszy okres (lata 1812-31) i ma inny charakter.

Skąd w ogóle wzięli się Rosjanie w „złotym stanie”? Koloniści z Alaski i okolic szybko uświadomili sobie, że warunki życia są tam ciężkie. W dużej mierze byli zależni od miejscowej ludności – zwłaszcza Aleutów zamieszkujących archipelag wysp, od których bierze on swoją nazwę. Poza tym głównym powodem rosyjskiej kolonizacji Alaski były futra zwierząt, przede wszystkim wydr morskich. To „miękkie złoto” przynosiło duże zyski. Dlatego polowano na te zwierzęta bezwzględnie, przez co ich liczba malała. Zaczęto rozglądać się więc za nowymi siedliskami wydr.

Tymczasem podczas pierwszej rosyjskiej wyprawy dookoła świata (1803-1806) opłynięto m.in. kalifornijskie wybrzeża Pacyfiku. Wyglądały obiecująco, a tereny na północ od dzisiejszego San Francisco były poza kontrolą Hiszpanów.

Dlatego w 1807 r. gubernator Baranow postanowił wysłać tam ponownie jednego z głównych udziałowców Kompanii Rosyjsko-Amerykańskiej, Nikołaja Riezanowa. Ten założył pierwszą rosyjską przystań w Ameryce poza Alaską i nazwał ją Zatoką Rumiancewa, na cześć głównego sponsora wyprawy dookoła świata. Płynącą obok rzekę ochrzcił zaś mianem poczciwej Słowianki.

Dziś ta zatoka nazywa się Bodega Bay, a rzeka Russian River i znajduje się w sercu pięknego hrabstwa Sonoma, słynącego ze swoich winnic na cały świat.

Po kilku latach rosyjskim osadnikom udało się założyć większą osadę nieco na północ, znaną dziś jako Fort Ross i mającą status stanowego parku historycznego.

Nośnik ciągłości

Park, który może się kojarzyć z naszym skansenem, położony jest malowniczo: tuż nad oceanem, nad majestatycznym klifem. A Bodega Bay to dobre miejsce na przystanek w drodze do fortu z San Francisco. Jest tu niewielka kawiarnia, której przestrzeń regularnie okupuje ptactwo (w tym miejscu dzieje się akcja słynnego filmu Hitchcocka „Ptaki”).

Do Fortu Ross najlepiej jechać główną stanową drogą, serpentynami wzdłuż skalistych wybrzeży, podziwiając ocean. Rosyjscy osadnicy dotarli tu jednak drogą morską.

Fort utrzymywano przez niecałe 30 lat. Nie spełnił pokładanych w nim nadziei, jego utrzymanie stało się zbyt drogie, a na południu zjawił się nowy gracz – Meksyk. Ostatecznie posiadłość sprzedano prywatnemu inwestorowi Johnowi Sutterowi. Przeszedł on do historii jako właściciel rancza, na którym po raz pierwszy znaleziono złoto, zapoczątkowując kalifornijską „gorączkę”. Rosjan jednak już tu wtedy nie było – osadnicy wrócili na Alaskę lub do Rosji kontynentalnej.

Pozostali natomiast rdzenni mieszkańcy, z plemienia Kashaya Pomo. Są oni jedynym nośnikiem ciągłości pamięci rosyjskiej kolonialnej obecności w Kalifornii.

Dla ludu Kashaya percepcja rosyjskiej obecności na ich ziemi (zwą ją Metini) jest inna niż w przypadku Tlingitów. – Członkowie naszej społeczności różnie odnoszą się do rosyjskiej przeszłości – mówi mi Kaylee Pinola, ↦

↦ muzealniczka z Parku Historycznego Fort Ross.

– Rosyjska obecność nie była najgorszą rzeczą, która mogła nas spotkać – tłumaczy Pinola. – Zwłaszcza gdy spojrzeć na to, co np. robili Hiszpanie nieco bardziej na południe od naszych ziem. Ich system misji i wszystkie potworności, które się z tym wiązały. Gdybym miała porównać kolonizację rosyjską z hiszpańską, Rosjanie zdecydowanie nie wypadają źle. Nie zmuszali nas do konwersji, nie mówili, że nie możemy praktykować naszej kultury. Oczywiście nie jest tak, że wszystko było wspaniale. Nie byliśmy zachwyceni, że Rosjanie przyjechali tu budować swój fort. Wiem, że rdzenni mieszkańcy Alaski mają swoją perspektywę. My mamy szczęście, że nasza historia z Rosjanami wyglądała inaczej.

– Mimo wszystko to nadal nasz dom, nasza ziemia. Udostępniliśmy ją Rosjanom, a oni ją potem sprzedali – przyznaje jednak Pinola. – Przez to z prawnego punktu widzenia straciliśmy prawa do tej ziemi i nie byłyby one uznane w obecnym amerykańskim systemie sądowniczym.

Pozytywny wydźwięk rosyjskiej kolonizacji w porównaniu z hiszpańską bywa tłumaczony tym, że Rosjanie nie czuli się tu pewnie. Obawiali się utraty kolonii na rzecz Hiszpanii, przez co starali się zaskarbić sobie przychylność rdzennych mieszkańców.

Miejsce święte

Choć rosyjscy koloniści opuścili Fort Ross po jego sprzedaży, później miejsce to zyskało wyjątkowe znaczenie dla kolejnej fali rosyjskiego osadnictwa – „białych" emigrantów uciekających po 1917 r. z Rosji przed prześladowaniami ze strony bolszewików. Najbardziej popularny szlak ucieczki do Ameryki wiódł z Rosyjskiego Dalekiego Wschodu przez chińskie miasta Harbin i Szanghaj aż do San Francisco.

W latach 20. młoda rosyjska społeczność nieco okrzepła i zaczęła odkrywać okolice nowego kraju. Ku zdumieniu jej przedstawicieli, 150 km na północ od San Francisco znaleźli dziedzictwo utraconej ojczyzny: zrujnowany fort przypominał o świetności nieistniejącego już imperium carów. W 1925 r. Vladimir Sakovich, prawosławny duchowny i jeden z liderów rosyjskiej społeczności San Francisco, zainicjował pielgrzymkę do fortu na 4 lipca. W ten sposób zamanifestowano przywiązanie do straconej ojczyzny i do nowej, amerykańskiej.

Maria Sakovich, wnuczka inicjatora akcji, napisała pracę na temat znaczenia Fortu Ross dla Amerykanów rosyjskiego pochodzenia (na razie jej nie opublikowała). Pisze w niej: „Jeśli dla Amerykanów Fort Ross był miejscem egzotycznym, to dla nowo przybyłych Rosjan (a także ich poprzedników i następców) Fort Ross był miejscem świętym. Rosyjskie miejsce »poza« Rosją miało szczególne znaczenie. Dla uchodźców, których kraj został radykalnie zmieniony, znaczenie Fortu Ross było szczególnie istotne. Odkrywszy rosyjską przeszłość w Kalifornii, niektórzy znaleźli związek z nieodwracalnym poprzednim życiem. Ameryka, do której przybyli ci wykształceni i często ceniący kulturę imigranci, wydawała się obca. Fort Ross przedstawiał coś znajomego, przynajmniej symbolicznie".

Inicjatywa przekształciła się w coroczną tradycję i trwa do dziś (z jedyną

KACPER DZIEKAN x2

przerwą w 2020 r. ze względu na pandemię). Fort pozostał ważnym miejscem dla zmieniającej się rosyjskiej społeczności północnej Kalifornii.

Ponieważ nie ma tu takich konfliktów o pamięć jak na Alasce, Stanowy Park Historyczny wraz z organizacją pozarządową Fort Ross Conservancy prowadzą dziś działalność kulturalną i edukacyjną we współpracy z przedstawicielami różnych środowisk. Uwzględniane są różne perspektywy, w tym historia środowiskowa.

Bo warto pamiętać, że polityka kolonialna miała jeszcze jedną ofiarę: naturę.

Hawajska przygoda

Kalifornijska kolonia dała nadzieję na rozwój rosyjskiego władania wzdłuż pacyficznego wybrzeża. Żeglarze Kompanii Rosyjsko-Amerykańskiej liczyli na zdobycie nowych źródeł zwierzyny, a także na-

SERWIS SPECJALNY
ATAK NA UKRAINĘ
Korespondenci wojenni, analitycy ds. wschodnich, doświadczeni dziennikarze i reporterzy o sytuacji na froncie i poza nim.
Relacjonują: Paweł Pieniążek, Wojciech Pięciak, Anna Łabuszewska, Wojciech Konończuk, Wojciech Jagielski, Grażyna Makara i Marcin Żyła.
Teksty, zdjęcia, wideo i podkasty na
TygodnikPowszechny.pl/atak-na-ukraine
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. PAWEŁ PIENIĄŻEK

Zwolennicy i przeciwnicy obchodów Dnia Alaski. Sitka, 18 października 2021 r.

wiązanie stosunków handlowych z kolejnymi ludami.

W 1816 r. pojawiła się okazja. Na Hawajach tlił się konflikt między najpotężniejszym lokalnym władcą Kamehamehą I oraz królem wyspy Kaua'i imieniem Kaumuali'i. Kamehameha podbijał kolejne wyspy archipelagu i podporządkował sobie również Kaua'i. Jednak Kaumuali'i liczył, że uda mu się odzyskać kontrolę nad swoją wyspą. Potrzebował do tego sojusznika – i zaproponował współpracę Georgowi Schäfferowi, przedstawicielowi cara.

Na wyspie Kaua'i zbudowano trzy rosyjskie forty, które nazwano na cześć cara Aleksandra I, jego żony carycy Elżbiety i generała Michaiła Barclay de Tolly'ego. Wkrótce doszło jednak do konfliktu między królem a Rosjanami – i ci ostatni opuścili wyspę już w 1817 r. Natomiast Kamehameha umocnił swoją władzę i zapoczątkował dynastię panującą na Hawajach niemalże do przekształcenia tego królestwa w republikę i przejęcia jej następnie przez USA.

Czy to był rosyjski fort?

Jak dziś wygląda tu dziedzictwo rosyjskiej kolonizacji?

Kaua'i znana jest jako „ogrodowa wyspa". Nazwę zawdzięcza bujnej zieleni, która ją porasta. Poza tym słynie z atrakcji przyrodniczych: kanionu, dzikich wodospadów, zapierających dech w piersiach widoków górskich i oczywiście rajskich plaż.

Mimo że uchodzi za najmniej popularną wśród całego archipelagu, podstawą jej gospodarki jest turystyka. Przede wszystkim przyrodnicza, ale także kulturowo-historyczna. Ta ostatnia skupia się jednak głównie na dziedzictwie Hawajczyków – polinezyjskiego ludu, który zasiedlił wyspy na początku naszej ery, przez co ma status rdzennego. Epizod rosyjski nie jest tu szczególnie eksponowany.

Po fortach Aleksander oraz Barclay nie pozostał ślad. Turystów zaskoczyć mogą jedynie tabliczki informujące o tym mało znanym fragmencie historii wyspy. Nieco inaczej prezentuje się kwestia Fortu Elżbiety. Choć również niewiele z niego zostało, to zajmuje okazałą przestrzeń, a także posiada status stanowego parku historycznego. Jego oficjalna nazwa brzmi Russian Fort Elizabeth State Historical Park / Pā'ula'ula – i jest ona źródłem lokalnych kontrowersji. Drugi człon nazwy to określenie tych ziem w języku hawajskim.

Część rdzennych mieszkańców, skupionych w organizacji Friends of King Kaumuali'i, postuluje odrzucenie słowa „*Russian*", argumentując, że w istocie fort rosyjskim nigdy nie był. Nie został przez Rosjan zbudowany ani nie był przez nich obsadzony.

Puali'ili'imaikalani Rossi, antropolożka i specjalistka od kultury hawajskiej z Uniwersytetu Hawajskiego, tłumaczy mi: – Choć miejsce nazywa się „rosyjski fort", nikt na Kaua'i nie widzi tego jako powiązanie nas i Rosji. Patrzymy na to, myśląc: OK, ma nazwę „rosyjski fort". Możliwe, że Rosjanie go zbudowali, a może to ich wpływ spowodował, że my go zbudowaliśmy. Ludzie w różny sposób tłumaczą sobie, skąd wzięła się nazwa. Jednak bardzo, bardzo niewiele osób widzi to jako „rosyjski fort". Innymi słowy, ma tę nazwę, ale nie oznacza to, że należy do Rosji. Że Rosja ma jakiekolwiek prawa do niego.

W marcu 2021 r. działacze Friends of King Kaumuali'i postawili pomnik króla w centralnej części fortu. Ma przypominać o tysiącach lat obecności rdzennych mieszkańców na wyspie. Zaś postulat zmiany nazwy spotyka się z protestem ze strony części Amerykanów rosyjskiego pochodzenia. Argumentują, że pozostawienie samego imienia Elżbiety sprawi, iż fort będzie kojarzyć się z brytyjską królową, a nie z carycą. Przekonują też, że forty powstały w związku z planowanym sojuszem między królem Kaua'i a carem Rosji.

Na razie sytuacja pozostaje w zawieszeniu. © KACPER DZIEKAN

Autor jest doktorantem na Wydziale Historii UAM i pracownikiem Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku. Pisze doktorat na temat rosyjskiej kolonizacji Ameryki w pamięci kulturowej. Badania w USA umożliwiły mu stypendia Polsko-Amerykańskiej Komisji Fulbrighta oraz programu Uniwersytet Jutra UAM.

NAUKA

PATRZCIE I PODZIWIAJCIE

W zachodniej kulturze bardziej niż kiedyś skupiamy się na sobie. W mediach społecznościowych możemy promować się do woli. Czy grozi nam epidemia narcyzmu?

ŁUKASZ SAKOWSKI

Jakie smutne! Ja się zestarzeję i będę brzydki i odpychający. Ale portret ten na zawsze pozostanie młody. Nigdy nie będzie starszy niż w dzisiejszym czerwcowym dniu. Gdybyż mogło być przeciwnie! Gdybym ja pozostał wiecznie młody, a obraz się starzał! Wszystko bym za to oddał, wszystko! Tak, nie ma nic na świecie, czego bym za to nie oddał. Oddałbym duszę własną!" – mówi o portrecie sprezentowanym mu przez przyjaciela Dorian Gray, klasyczna postać narcystyczna z literatury. Wymyślona przez Oscara Wilde'a w XIX w., jeszcze przed naukowym sklasyfikowaniem narcyzmu, ale trafnie pokazująca jego esencję.

Nowa normalność

W 2015 r. Piotr Sorokowski z Uniwersytetu Wrocławskiego i współpracownicy opublikowali w czasopiśmie „Personality and Individual Differences" raport z badania, w którym sprawdzali, czy osoby bardziej narcystyczne

DIAMANT STUDIOS / ALAMY / B&W

częściej niż pozostałe publikują selfie w mediach społecznościowych. Choć to kobiety dzieliły się selfie częściej, analizowaną zależność dostrzeżono wśród mężczyzn.

„Media społecznościowe to taka maszynka narcyzmu, która nigdy nie przestaje pracować, a wynagradza przyjmowanie coraz bardziej radykalnych stanowisk, bo najbardziej przyciągają uwagę" – pisze Peter Pomerantsev w wydanej u nas w 2020 r. książce „To nie jest propaganda". Podobna myśl pewnie wielu z nas przemknęła przez głowę. Można się jednak zastanawiać, czy z powodu Facebooka, Twittera i Instagrama stajemy się bardziej narcystyczni, czy może problemy z narcyzmem pojawiły się wcześniej, a nowe media jedynie je uwypukliły?

O narcyzmie nie mówi się od dekady czy dwóch. Christopher Lasch, zmarły już amerykański historyk, w 1979 r. wydał książkę „Kultura narcyzmu". Na okładce, na tle zdjęć z kolorowych magazynów, biegnie nagi mężczyzna. Gdzieś w dole ginie obraz „Mona Lisa". Zerkając na nią łatwo sobie uświadomić, że to, co parę dekad temu było dostępne dla nielicznych celebrytów – i tak w ogromnym stopniu oddziałujących na popkulturę – dziś niemal każdy w krajach wysoko rozwiniętych ma na wyciągnięcie ręki. Założyć konto na portalu społecznościowym i wrzucać na nim kontrowersyjne zdjęcia czy prowokacyjne filmy mogą nawet nastolatkowie, demograficzna siła TikToka. Materiały nie muszą być zresztą kontrowersyjne, nisz w tej przestrzeni nie brakuje. Narcystyczne postawy upowszechniają się więc i normalizują.

Znaczna część refleksji i przewidywań Lascha na temat przyszłej kultury promującej skrajny indywidualizm i narcyzm pod koniec lat 70. XX w. mogła być w Ameryce oceniana jako czarnowidztwo lub wyolbrzymianie problemu. Dziś nie brak głosów, że ta wizja się spełnia.

Postać kliniczna

Choć popkulturowa czy mitologiczna wizja narcyzmu jest niezwykle obrazowa, jest też niejednoznaczna. Pomocne jest przyjrzenie się jej znaczeniu klinicznemu – narcystycznemu zaburzeniu osobowości. Objawia się ono bardzo niską empatią, manią wielkości, fantazjowaniem o swojej wspaniałości, domaganiem się podziwu, wykorzystywaniem innych, poczuciem uprawnienia do oczekiwania specjalnego traktowania, a także wyniosłością i arogancją. Jednocześnie, co ciekawe, narcyz nie musi mieć wysokiej samooceny – często określa się ją jako chwiejną.

Zjawisko narcyzmu nie jest jednak czymś zero-jedynkowym – to spektrum. Każdy z nas przejawia pewną liczbę cech i zachowań narcystycznych, dopiero ich skrajne nasilenie pozwala na kliniczną diagnozę.

Osoby narcystyczne mogą mieć wojownicze nastawienie do otoczenia. Kłótliwość, konfrontowanie się z innymi, poniżanie, zastraszanie, nękanie, umniejszanie – wszystko to nadaje narcyzom upragnione poczucie wyższości. Narcyzi również częściej zdradzają i używają seksualizującego języka, a w przeciwieństwie do większości osób na początku związków, jak wykazały niedawne badania przeprowadzone przez Annę Czarną i Magdalenę Śmieję z Uniwersytetu Jagiellońskiego, nie idealizują swoich partnerów (ta idealizacja pozytywnie wpływa na przezwyciężanie trudności i długość relacji). Oprócz wyglądu, osoby narcystyczne mocniej niż inni cenią sławę, popularność i bogactwo. Łatwiej im przychodzi kłamanie i manipulowanie, a jeśli czują, że ktoś zagraża ich pozycji w hierarchii społecznej, z lekkością sięgają po znieważenie i zniesławienie.

Opisy siłą rzeczy są jednak uogólnieniem. Istnieją podtypy narcyzmu – wrażliwego, neurotycznego, mściwego, ekspansywnego, wysoko funkcjonującego i innych. Na zachowania narcystyczne nałożyć trzeba kontekst sytuacyjny i kulturowy.

W psychologii społecznej funkcjonuje pojęcie narcyzmu zbiorowego, w którym znikome różnice między grupami są na siłę uwypuklane, a identyfikująca się przez nie, zwykle mniejszościowa grupa wywyższa się względem pozostałych mniejszości i ogółu społeczeństwa.

Znaczenie przy klinicznie rozumianym narcyzmie ma utrzymywanie się narcystycznych cech i zachowań przez długi czas. Nie mogą to być epizody, w których stan nadzwyczajny czy szczególna motywacja wymusiły na jednostce tego rodzaju postępowanie. Warunek ten zahacza jednak o pytanie, czy media społecznościowe i nasze zwyczaje cyfrowe, a wcześniej tradycyjne media masowe, nie wprawiają coraz większej liczby osób w taki permanentny stan wyjątkowy, czyniąc go nową normalnością.

Kwestia wychowania?

Z perspektywy większości jednostek i społeczności żyjących tu i teraz oraz w kontekście jednego pokolenia narcystyczne cechy są niezwykle uciążliwe, dezintegrujące i toksyczne. A mimo to utrzymują się w populacji od dawna. Można się więc zastanawiać, czy nie są one korzystne z ewolucyjnego punktu widzenia.

Osoby z wysokim nasileniem cech narcystycznych są skłonniejsze do samodoskonalenia się nie tylko w aspekcie wyglądu, ale i umiejętności. Dbanie o wygląd i rozwój swoich zdolności łączy się ↦

↦ z tendencjami do konfrontowania się z innymi, zastraszania i nękania. Czy nie brzmi to jak przepis na jednostkę odnoszącą sukcesy na polu biologicznym i społecznym?

Na argumentach tych opierają się naukowe hipotezy ewolucyjne o powodzeniu narcyzów: ze względu na swoje cechy i styl życia mieliby oni odnosić korzyści rozrodcze. Narcyzm potencjalnie może także chronić przed negatywnymi konsekwencjami samotności, na które narażone są zwłaszcza osoby starsze – co miałoby pozytywnie wpływać na długość życia i zdrowie psychiczne (a to w przypadku mężczyzn może się przekładać na skuteczniejsze przekazywanie genów).

Jednak z drugiej strony, osoby narcystyczne słabiej dbają o swoje otoczenie, wspólnotowość i interes grupy, a to, szczególnie przed wynalezieniem i upowszechnieniem rolnictwa, mogło działać destrukcyjnie na szanse przetrwania.

Zdaniem psychologa Petera Graya jednym z elementów wzmacniających narcyzm współcześnie jest nadopiekuńczość rodziców wobec dzieci. Hipotezę tę potwierdzają badania naukowe opublikowane m.in. przez Eddiego Brummelmana z Uniwersytetu Amsterdamskiego w 2015 r. w czasopiśmie „PNAS": pobłażliwość wobec dziecka oraz przecenianie go względem stanu faktycznego najprawdopodobniej stanowią środowiskowy czynnik zwiększający ryzyko nasilenia cech narcystycznych (Brummelman przeciwstawia takie zachowania ciepłej postawie rodziców – emocjonalna bliskość i docenianie dziecka buduje w nim wysoką, niezachwianą samoocenę).

Nie da się obecnie jednoznacznie stwierdzić, jakie są przyczyny narcystycznego zaburzenia osobowości i nasilenia cech narcystycznych. Dlatego trudno też ocenić, czy odpowiada za nie jedynie rozwój osobniczy i ewolucja kulturowa, czy cechy te podlegały naturalnej selekcji. Najpewniej jest to mieszanka i interakcja kilku czynników: wpływu wychowawczego i kulturowego, traum z dzieciństwa, nieprawidłowego rozwoju psychologicznego i aspektów genetycznych. Te ostatnie, podobnie jak czynnik wychowawczy, rysują się dość wyraźnie.

Kilka badań kwestionariuszowych przeprowadzonych na bliźniętach, m.in. opisane jeszcze w latach 90. przez Johna Livesleya i współpracowników w „American Journal of Psychiatry", pokazało, że narcystyczne zaburzenie osobowości jest jednym z najbardziej odziedziczalnych. Wpływ wrodzonych czynników genetycznych na determinację narcystycznego zaburzenia osobowości, choć ze słabszym nasileniem, jednak zauważalnym, zaobserwowali też kilka lat temu badacze z kraju o kulturze bardziej kolektywnej – z Chin.

U celebrytów narcyzm występuje z częstością sięgającą aż 19 proc.

W latach 1980-2007 w tekstach piosenek nasiliło się wykorzystanie słów dotyczących koncentrowania się na sobie, a osłabiło – tych skupiających się na innych.

Kiedyś było inaczej

Narcyzm w ostatnich latach cieszy się na nowo – po czasach Zygmunta Freuda i jego następców – większym zainteresowaniem wśród naukowców. Nie tylko z uwagi na zachowanie ludzi w mediach społecznościowych. O silnie narcystyczne osobowości podejrzewani byli popularni liderzy, tacy jak Donald Trump czy Elon Musk. Ten pierwszy był nawet przez amerykańską grupę przeciwnych mu psychologów i psychiatrów diagnozowany publicznie jako narcyz bądź psychopata, co doczekało się ostrej krytyki ze strony Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Przypomniało ono, że nieetyczne i niemerytoryczne jest publiczne przypisywanie komuś zaburzeń osobowości, zwłaszcza gdy nie przeprowadziło się testów i wywiadu klinicznego.

Jaki odsetek zachodnich społeczeństw stanowią narcyzi? Najwięcej prac na ten temat dotyczy Amerykanów. Przegląd badań z lat 1980-2008, obejmujący Amerykanów, pokazał, że narcyzm wykrywano u nawet do 6,2 proc. badanych. Późniejsze analizy potwierdzały z reguły, że w ogólnej populacji narcyzm spotykany jest u od 0 do 5-6 proc. osób. Mniej liczne badania europejskie pokazywały podobne liczby.

U celebrytów narcyzm występuje jednak z częstością sięgającą aż 19 proc., a co ciekawe, u wojskowych – 20 proc. Dane demograficzne pokazują też, że narcystyczne zaburzenie osobowości jest nieco częstsze wśród mężczyzn niż kobiet oraz wśród osób niezamężnych, w separacji, po rozwodzie i owdowiałych, w porównaniu z ludźmi żyjącymi w trwałych związkach.

Co istotne, cała grupa badań (m.in. przeprowadzone przez Joshuę Fostera i współpracowników, opisane w 2003 r. w „Journal of Research in Personality") pokazuje, że w indywidualistycznych, zachodnich społeczeństwach zwiększa się nasilenie cech narcystycznych w populacji.

W 2018 r. w „Journal of Psychology and Psychiatry" ukazał się z kolei raport z badania przeprowadzonego przez zespół Mike'a Malesa na dużej grupie uczestników, które pokazało, że narcyzm jest znacznie szerzej rozpowszechniony wśród ludności czarnoskórej w porównaniu do białych, Latynosów, Azjatów i rdzennych Amerykanów. Nie wykryto w nim za to zależności pomiędzy narcyzmem a wysokością dochodów, zamieszkiwaniem terenów miejskich bądź wiejskich oraz poziomem edukacji.

O czym śpiewamy

Znaczenie dla demografii narcyzmu ma wiek. U starszych pokoleń Amerykanów występował znacznie rzadziej niż u dzisiejszych młodych. W zasadzie nie musi to oznaczać, że kiedyś amerykańskie (i całe zachodnie) społeczeństwo było mniej narcystyczne niż obecnie – wiele badań wskazuje, że poziom narcyzmu u jednostek spada wraz z wiekiem. Poza tym przeprowadzane przez badaczy wywiady, wymagające sięgania pamięcią o dekady wstecz, siłą rzeczy muszą być mniej dokładne od tych przeprowadzanych z młodymi ludźmi o czasach bardzo im bliskich. Jednak Jean Twenge, autorka książki „The Narcissism Epidemic: Living in the Age of Entitlement", przedstawiła silne dowody na rosnący wśród młodzieży amerykańskiej narcyzm, pochodzące z badań realizowanych w tych samych miejscach i na tych samych grupach wiekowych.

Twenge wraz ze współpracownikami zbadała też językową ekspansję indywidualizmu i narcyzmu w popkulturze. Okazało, że w latach 1980-2007 w tekstach piosenek nasiliło się wykorzystanie słów dotyczących koncentrowania się na sobie i na zachowaniach antyspo-

łecznych, a osłabiło podkreślanie pozytywnych emocji, interakcji międzyludzkich i zwracanie uwagi na innych. Analizy kolorowych magazynów i reklam dowiodły, że skupienie na wyglądzie, poczuciu swojej wartości, własnej wyjątkowości i odrębności również zaczęło się upowszechniać. Kolejne z badań, opublikowane w „PLoS One", przeprowadzone na Niemcach z bardziej kolektywnych Niemiec Wschodnich i bardziej indywidualistycznych Niemiec Zachodnich, potwierdziło hipotezę, że kultura indywidualistyczna sprzyja występowaniu cech narcystycznych.

Badania pokazują, że indywidualizm w krajach zachodnich mocno wzrósł, a wspólnotowość jest w odwrocie, że język piosenek, reklam i artykułów w prasie coraz mocniej podkreśla skupianie się na sobie, że kolektywne sformułowania są coraz rzadsze, a perspektywa grupy lub wspólnoty wypierana jest przez perspektywę jednostki. Przeciętny człowiek świata zachodniego coraz częściej myśli w kategorii „ja", a nie „my". Jednakże w obliczu dostępnych danych nie da się jednoznacznie rozstrzygnąć, czy należy już mówić o epidemii narcyzmu. Można jednak zauważyć, że wśród młodych ludzi upowszechniły się i nasiliły niektóre z cech narcystycznych oraz że skupianie się na sobie, indywidualizm, egoizm i egotyzm są mocno promowane przez popkulturę oraz mechanizmy funkcjonowania mediów społecznościowych.

■■■

„Do moich najlepszych przyjaciół należą ludzie o osobowości narcystycznej" – napisał psychoterapeuta i filozof Stephen M. Johnson w książce „Humanizowanie narcystycznego stylu", próbując przedstawić narcystyczne zaburzenie osobowości jako uciążliwy i poważny, ale możliwy do opanowania problem. Jednak nasilenie narcyzmu w społeczeństwie, pokoleniowe zwiększanie się odsetka osób z cechami narcystycznymi i ich normalizacja w popkulturze czy mediach społecznościowych to zjawisko mocno niepokojące. Kulturowa ekspansja narcyzmu oraz poprzedzający jej nadejście społeczny indywidualizm to coś, z czym najpewniej przyjdzie nam się coraz częściej mierzyć. © ŁUKASZ SAKOWSKI

ERICH LESSING / AKG / EAST NEWS

Gliniany model wątroby owcy ze starożytnej Mezopotamii (drugie tysiąclecie p.n.e.). Uważano wówczas, że to ten organ jest siedliskiem duszy – i dlatego wykorzystywano go w religijnych obrzędach.

Co niszczy wątrobę

BARTOSZ KABAŁA

W ostatnich tygodniach w wielu krajach odnotowano wzrost liczby dzieci chorujących na ostre zapalenie wątroby. Pierwszymi podejrzanymi są znane wirusy.

Do 19 maja zanotowano ok. 600 przypadków ostrego zapalenia wątroby u dzieci w 25 państwach świata, w tym kilka w Polsce. Według danych Europejskiego Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób (ECDC) zmarło 14 dzieci, a raporty Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) informują, że co dziesiąty pacjent wymagał przeszczepu wątroby. W Wielkiej Brytanii przeprowadza się rocznie średnio 10 przeszczepów wątroby u dzieci – w tym roku było ich już 11. Przyczyna tej choroby u wcześniej zdrowych i nieobciążonych czynnikami ryzyka małych pacjentów wciąż pozostaje niewyjaśniona.

Toksyny?

Wszystko zaczęło się miesiąc wcześniej, gdy szkoccy lekarze zauważyli pierwszych 5 przypadków nietypowego zapalenia wątroby i zawiadomili o nich WHO. W ciągu kolejnych trzech dni na obszarze całego Zjednoczonego Królestwa zgłoszono jeszcze 74 podobne przypadki, również te z przeszłości. Choroba dotyczy przede wszystkim dzieci młodszych niż 5 lat.

Jak opisuje raport brytyjskiej Agencji Bezpieczeństwa Zdrowotnego, początkowo obserwuje się żółtaczkę, po której pojawiają się wymioty. Wśród częstych objawów wymieniono również ↦

biegunki, nudności i odbarwione stolce. Przyczyną tego ostatniego w przypadku chorób wątroby jest zmniejszona ilość wydalanej do jelit wraz z produkowaną przez wątrobę żółcią bilirubiny, czyli związku powstałego z rozpadniętych czerwonych krwinek. O uszkodzeniu wątroby świadczą również podwyższone wartości typowych dla tego narządu enzymów, transaminaz.

Jednak najważniejszą kwestią, od której zależy również dalsze postępowanie, pozostaje znalezienie winowajcy tych nieprawidłowości. Tutaj zaczyna się prawdziwie detektywistyczne dochodzenie. Jako pierwsze wykluczono wszystkie wirusy zapalenia wątroby od typu A do E, które najczęściej odpowiadają za tego rodzaju objawy. Przy pomocy kwestionariuszy rozsyłanych do pacjentów i ich opiekunów badano narażenie na toksyny obecne w jedzeniu i otoczeniu, które mogłyby uszkodzić wątrobę, oraz czynniki sprzyjające chorobie, takie jak zaburzenia odporności. Sprawdzano nawet, jak duża część pacjentów kontaktowała się ze sobą przed pojawieniem się pierwszych objawów, co sugerowałoby prawdopodobną drogę zarażenia. Ale to również nie przyniosło efektu.

Adenowirus?

W trakcie pobytu w szpitalu pacjenci byli przebadani na obecność innych wirusów. Wśród nich SARS-CoV-2, odpowiedzialnego za mononukleozę zakaźną EBV oraz adenowirusa. To właśnie ten ostatni pojawia się u chorych najczęściej. W badaniach amerykańskich znaleziono go u nieco ponad połowy pacjentów. Dane europejskie mówią o 60 proc., w Wielkiej Brytanii zaś ta poszlaka jest jeszcze wyraźniejsza – aż 72 proc. chorych na tajemnicze zapalenie wątroby miało dodatni wynik testu na adenowirusa.

Wirusy z tej rodziny są powszechne. Najczęściej wywołują łagodne infekcje górnych dróg oddechowych, ale ich związek z zapaleniami wątroby już wcześniej został zaobserwowany, szczególnie u dzieci z upośledzeniem odporności.

Raport brytyjskich służb sanitarnych za najbardziej prawdopodobną hipotezę uznaje więc istnienie czynników, które sprawiają, że zwykła infekcja adenowirusowa powoduje u dzieci poważniejsze niż zwykle objawy lub wywołuje nieprawidłową reakcję układu odpornościowego. Wśród tych czynników wymienia się m.in. brak wcześniejszego kontaktu pacjentów z wirusem – co miałoby zresztą być związane z pandemicznymi ograniczeniami.

> Statystyczne korelacje nie muszą oznaczać potwierdzenia związku przyczynowego. **Wiele z nich jest przypadkowych.**

Czy można zatem uznać, że adenowirus jest przyczyną zapaleń wątroby, skoro ponad 70 proc. chorych wykazało jego obecność? A może to zwierzęta domowe, w tym psy, są źródłem infekcji powodującej uszkodzenie wątroby, bo według brytyjskich danych aż w 64 na 92 przypadki dziecko miało z nimi kontakt?

Trzeba pamiętać, że statystycznej korelacji nie można automatycznie uznawać za potwierdzenie związku przyczynowego – ponieważ korelacje mogą być zupełnie przypadkowe. Dobrym przykładem jest opisana przez Tylera Vigena, autora książki „Spurious correlations" („Fałszywe korelacje"), silna korelacja pomiędzy rocznymi wydatkami rządu USA na naukę, eksplorację kosmosu i technologię – a liczbą samobójstw w tym kraju przez powieszenie w pierwszej dekadzie XXI w. Trudno podejrzewać, że jedno z tych zjawisk wywoływało drugie – tak się po prostu złożyło, że dynamika wzrostu wydatków na naukę i liczby samobójstw była podobna. Także w medycynie potrzeba więcej argumentów, by stwierdzić przyczynę danej choroby.

Covid?

Niemiecki lekarz i bakteriolog Robert Koch pod koniec XIX w. podpisał swoim nazwiskiem stworzone przez jego współpracownika Friedricha Löfflera postulaty, dzięki którym ówczesna nauka mogła udowodnić związek między drobnoustrojem a wywoływaną przezeń chorobą. Aby XIX-wieczny badacz mógł nowo odkrytą bakterię obarczyć odpowiedzialnością za pojawienie się wielkich czarnych krost na skórze, musi dowieść, że (1) występuje ona u wszystkich chorych na daną chorobę, (2) nie jest tam przypadkowo i wywołuje wyłącznie tę chorobę, (3) a po wyizolowaniu jej z chorego organizmu i wszczepieniu do innego, zdrowego, wywołuje te same objawy.

Te kryteria spełnia laseczka wąglika – odkryta przez Kocha bakteria, będąca przyczyną czarnych krost. Jednak inne bakterie i, co ważniejsze, wirusy wymykają się tym postulatom. Niektórych drobnoustrojów nie sposób wyizolować i hodować. Problemem jest istnienie infekcji przewlekłych i przetrwałych. Do schematu nie pasuje np. wirus zapalenia wątroby typu D, który może namnażać się i wywoływać chorobę tylko w organizmie zakażonym innym patogenem – wirusem zapalenia wątroby typu B.

Dlatego w latach 90. XX w. David Fredricks i David Relman stworzyli nowe, bardziej precyzyjne kryteria określania związków przyczynowych między stwierdzoną chorobą a podejrzewanym o jej wywołanie patogenem, oparte o badania wykrywające materiał genetyczny patogenu (choć wciąż przyroda potrafi znaleźć odstępstwa od tych reguł). W tym przypadku materiał genetyczny musi być obecny u większości chorych, a nie u wszystkich; u zdrowych materiał genetyczny patogenu może występować, ale w mniejszej ilości itd. Obecność korelacji między wykrytym materiałem genetycznym patogenu a objawami jest tylko jednym z siedmiu postulatów.

Jednak za przyczynę niewyjaśnionych zapaleń wątroby nie musi odpowiadać jeden patogen, a patogeneza może być bardziej skomplikowana. W czasopiśmie „Lancet Gastroenterology and Hepatology" ukazał się list dwójki naukowców, którzy sugerują, że przyczyną tych objawów jest infekcja adenowirusem u dzieci wcześniej zarażonych SARS-CoV-2.

Według tej hipotezy u dzieci, które przeszły zakażenie (również bezobjawowo), przewód pokarmowy stanowi rezerwuar dla koronawirusa. Obecne tam białko kolca SARS-CoV-2 staje się super-antygenem, który w obliczu infekcji adenowirusem wywołuje nasiloną reakcję immunologiczną powodującą uszkodzenie wątroby. Takie wyjaśnienie jest oparte o kilka wcześniejszych badań, które jednak nie dotyczą bezpośrednio nowej choroby. W medycynie procesy poszlakowe to za mało.

© BARTOSZ KABAŁA

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall: *Buka*

Po prawej Charlie, ma siedem lat. Po lewej Buka, młoda jeszcze, może dwa lata, wolontariusz ją przywiózł. Wygoniła Czarlika z jego łóżka, je z jego miski, swobodnie się czuje. Tylko motocykli się boi, odgłosu silnika. Może przypomina jej czołg, czołgiem podobno podróżowała.

Wolontariusz Witek:
z konwojem do domu dziecka – pieluszki, zabawki, jedzenie,
po siostrzeńców znajomej, matka jest pułkownikiem, trzeba było przywieźć dzieci, siostrzeniec chce być chirurgiem mózgu,
matkę z dzieckiem, bo utknęła we Lwowie,
do Buczy, bo facet na FB szukał fotografa.

Przyjemne miasteczko, wille, dużo drzew, coś jak Konstancin.
Dom Eugenii. Dwa piętra, ale bez schronu. Bezpiecznie było na korytarzu, przez cały ostrzał, przez rakiety i bomby, przez całe zabijanie na korytarzu siedzieli. Eugenia, jej mąż, dwoje dzieci, trzydzieści cztery psy i dwadzieścia kotów. Duże psy były w klatkach, mniejsze biegały po domu. Właściciele psów uciekli z Buczy, porzucone zwierzęta snuły się po miasteczku...
Okropny smród w domu został, na zdjęciach go czuję.

Buty porozrzucane na ulicach...
Spalony autokar...
Domy trafione rakietami...
Przewrócony rower...
Rosyjska spalona ciężarówka...
Pole rozjeżdżone czołgami...
Domy bez dachów... Lepiej nie wchodzić, granaty mogą być na klamkach, w lodówkach, w zabawkach dziecięcych...
Żelastwo jakieś, trudno powiedzieć, czym było...
Ludzi nie widać, miasto duchów. O, mężczyzna idzie. Kobieta pcha pusty wózek...
Koń rozjechany czołgiem...
Niedaleko lotniska była stadnina i klub jeździecki, na lotnisku był desant, konie rozbiegły się, strzelali do nich albo rozjeżdżali czołgami.

Antonina, przyjaciółka Eugenii. I Totilas, czempion, mistrz olimpijski, nie wiadomo, co z nim.
Toti, syn Totilasa. Leży na polu, są ślady gąsienic...
Znowu koń...
Jeszcze jeden... I jeszcze...

Antonina:
Nie pokidali Buczu, ostalis'. Ze zwierzętami zostali.
Bez wody, bez prądu, tylko studnia, kołodiec był.
Pod strzałami probirałas' do kołodca, przez płoty, ruiny, po wodę dla psów. Prosiła żołnierzy, żeby nie strzelali, bo ona dla psów idzie.
I nie strielali.
Priedstawlajetie? Ma pani pojęcie, że nie strzelali?
Jednego młodego prosiła, dziewiętnaście, może dwadzieścia lat. Jeszcze wiedział, że można nie zabić.

Jeździli po ulicach czołgami, zaglądali do pustych domów i wynosili rzeczy. Ten młody wyniósł psa.
Podjechał czołgiem pod dom Eugenii. Zastukał. Stał w drzwiach z psem i automatem.
Powiedział, że on też kocha psy, że ma w domu w Rosji takiego samego...
Tak, jakby się tłumaczył – żal mu zabić, bo mopsa ma.

Eugenia nie chce rozmawiać.
Jest w Niemczech, razem ze zwierzętami.
Nie chce wracać do strasznych wspomnień.
Poza tym nie chce rozmawiać o dobrym rosyjskim żołnierzu, który uratował psa.
Wolontariusz Witek ją rozumie. O dobrym żołnierzu pisać? Ludzi zabijał. Wszyscy zabijali, a jeden okazał się ludzki w stosunku do mopsa. O tym pisać?!

Reporter... no wie pan, panie Witku... Opowiada, jak było. Żołnierz uratował. No cóż. Życie nie zawsze wie, jak ma się toczyć. Może i niestosownie się potoczyło, ale reporter...
Reporter, mówi wolontariusz Witek, może i powinien wybierać.
Eugenia ratowała dziesiątki psów, pod ostrzałem po wodę chodziła, pociski rozrywały się u jej stóp, dziesiątki ratowała, a jakiś zbrodniarz tego jednego...
Panie Witoldzie.
Kto ratuje jedno życie...
Psów to nie dotyczy?
Nie, to nie. ©

Autorem zdjęć jest Witold Basiewicz.
Zdjęcia są na jego Facebooku.

Serwisy specjalne: patrz szerzej
KSIĄŻKI W TYGODNIKU
Eseje, recenzje, felietony, podkasty
WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KSIAZKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraków

NAD WODĘ W KRAKOWIE

W ostatnich latach w mieście pojawiło się kilka nowych kąpielisk, z kolei te znane od dawna zmieniły się nie do poznania. Robi się coraz cieplej, będzie więc w czym wybierać.

ADOBE STOCK

KRYSPINÓW

To najbardziej znany zalew, położony tuż pod Krakowem na terenie wsi Budzyń, gdzie od dawna ściągają spragnieni wody i ochłody mieszkańcy Małopolski. Choć w ciepłe weekendy bywa tu tłumnie, to wciąż da się znaleźć dla siebie zaciszny i zielony zakątek. Do tego sporo nowych inwestycji: wypożyczalnie sprzętów wodnych, kilka punktów gastronomicznych, plenerowe siłownie i wygodne parkingi.

BOGUSŁAW ŚWIERZOWSKI / KRAKOW.PL

PRZYLASEK RUSIECKI

Od jakiegoś czasu Kryspinowowi rośnie poważny konkurent. Stawy tuż za Nową Hutą od dawna zapraszają na kąpiele i miejskie plażowanie. Do niedawna miejsce było jednak mocno zaniedbane, teraz kusi przepięknym molem, zielenią, szeroką plażą czy placami zabaw. Duże zmiany jednak nie pozbawiły tego uroczego miejsca jego naturalnego, nieco dzikiego charakteru. Można samochodem (są parkingi), ale lepiej specjalną, sezonowo uruchamianą linią autobusową.

PRZYSTANBRZEGI.PL

PRZYSTAŃ BRZEGI

Na wschodnich obrzeżach miasta powstało niedawno nowe, ciekawe miejsce. Piaszczysta plaża między dwoma zbiornikami wodnymi, dużo drzew. Można popływać wpław, kajakami, rowerami wodnymi albo łódkami. Do tego wodny tor przeszkód dla dzieci, boiska do piłki plażowej oraz kąpieliska (także dla najmłodszych), strzeżone przez ratowników. Z pewnością warto wypróbować.

BOGUSŁAW ŚWIERZOWSKI / KRAKOW.PL

BAGRY WIELKIE

Jedynie 5 km od centrum Krakowa, w Podgórzu, pomiędzy ul. Lipską a Wielicką, znajduje się prawie 8-hektarowy park, a w nim jeden z największych w okolicy zbiorników wodnych, powstały w wyniku zatopienia wyrobisk żwirowni. Przybrzeżne szuwary to idealne warunki do gniazdowania ptaków wodnych, a w samej wodzie żyje dużo ryb (dlatego często można spotkać tu wędkarzy). Plaża, plenerowa siłownia, boiska, dwie przystanie wodne i wypożyczalnia sprzętu wodnego – Bagry to od lat kąpieliskowy pewniak w Krakowie.

BOGUSŁAW ŚWIERZOWSKI / KRAKOW.PL

ZAKRZÓWEK

W tym roku słynny na całą Polskę zalew, który powstał w 1992 roku po zalaniu starego kamieniołomu wapienia, zmienia się nie do poznania. Wytyczone zostały alejki, ustawiono ławki, wokół urwiska pojawiły się zabezpieczenia, a na samej tafli wody powstały dwa pływające baseny (w tym jeden dla dzieci). Zakrzówek i Park Skałki Twardowskiego od lat kuszą zielenią i piękną, lazurową wodą – w te wakacje będzie jeszcze milej i łatwiej korzystać z ich uroku. (MS)

MATERIAŁ PROMOCYJNY

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 23/2022

WAKACYJNY
włóczykij kulturalny

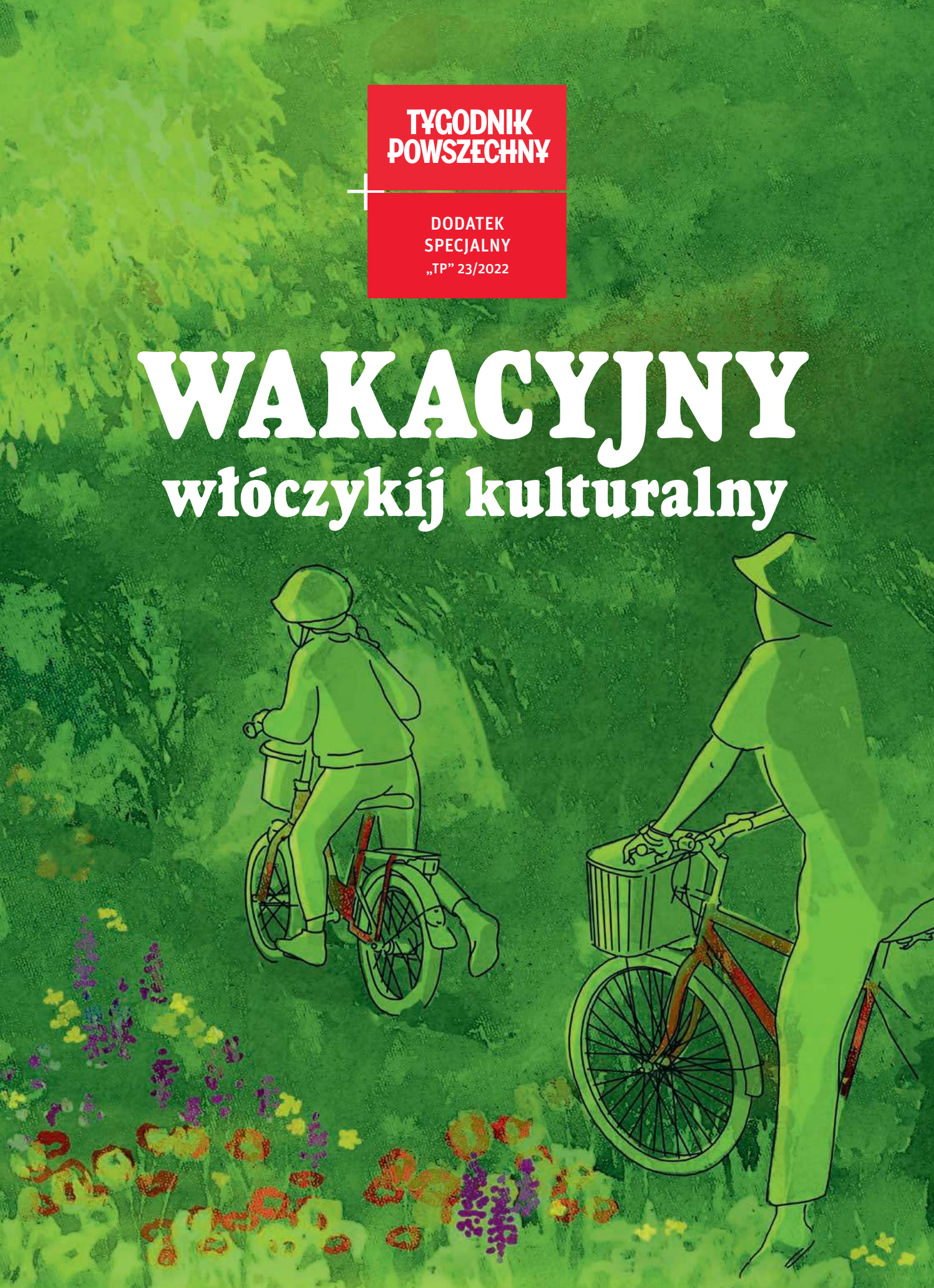

Rowerem przez czas

PIOTR KOSIEWSKI

Rower zawsze był związany z nowoczesnością, kulturą masową i rozwojem reklamy. Interesował artystów awangardy, zafascynowanych ruchem i szybkością.

Kiedy w 1818 r. niemiecki arystokrata i wynalazca Karl Freiherr von Drais zbudował i opatentował pierwowzór roweru, jego pomysł wydawał się rozrywką wyłącznie dla elit – nazwano go *dandy horse* lub *hobby horse*. Owszem, pojazd, który wprawiano w ruch odpychając się nogami od ziemi, pozwalał osiągać relatywnie duże prędkości (ok. 13-15 km na godzinę), ale nie był zbyt praktyczny.

Dość szybko pojawiły się kolejne wynalazki. Szkot Kirkpatrick Macmillan około 1839 r. zbudował trójkołowiec, a parę lat później Niemcy Gottlieb Mylius i Philipp M. Fischer opracowali napęd przedniego koła. Potem wynaleziono napęd z przekładnią łańcuchową i koła z drutowymi szprychami. Wreszcie w latach 1884-85 Anglik John Kemp Starley stworzył pierwowzór współczesnego roweru, wyposażony w koła równej wielkości, kierownicę połączoną bezpośrednio z widelcem i tylne koło napędzane przekładnią łańcuchową. Trzy lata później John Boyd Dunlop, kolejny poddany królowej Wiktorii, opatentował oponę pneumatyczną do roweru, która znacznie poprawiła komfort jazdy.

Bardzo szybko rowery stały się popularne, także u nas. W roku 1886 zawiązało się Warszawskie Towarzystwo Cyklistów, którego członkami zostali m.in. Bolesław Prus i Henryk Sienkiewicz. Podobne organizacje powstały w Krakowie czy Poznaniu. W 1892 r. zbudowano w Warszawie pierwszy nowoczesny tor kolarski. Wiktor Gomulicki z przekąsem komentował nagłe upodobanie do rowerów: „Gdyby społeczeństwo nasze z tą samą energią i jednomyślnością, z jakimi uprawia cyklizm, uprawiać zechciało wiedzę i cnotę, stalibyśmy się wkrótce jednym z narodów najwyżej stojących intelektualnie i moralnie”.

PIOTR KOSIEWSKI

Ai Weiwei „Forever Bicycle”, instalacja z 960 rowerów, 2015 r., Cordoaria National w Lizbonie

Pojawienie się rowerów przyniosło zmiany: obyczajowe, stylu życia, sposobu spędzania czasu. Wpisywało się w ówczesną modę na sport i zainteresowanie naturą. Wpływało wreszcie na sposób ubierania się, wymuszając dostosowanie strojów do uprawiania kolarstwa.

AKG / EAST NEWS

Marcel Duchamp „Roue de bicyclette", 1913/1964 r.

Jednak, co najważniejsze, sprzyjało postawom egalitarystycznym. Rower wraz z upowszechnieniem jego produkcji przestał być wyłącznie elitarną rozrywką – stał się popularnym środkiem komunikacji.

Od Toulouse-Lautreca do Picassa

Szybko też rowery zainteresowały artystów. Pierwszym zapewne wybitnym dziełem im poświęconym był plakat „La Chaîne Simpson" autorstwa Henriego de Toulouse-Lautreca, artysty, który tworzenie plakatów uczynił sztuką. W 1896 r. otrzymał zamówienie od angielskiej firmy Simpson produkującej łańcuchy rowerowe. Plakat miał promować ich produkty we Francji. Artysta przedstawił dwa projekty, z których przyjęto do realizacji jeden, przedstawiający wyścig z udziałem m.in. francuskiego mistrza kolarstwa Constanta Hureta na tandemie. Oszczędnie zaprojektowany, dobrze ukazujący istotę kolarstwa, „La Chaîne Simpson" stał się jednym z najbardziej znanych plakatów Toulouse-Lautreca. Nie jest zresztą jedynym jego dziełem, w którym pojawia się rower. Artysta sportretował także jadącego na bicyklu Aristide'a Bruanta, popularnego w tym czasie piosenkarza i twórcę kabaretowego.

Od czasu „La Chaîne Simpson" rower na stałe zagościł na plakatach, także tworzonych w Polsce. Jeden z najbardziej oryginalnych i jednocześnie osobliwych powstał w 1928 r. dla Fabryki Broni w Radomiu, która była największym producentem rowerów w II Rzeczypospolitej. Jego autor Lech Jan Włodarczyk wykorzystał... postać Janosika trzymającego w rękach napięty łuk. Całość opatrzona hasłem „Polski rower na polskie drogi". Okazuje się, że bicykl stał się bardzo swojskim wynalazkiem.

Plakat Toulouse-Lautreca pokazuje, jak blisko rower był związany z nowoczesnością, kulturą masową i rozwojem reklamy. Nie powinno zatem dziwić, że zainteresował on artystów awangardy, tak zafascynowanych zerwaniem z przeszłością, ruchem i szybkością. Rower był utożsamiany z siłą fizyczną, aktywnością, wysiłkiem, wysportowanym ciałem. Był też postrzegany jako demokratyczny środek komunikacji.

Włoski futurysta Umberto Boccioni w 1913 r. maluje „Dynamizm rowerzysty". W kolejnym roku powstaje „Rowerzysta" Gerarda Dottoriego. Wcześniej związany z kubizmem Jean Metzinger tworzy „Na welodromie" (1912), łącząc eksperymenty dotyczące przestrzeni z grą gotowymi materiałami włączanymi do obrazu. Syntezą poszukiwań futurystów i kubistów jest wreszcie „Rowerzysta" Natalii Gonczarowej z 1913 r., w którym artystka zwielokrotniła jadącego i sam pojazd, co wywołuje złudzenie ruchu. Powstał obraz uznawany za jedno z największych osiągnięć sztuki rosyjskiej tego czasu.

Prawdziwej rewolucji dokonał jednak Marcel Duchamp. W 1913 r. wpadł, jak potem wspominał, „na szczęśliwy pomysł, aby przymocować koło rowerowe do kuchennego stołka i patrzeć, jak się obraca". W ten sposób powstał „Roue de bicyclette", pierwszy z *ready-mades* Duchampa – gotowych przedmiotów, które zostały przez niego uznane za dzieło sztuki i jako takie wystawiane. Rower, a przynajmniej jego fragment, podniesiono do rangi dzieła artysty. Ten gest zapoczątkował radykalną zmianę w myśleniu o twórczości artystycznej i o samym dziele.

Inny fragment istniejącego roweru wykorzystał trzy dekady później Pablo Picasso. Jego „Głowa byka" z 1942 r. powstała z... siodełka i kierownicy roweru. Bez problemu można rozpoznać użyte przez artystę przedmioty, a jednocześnie nie ma wątpliwości, co przedstawia rzeźba. Jej prostota do dziś zaskakuje.

Pożegnania i powroty

Z czasem rowery spowszechniały, straciły nie tylko swą aurę nowości, ale coraz bardziej ustępowały samochodom. Zaczęły być kojarzone z czymś minionym, nostalgicznym wspomnieniem z dzieciństwa.

W 1960 r. szwajcarski artysta Jean Tinguely stworzył „Homage to New York". W ogrodzie Museum of Modern Art zbudował skomplikowaną konstrukcję z kół rowerowych, ale też bębnów, maszyn, a nawet pianina. Użył wyrobów niedawno jeszcze uznawanych za symbole nowoczesności. Następnie wieczorem 18 marca tego roku na oczach zaproszonej publiczności wprowadził swoje dzieło w ruch. Specjalne silniki uruchamiały poszczególne jego części tak, by stopniowo ulegało samozniszczeniu. Po 30 minutach cała konstrukcja się załamała, a jej części składowe legły dymiąc na ziemi. Jakby artysta chciał się pożegnać z dawnymi czasami, ze złudzeniami związanymi z modernizacją pierwszych dekad XX w. ↦

KEN WELSH / EAST NEWS

Henri de Toulouse-Lautrec, plakat reklamujący „łańcuch Simpsona" wynaleziony przez Williama Spearsa Simpsona w 1895 r.

MUZEUM POLIN / MATERIAŁY PRASOWE

Wilhelm Sasnal „Taki pejzaż", Muzeum Historii Żydów Polskich Polin, Warszawa, lipiec 2021 r.

KAMEL MENNOUR / MATERIAŁY PRASOWE

Robin Rhode „New Kids on the Bike", 2002 r.

Nostalgią podszyta jest też słynna „Umarła klasa" Tadeusza Kantora (premiera w 1975 r., grano ją ponad tysiąc pięćset razy w wielu krajach). Jednym z rekwizytów w niej użytych był metalowy rowerek. Pojawiał się na scenie krążąc w kółko w takt „Walca François", a następnie odjeżdżał ze Staruszkiem – jednym z bohaterów spektaklu, oraz przymocowanym manekinem chłopca w czarnym szkolnym mundurku. Ten rowerek, żałosna i pogruchotana zabawka z lat dziecinnych – jak pisał o nim Kantor – był wspomnieniem z przeszłości, z którym nie potrafimy się rozstać.

W ostatnich dekadach nastąpiła kolejna zmiana stosunku do rowerów. Stały się one jednym z symboli przemiany społecznej, tym razem związanej z ekologią. Wróciła na nie moda, nie tylko wśród wielkomiejskich elit. Dziś jazda na rowerze jest częścią stylu życia, który ma mniej szkodzić naturze, ale też wpływać na kondycję fizyczną tożsamościową manifestacją. Popularność dwóch kółek wpływa też na układ miast, rozwiązania komunikacyjne, a także, ponownie, na modę.

Nie powinno zatem dziwić, że rower wciąż jest obecny w sztuce. Jednym z artystów, którzy zaproponowali inne jego wykorzystanie, jest urodzony w 1976 r. w Republice Południowej Afryki Robin Rhode, znany z niezwykle żywiołowych animacji tworzonych na ulicach i w studiach. Wprowadza do codziennych, zwykłych zajęć elementy zabawy, zaskoczenia. „Pochodzę z kultury, która jest bardzo spontaniczna, pełna humoru i sarkazmu" – opowiadał artysta przy okazji wystawy w Neuberger Museum of Art. „To wywodzi się z mentalności RPA i ma związek z wolnością oraz możliwością dość szybkiego wyobrażenia sobie lub ponownego wymyślenia innego świata... Przystępność i dostępność są podstawą mojej pracy".

Działania Robina Rhode są bliskie sztuce ulicy. Artysta bierze najprostsze materiały, jak kredę, zwykłe przedmioty, np. krzesła... no i właśnie rowery. Odgrywa scenki, uzupełniając je rysunkami, w których dzieją się rzeczy niezwykłe – nie obowiązują prawa grawitacji, można sobie pozwolić na najbardziej ryzykowne akrobacje. W dokumentowanych na wideo performansach, jak w „Chalk Bicycle", na żywo tworzy rysunki, w których oddaje złudzenie ruchu. Wraca też często do młodości, do nielegalnego mazania po ścianach. Do zapamiętanych z tamtych czasów zabaw i gier, ale też do swoich dziecięcych marzeń, pragnień. Przedmiotem jednego z nich był właśnie rower – dziwny przedmiot, znany i nieznany.

Rower w oryginalny sposób wykorzystał urodzony w 1996 r. Jakub Trzciński. Podobnie jak Robin Rhode, sięga po proste przedmioty. Interesują go relacje między nimi a człowiekiem, ale też ich nieoczywiste użycie. Rower – jak się okazuje – daje niezwykłe możliwości. A jazda nim może być sztuką, czy raczej sposobem jej tworzenia, co pokazał podczas akcji „Rower, farba i ja" zorganizowanej w toruńskiej Galerii Wozownia w 2021 r. Na trzy dni przekształcił jej przestrzeń w pracownię, po której jeździł specjalnie przygotowanym rowerem. W rezultacie powstał zaskakujący, wielkoformatowy, pełen ekspresji obraz, na którym linie, przetarcia itp. są śladami zostawionymi przez pojazd.

Rower jako świadek

Codzienne przedmioty, rzeczy, a nawet architektura, która nas otacza, są bardzo ważne także dla urodzonego w 1957 r. chińskiego artysty Ai Weiweia. Od lat wykorzystuje on w swoich pracach fragmenty masowo burzonych w ostatnich dekadach dawnych domów czy świątyń. Sięgnął też po rowery. W 2003 r. wykonał pierwszą rzeźbę z cyklu „Forever", świadomie nawiązując do dzieła Marcela Duchampa z 1913 r., ale też – jak w przypadku wielu innych swych prac – do własnej tradycji. Rzeźba składała się z kilkudziesięciu połączonych ze sobą rowerów, które tworzą wielki okrąg. Brakuje im łańcuchów, pedałów i kierownicy. Artysta pozbawił je funkcjonalności – stały się nieużytecznymi przedmiotami.

Co ważne, Ai Weiwei wykorzystał bardzo konkretne rowery – wyprodukowane

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 23/2022
REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska, Mateusz Gawron
FOTOEDYCJA: Edward Augustyn | SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran | OKŁADKA: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / Do Lasu

przez założoną w 1940 r. firmę Forever Company z Szanghaju, która przez kolejne dekady dostarczała je mieszkańcom Chin. Od 2003 r. powstają kolejne wersje „Forever Bicycle" tworzone z dowolnej liczby rowerów. Za każdym razem wpisywane są w konkretny kontekst społeczny, polityczny czy kulturowy. W wersji z 2013 r. wypełniły całą przestrzeń, zostawiając jedynie niewielki fragment dla oglądającego. W 2020 r. w Zjednoczonych Emiratach Arabskich w Abu Dhabi artysta ustawił wersję składającą się z 720 starannie ułożonych rowerów. Wyglądają, jakby znajdowały się w ruchu.

W „Forever Bicycle" Ai Weiwei połączył uniwersalizm z lokalnością. Użył rzeczy powszechnie dostępnej i rozpoznawalnej. Jednocześnie artysta nieustannie odwołuje się do doświadczenia Chin, w których rowery stały się masowym środkiem transportu, ale też symbolem społeczeństwa pozostającego nieustannie w ruchu, a jednocześnie dawały ich właścicielom minimum poczucia wolności. Są zarazem kojarzone z dawnymi Chinami, z minioną już obyczajowością, trybem życia, relacjami społecznymi, o czym przypominają toporne ramy i archaiczne rozwiązania nadal stosowane w rowerach tej marki.

„Przemieszczamy się tak szybko, że pamięć jest tym, co możemy uchwycić. (...). Im szybciej się poruszamy, tym częściej odwracamy głowy, aby spojrzeć w przeszłość" – mówił artysta w rozmowie z krytykiem i kuratorem Hansem Ulrichem Obristem. Ai Weiwei przypomina, że nośnikami przeszłości są przedmioty, ale też tradycje czy obyczaje. I wydobywa chińskie niekonsekwencje czy też ambiwalencję w myśleniu o tym, co minione.

Zwykłe przedmioty były także obecne we wczesnych obrazach urodzonego w 1972 r. Wilhelma Sasnala. Często niepozorne, ale nieprzypadkowo wybrane. Były wśród nich okładki płyt i komiksów, t-shirty ulubionych zespołów, samochody, ale także rowery. Dwa z nich – „Rower damski" i „Rower męski" – Sasnal przedstawił na obrazach, za które otrzymał Grand Prix Konkursu Malarstwa Bielska Jesień w 1999 r., nagrodę, która zwróciła uwagę na jego twórczość.

Po latach powstał inny ważny obraz Wilhelma Sasnala z motywem roweru. Namalowany w 2016 r., przedstawia widok obozu koncentracyjnego na Majdanku. Nie ma na nim żadnej żywej istoty. Widać jedynie wieże strażnicze, ogrodzenie z drutów, drzewa. I jest jeszcze rower, stojący na pierwszym planie. Sasnal dotarł tam właśnie za jego pomocą.

Obraz nie przedstawia wprost tragedii, jaka wydarzyła się w tym miejscu. Przywołanie wspomnienia wycieczki rowerem dało możliwość opowiedzenia o czymś, o czym trudno mówić. Zmierzenia się z przeszłością, z tym, co ignorowane, wybielane, zapomniane, odłożone do magazynów historii. Odnalezienia się w sytuacji, która może spotkać każdego, kto wybrawszy się „na rower" nagle zetknie się ze śladami trudnej historii.

© PIOTR KOSIEWSKI

REKLAMA

WSCHÓD KULTURY

Wschód Kultury – Inne Brzmienia

7–10.07.2022 | Lublin | wstęp wolny

line-up: innebrzmienia.eu

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

NARODOWE CENTRUM KULTURY

WARSZTATY KULTURY

INSTYTUCJA KULTURY MIASTA LUBLIN

Lublin MIASTO INSPIRACJI

Na Kresy po zdrowie

O Kresach mówi się dużo, ale bardzo ogólnikowo. Znaczna część tej tradycji, kluczowej dla zrozumienia polskiej kultury i historii, jest dziś zapomniana.

MICHAŁ SOWIŃSKI: O czym opowiada powstające właśnie Muzeum Ziem Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej?
MARCIN GAPSKI: Tworzymy naszą opowieść o Kresach zarówno dla osób, które są już z nimi związane, bo na przykład ich przodkowie stamtąd pochodzili, jak i dla zwiedzających, którzy chcą się czegoś dowiedzieć o tym niezwykle ważnym miejscu dla polskiej historii. Przypominamy, że były integralną częścią naszej kultury, chcąc jednocześnie, razem z Ukraińcami, Białorusinami czy Litwinami, czerpać z tego dziedzictwa.

A ciemne karty naszej wspólnej historii?
MG: Przywracając i dbając o pamięć, nie omijamy oczywiście wątków trudnych czy bolesnych. Uwzględniamy perspektywy innych narodów czy grup etnicznych i wyznaniowych, zamieszkujących te ziemie. Bo tworzyły one niezwykłą mozaikę, bogaty i skomplikowany świat, który niestety dziś właściwie już nie istnieje. Dlatego tym bardziej chcemy o nim opowiadać.

Trzeba Polakom przypominać o Kresach?
MG: Mówi się o nich dużo, ale bardzo ogólnikowo. Znaczna część tej tradycji, kluczowej dla zrozumienia polskiej kultury i historii, jest dziś zapomniana. Po 1945 r. o Kresach w sposób całościowy czy naukowy nie można było w ogóle mówić. Nawet nasza obecna wystawa poświęcona uzdrowiskom, o której za chwilę pan Tomasz opowie

MATERIAŁY PRASOWE MZWDR

więcej, nie mogłaby powstać. W naszych badaniach analizowaliśmy na przykład treści podręczników do historii z czasów PRL-u. W jednym z nich, z lat 70., autor, pisząc o Adamie Mickiewiczu, ani razu nie użył słowa Litwa i Wilno. To dobrze pokazuje skalę niszczenia pamięci. Naszym zadaniem jest nie tylko przywołanie martyrologicznych kart historii. O zbrodniach dokonywanych na tych terenach w XIX i XX wieku na polskiej ludności trzeba oczywiście przypominać, ale nam również zależy na pokazywaniu, że były to miejsca bogatego i intensywnego życia.
TOMASZ KOZŁOWSKI: Trudno mówić o jakimkolwiek aspekcie polskiej historii i kultury – od literatury, przez muzykę czy architekturę, a na kuchni kończąc – bez tego, co działo się przez wieki na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. To był, jest i będzie kluczowy komponent naszego dziedzictwa, także dziedzictwa tej części Europy. Na przykład najbogatsze poza krajem zbiory polskiego malarstwa znajdują się we Lwowie.

Szukamy korzeni naszej kultury?
TK: Oczywiście, refleksja nad własną tożsamością jest naturalna, zarówno dla poszczególnych ludzi, jak i całych zbiorowości. Dla przykładu w Niemczech działa ponad 600 instytucji (różnej wielkości) zajmujących się badaniem i popularyzowaniem spuścizny kulturowej Niemców, którzy w przeszłości mieszkali w różnych częściach Europy Wschodniej, dziś znajdujących się poza granicami tego kraju. My niestety mamy w tym względzie wiele do nadrobienia. Warto też wspomnieć, że nie chodzi tu wyłącznie o tereny w granicach II RP, ale na przykład o wschodnią Białoruś i Ukrainę, gdzie przez wieki żyły dziesiątki tysięcy Polaków, którzy aktywnie współtworzyli historię tych miejsc. Dom Spotkań z Historią w Warszawie od 15 lat zajmuje się tą kwestią, organizując spotkania, prezentacje multimedialne i wystawy poświęcone dziedzictwu Kresów. Muzeum Ziem Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej to pierwsza w naszym kraju instytucja, która całościowo i w sposób systemowy podejmuje się tego zadania.

1 lipca odbędzie się wernisaż wystawy „Na Kresy po zdrowie! O uzdrowiskach w Szkle, Lubieniu, Niemirowie, Morszynie, Truskawcu i Druskienikach". Skąd pomysł?
TK: Wszystko zaczęło się od zainteresowania dziedzictwem Kresów, gromadzenia dużej prywatnej kolekcji i działalności popularyzatorskiej w Domu Spotkań z Historią w Warszawie. Barwna historia kresowych uzdrowisk była tematem multimedialnych prezentacji, ubiegłorocznej wystawy w Muzeum Narodowym Ziemi Przemyskiej, a teraz w szczególnie bogatej formie zostanie zaprezentowana w Muzeum Ziem Wschodnich w Lublinie. Większość materiałów prezentowanych na wystawie pochodzić będzie z mojej kolekcji. W ekspozycji wykorzystane zostaną również dzieła z kolekcji Muzeum, a także materiały udostępnione przez Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej.
MG: Wystawa ta będzie pierwszą ekspozycją prezentowaną w przestrzeniach należącego do Muzeum zabytkowego Pałacu Lubomirskich w Lublinie. Wykorzystując osiem sal, chcemy przybliżyć widzom tematykę związaną z dziejami i funkcjonowaniem sześciu wybranych uzdrowisk

MATERIAŁ PROMOCYJNY

MONIKA CHODZIŃSKA / MZWDR

PAŁAC LUBOMIRSKICH W LUBLINIE – SIEDZIBA MUZEUM ZIEM WSCHODNICH DAWNEJ RZECZYPOSPOLITEJ, 2022 r.

kresowych do 1939 r. Zaaranżujemy między innymi fragment dworca kolejowego, gabinet zabiegowy oraz charakterystyczne miejsca najpopularniejszego uzdrowiska, jakim był Truskawiec Zdrój. Przed Pałacem umieścimy konstrukcję przypominającą altanę nad źródłem Naftusi w Truskawcu.

Dlaczego chcą Państwo opowiadać o uzdrowiskach na Kresach? I w jaki sposób?

TK: To oczywiste – najstarsze polskie uzdrowiska znajdują się dziś na terytorium Litwy, Białorusi czy Ukrainy, bo przecież nie możemy za takie uznać działających od XIII wieku uzdrowisk dolnośląskich. Niedaleko Lwowa, w Lubieniu nad Wereszycą, kupcy ze Lwowa kurowali się już w XV wieku. W wieku XVI w Szkle pod Jaworowem leczyli się król Władysław IV i Jan III Sobieski. Warto przypominać długą, piękną historię polskiej balneologii nierozerwalnie związaną z ziemiami wschodnimi.

MG: Na co dzień proponujemy zwiedzanie wystawy pod opieką przewodnika. Jednak zapraszamy również na inne wydarzenia, które w ramach wystawy będziemy organizować. Dla młodzieży i dorosłych proponujemy spotkania z panem Tomaszem, który będzie przypominać smakowite opowieści z życia uzdrowisk i kuracjuszy. Dla dzieci chcemy prowadzić przede wszystkim warsztaty edukacyjne tematycznie związane z wystawą, na przykład o podróżach w XIX i XX wieku oraz o modzie w uzdrowiskach. Na wystawie nie zabraknie barwnych i zabawnych pocztówek z uzdrowisk. Na zwiedzających czekać będą ich reprinty. W czasie trwania wystawy zorganizujemy też koncerty, podczas których będzie można usłyszeć utwory grane przez orkiestry zdrojowe w 20-leciu międzywojennym. Będzie się działo!

Choć dawne uzdrowiska to przecież nie tylko kuracje.

TK: Oczywiście, były to również letnie salony, gdzie zjeżdżały się znane persony z Rzeczypospolitej, ale i całej Europy. W XIX wieku taką funkcję pełniły na przykład Druskieniki, gdzie przyjeżdżała arystokracja dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, ale też Eliza Orzeszkowa, Józef Ignacy Kraszewski, Władysław Syrokomla. W międzywojniu było to ukochane uzdrowisko Józefa Piłsudskiego. W uzdrowiskach zawsze panowała nieco frywolna atmosfera, tu nawiązywano liczne kontakty towarzyskie i romanse (nie ominęło to także Piłsudskiego). Ale zawsze starano się zachowywać poprawne formy, obyczaje, a w szczególności stosowny ubiór – wyprasowane spodnie, krawaty, kapelusze na głowach dam to codzienność w przedwojennych uzdrowiskach na Kresach. Kuracjuszy w klapkach i bez koszulek (poza plażą) się nie spotykało.

Coś przetrwało z tej sanatoryjnej kultury?

TK: Zostało sporo oryginalnych budynków i infrastruktury. Aczkolwiek wiele uzdrowisk w czasach sowieckich rozbudowano do gigantycznych rozmiarów. Dziś te ośrodki znowu odzyskują swój elegancki charakter, oferując coraz więcej atrakcji dla kuracjuszy. Na przykład w Druskienikach zbudowano niedawno sztuczny zadaszony stok narciarski, czynny nawet w lipcu.

Mówiąc o Muzeum, nie sposób nie wspomnieć o kontekście wojny w Ukrainie.

MG: Tym bardziej potrzebujemy wiedzy na temat przeszłości. A poza wszystkimi akcjami pomocowymi, które jako Muzeum podejmowaliśmy od lutego tego roku, istotne jest również przybliżanie wspólnego dziedzictwa. Dzisiaj naturalnymi odbiorcami naszych propozycji będą przecież nie tylko mieszkańcy Polski, ale także tak licznie przybywający uchodźcy z Ukrainy i uciekinierzy z Białorusi. Liczę na to, że w przyszłości będziemy mogli coraz więcej tego typu wystaw organizować wspólnie z naszymi sąsiadami.

©℗ Rozmawiał Michał Sowiński

Dr Marcin Gapski – historyk, wykładowca KUL, zastępca dyrektora Muzeum Narodowego w Lublinie ds. Muzeum Ziem Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej.

Tomasz Kuba Kozłowski – pracownik Domu Spotkań z Historią w Warszawie, pomysłodawca i autor scenariusza wystawy „Na Kresy po zdrowie!".

MUZEUM ZIEM WSCHODNICH DAWNEJ RZECZYPOSPOLITEJ

MSN WARSZAWA / MATERIAŁY PRASOWE

Aleksandra Waliszewska, bez tytułu, 2020 r. (dzięki uprzejmości artystki)

Letni szlak dla miłośnika sztuki

PIOTR KOSIEWSKI

Sławny „Jeździec polski", kolekcje Stanisława Kostki Potockiego i Lanckorońskich, 500 dzieł Witkacego, przypomnienie Jerzego Krawczyka i Marii Nicz-Borowiakowej, a także „Opowieści okrutne" Aleksandry Waliszewskiej – tego lata będzie co oglądać!

Niedawno **Muzeum Pałacu w Wilanowie** otworzyło nową stałą wystawę: „Kolekcjonerstwo Potockich". Poświęcono ją zbiorom Stanisława Kostki Potockiego, który w czasie licznych podróży po Europie odwiedzał najważniejsze galerie sztuki i zainspirowany nimi postanowił nie tylko stworzyć własną, ale wspólnie z żoną Aleksandrą w 1805 r. udostępnił ją publiczności. Powszechnie znana jest kolekcja Izabeli Czartoryskiej, będąca podstawą Muzeum Czartoryskich w Krakowie. Jednak polskie muzealnictwo zaczęło się nie tylko w Puławach, ale także w Wilanowie.

I dziś w Pałacu można zobaczyć obrazy zakupione przez Potockiego, m.in. autorstwa Lucasa Cranacha St., wybitnego wenecjanina Cimy da Conegliano, a także uznawanego niegdyś za dzieło Leonarda da Vinci „Salvatora Mundi", którego inna wersja, sprzedana w 2017 r. za ponad 450 milionów dolarów, wywoła tak wielkie zamieszanie w świecie sztuki.

REMBRANDT I INNI | Ostatnio do polskich muzeów wróciła moda na wystawy „arcydzieł" – często pojedynczych dzieł, niekoniecznie aż tak wybitnych, choć autorstwa wybitnych twórców. Tym razem jednak mamy okazję zobaczyć obraz, który na miano arcydzieła w pełni zasługuje: to „Jeździec polski" Rembrandta ze zbiorów nowojorskiej The Frick Collection. Do 7 sierpnia można go oglądać w Pałacu na Wyspie w warszawskich **Łazienkach Królewskich**, a następnie trafi na Wawel (od 19 sierpnia do 16 października). Jedno z najpiękniejszych dzieł holenderskiego mistrza jest ściśle związane z polskim kolekcjonerstwem. Należało bowiem do zbiorów króla Stanisława Augusta i przed ponad dwoma wiekami wisiało właśnie w Pałacu na Wyspie.

Z kolei **Zamek na Wawelu** przypomni o wiedeńskiej kolekcji Karola Lanckorońskiego, którą na początku XX wieku uważano za jeden z najwybitniejszych zbiorów w Europie. Po II wojnie jej część rozprzedano, ale obrazy należące do najcenniejszych zostały w 1994 r. podarowane przez prof. Karolinę Lanckorońską Zamkowi Królewskiemu w Warszawie (tu trafiły dwa inne wspaniałe płótna Rembrandta ze zbiorów Stanisława Augusta Poniatowskiego) oraz na Wawel, który otrzymał 87 dzieł, głównie włoskich. Do nich od 30 czerwca do 30 września dołączą obrazy pochodzące z dawnych zbiorów Lanckorońskich, które dziś znajdują się w zagranicznych muzeach, w tym „Św. Jerzy i smok" Paola Uccella z National Gallery w Londynie, jeden z najpiękniejszych obrazów włoskiego renesansu.

Wcześniej, bo od 20 czerwca do 18 września, na **Zamku Królewskim w Warszawie** będzie można oglądać prace mistrzów włoskiego renesansu ze zbiorów Accademii Carrara w Bergamo, której początkiem jest oświeceniowa kolekcja Giacomo Carrary, arystokraty i historyka sztuki. Dziś to jedno z najwspanialszych włoskich muzeów, a w Warszawie na wystawie „Botticelli opowiada historię" znajdą się prace m.in. Giovanniego Belliniego, Vittore Carpaccia, Lorenza Lotta oraz intrygująca „Historia Virginii" samego Sandra Botticellego, przedstawiająca dramatyczne losy cnotliwej młodej Rzymianki żyjącej w V wieku p.n.e.

NIEOCZYWIŚCI KLASYCY | W **warszawskiej Zachęcie** do 19 czerwca trwa wystawa „Jerzy Krawczyk. Gra o wszystko". Po raz pierwszy od ponad 30 lat można zobaczyć monograficzny przegląd obrazów jednego z najbardziej nieoczywistych polskich malarzy II połowy XX w. Przedwcześnie zmarły w 1969 r., związany z tradycją malarstwa realistycznego, członek Grupy Malarzy Realistów założonej przez Juliusza i Helenę Krajewskich, czołowych reprezentantów polskiego socrealizmu, zaproponował bardzo własną wizję malarstwa, w której nic nie jest oczywiste. Grał z rzeczywistością, wprowadzał do swoich płócien dzieła innych mistrzów, od Velázqueza po Picassa, mamił widzów iluzjonistycznymi chwytami. Przyglądał się sztuce i jej historii, ale też stworzył jedne z najbardziej przejmujących prac poświęconych Holokaustowi. Przez całe życie był związany z Łodzią i w tamtejszym **Muzeum Sztuki** będzie można oglądać drugą odsłonę tej wystawy (od 1 lipca do 25 września).

Z kolei w **toruńskim Centrum Sztuki Współczesnej Znaki Czasu** do 11 września potrwa wystawa „Sean Scully. Malarstwo i rzeźba". Urodzony w 1945 r. w Dublinie artysta należy dziś do klasyków sztuki i jest powszechnie uznany za jednego z najważniejszych abstrakcjonistów po 1945 r. Ekspozycja toruńska, pierwsza w Polsce prezentacja twórczości Seana Scully, imponuje rozmiarami. Znalazło się na niej aż 50 w większości wielkoformatowych obrazów powstałych od 1973 do 2021 r., w tym z „Doric Series", czyli 12 monumentalnych prac powstałych w hołdzie greckiej tradycji. Wystawa ta wypełnia ważną lukę w naszej znajomości sztuki Europy Zachodniej ostatniego półwiecza.

JAKUB CELEJ / MATERIAŁY PRASOWE

Jerzy Krawczyk „Gra o wszystko", Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki

MUZEUM NARODOWE W POZNANIU / MAT. PRASOWE

Maria Nicz-Borowiakowa „Martwa natura z rybą", 1925, kolekcja Muzeum Narodowego w Poznaniu

Muzeum Współczesne Wrocław od 7 lipca zaprasza na pokaz prac zmarłego w 2018 r. Zygmunta Rytki, jednego z czołowych artystów związanych ze środowiskiem polskiej neoawangardy, twórcy niby znanego, ale przez długie lata trochę spychanego na margines. „Szkoła patrzenia" (czynna do 26 września) będzie okazją do zobaczenia jego działań performatywnych, wykonywanych bez udziału publiczności i bezpośrednio przed obiektywem kamery lub aparatu.

Stołeczne Muzeum Narodowe zaprasza zaś od 1 lipca na wystawę „Witkacy. Sejsmograf epoki przyspieszenia" (czynna do 9 października). W tym przypadku trudno mówić o nieznanym klasyku. Przeciwnie – Witkacy należy do ścisłego kanonu polskiej sztuki I połowy XX w., jednak w ostatnich dekadach w polskich muzeach był jakby mniej obecny. Twórcy wystawy pokażą 500 jego prac, w tym także rzadko prezentowane dzieła z kolekcji prywatnych. Co więcej, twórczość Witkacego zostanie zestawiona z propozycjami innych czołowych twórców awangardy, od Umberta Boccioniego i Wasilija Kandinsky'ego po Marcela Duchampa i Maksa Ernsta. Na pewno warto sprawdzić, czy twórczość autora „622 upadków Bunga" i „Szewców" pozostała aktualna.

Ważnym wydarzeniem będzie otwarta 7 sierpnia w **Muzeum Narodowym w Poznaniu** wystawa „Awangardzistka. Maria Nicz-Borowiakowa (1896-1944)" (czynna do 27 listopada). Twórczość tej wybitniej przedstawicielki awangardy dotąd pozostawała trochę na uboczu. Teraz wreszcie jest szansa, by prace współpracowniczki ważnych ugrupowań artystycznych Dwudziestolecia – „Blok" i „Praesens" – została zauważona i na trwałe zapamiętana w polskiej historii sztuki. A sama ekspozycja dobrze wpisuje się w nurt przywracania pamięci o kobietach-artystkach.

A CO DZIŚ SŁYCHAĆ W SZTUCE? | Od 3 czerwca do 2 października w **Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie** można oglądać wystawę „Opowieści okrutne. Aleksandra Waliszewska i symbolizm wschodu i północy". To pierwszy tak obszerny przegląd prac artystki, która stworzyła własny świat, niepokojący, chwilami budzący nawet grozę, pełen baśniowych motywów, tajemniczych krajobrazów, mokradeł, mrocznych leśnych ostępów, postaci zagubionych, niekiedy przerażonych, innymi razy pełnych pożądania. Twórczyni obrazów, rysunków, ale też książek czy okładek płyt, chętnie współpracuje z muzykami, a jej obraz znalazł się na okładce zbioru tekstów Nicka Cave'a. Na wystawie będzie można zobaczyć nie tylko jej własne prace, ale też dzieła twórców i twórczyń, którymi Waliszewska się fascynuje, jej ↦

CMWŁ / MATERIAŁY PRASOWE

Paweł Bownik „Podszerstek", wystawa w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi

↦ poprzedników i poprzedniczek, związanych z symbolizmem, surrealizmem, nową rzeczowością czy tzw. twórców naiwnych, z Polski, ale też Czech, Estonii, Litwy, Łotwy czy Niemiec. Są wśród nich m.in. Maria Anto, Mikalojus Čiurlionis, Bronisław Linke, Teofil Ociepka, Teodors Ūders czy Witold Wojtkiewicz.

Z kolei warszawska **Galeria Raster** pokazuje prace Anety Grzeszykowskiej, reprezentującej to samo co Aleksandra Waliszewska pokolenie. Grzeszykowska w swej twórczości opowiada o relacjach między byciem artystką a byciem matką, a także między tym, co prywatne, a tym, co publiczne. Na najnowszej wystawie wraca do swojej pierwszej pracy (z 2005 r.), zatytułowanej „Album": składały się nań fotografie z wymazanym wizerunkiem autorki. Teraz pokazuje kolejną jego wersję, w której opowiada o swoim życiu do momentu narodzin córki Franciszki. Córka zresztą pojawiła się w innej serii, zatytułowanej „Mama". Przejmuje w niej rolę samej Grzeszykowskiej, czule opiekując się realistyczną lalką wzorowaną na samej artystce. Mieszają się tu relacje między światem realnym i wytworzonym, między dzieciństwem i dorosłością, życiem a nieistnieniem. Cały ten cykl fotografii można do 27 listopada obejrzeć na wystawie głównej 59. Międzynarodowego Biennale Sztuki w Wenecji.

Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi po raz pierwszy w swej historii zorganizowało wystawę fotografii (do 24 lipca). Znalazły się na niej zdjęcia Pawła Bownika, jednego z najciekawszych twórców po 2000 r. Jej tytuł „Podszerstek" sugeruje, że zobaczymy to, co kryje się „pod podszewką" – poprzez fotografie wewnętrznej strony ubiorów noszonych czy to przez postaci historyczne, jak Józef Piłsudski, czy to anonimowych, robotników i służących. Stawia pytania, w jaki sposób to, co zakładamy na siebie, tworzy naszą tożsamość, pokazuje, kim jesteśmy i jakie role społeczne pełnimy. Mówi wreszcie o strojach jako nośnikach pamięci kulturowej.

Gdańska Galeria Miejska zaprasza od 15 lipca do 9 października na „Sygnatury". Będzie to spotkanie artystów różnych pokoleń i wywodzących się z różnych tradycji, od Ewy Partum i Józefa Robakowskiego po Magdalenę Moskwę i Monikę Sosnowską. Ich prace połączy pytanie o traktowanie sztuki jako formy autorefleksji, odbicia ich życiowych doświadczeń.

W **Katowickim Rondzie Sztuki** od 4 sierpnia do 20 września odbędzie się wystawa „Is it real? Potęga wyobraźni" z pracami m.in. Veroniki Hapchenko i Mikołaja Sobczaka. Poświęcona mocy muzyki, która pozwala przenieść słuchacza w stany niemal nierzeczywiste, wystawa towarzyszy tegorocznemu OFF Festivalowi.

Z kolei **białostocka Galeria Arsenał** od 26 sierpnia do 6 października pokaże prace artystek i artystów z Białegostoku i okolic urodzonych w latach 80. i 90. ubiegłego wieku. Pod hasłem „Świat nie wierzy łzom" Adelina Cimochowicz, Rafał Zajko i inni opowiedzą o mieście, własnych okolicach, lokalności i o przemianach zachodzących w ostatnich dekadach, przede wszystkim z punktu widzenia tych, którzy zostali poszkodowani czy wykluczeni po 1989 r.

Wreszcie pod koniec wakacji warto wybrać się na południe Polski. Od 16 do 19 września trzy instytucje: **Akademie Sztuk Pięknych w Krakowie i Katowicach** oraz **BWA w Tarnowie**, organizują serię prezentacji, spotkań, dyskusji oraz mniej formalnych rozmów, podczas których będzie można poznać dzieła młodych twórców i twórczyń z regionu Górnego Śląska i Małopolski. To wyjątkowa okazja, by zobaczyć, jak może wyglądać sztuka w kolejnych dekadach.

© PIOTR KOSIEWSKI

Do miasta w zieloność

Mój rower jest ze mną od niedawna, wcześniej korzystałam z miejskiego wavelo, a jeszcze wcześniej z bardzo starego, pożyczonego „górala". Żadna ze mnie sportsmenka, rower służy mi przede wszystkim jako środek transportu. Jeżdżę nim do biblioteki popracować i załatwiać sprawy w wydawnictwie. Ale też na kawkę, lekcje ukraińskiego, zakupy, na pociąg i na spotkania z przyjaciółmi. Moim ulubionym miejskim szlakiem jest Młynówka (a właściwie Młynówka Królewska), arteria pieszo-rowerowa przecinająca Bronowice i Krowodrzę, dawne sztuczne koryto rzeki Rudawy. Z daleka niby niepozorny zielony park, który biegnie jak długa drzewiasta żyłka, pompująca chlorofil w tkankę Krakowa. To mój ideał drogi przez miasto. Spotykam tam, oprócz pieszych i innych rowerzystów, sikory, modraszki, bogatki (czasem, jeśli się nie spieszę, przystaję i sprawdzam nazwy w aplikacji, która rozpoznaje ptaki po nagraniu śpiewu). Podobno pomieszkują tam też kuny i jeże. To taka droga, po wyruszeniu w którą człowiek, zamiast się męczyć, że gdzieś musi wyjść, jechać, doganiać obowiązki, cieszy się z intensywnej podróży w zieloność.

DAMIAN KLAMKA / EAST NEWS

POLECA

DOMINIKA SŁOWIK
PISARKA, LAUREATKA PASZPORTU „POLITYKI"

REKLAMA

REKLAMA

REKLAMA

ANNA REZULAK / MATERIAŁY PRASOWE

Festiwal Miasto Słowa w Gdyni, 2021 r. Spektakl Teatru Gdynia Główna „Kongres Futurologiczny" Stanisława Lema w reż. Idy Bocian.

Jedź, czytaj

MICHAŁ SOWIŃSKI

Sokołowsko, Szczebrzeszyn, Buda Ruska: festiwale literackie zachęcają do odwiedzania najdalszych zakątków Polski.

Literacki rozkład jazdy otwiera festiwal **Izabelińskie Spotkania z Książką**. Między 10 a 12 czerwca podwarszawska gmina zaprasza na 24. już edycję imprezy, gdzie, obok spotkań z pisarzami i reporterami, wręczona zostanie, już po raz drugi, specjalna nagroda Planeta Izabelin. Wyróżnienie przyznawane jest książce o szeroko rozumianej tematyce ekologicznej.

Od 24 czerwca do 3 lipca Kraków zaprasza na **Festiwal Kultury Żydowskiej**. W programie 31. edycji imprezy, tym razem przebiegającej pod hasłem „Woda", organizatorzy, wspólnie z Krakowskim Biurem Festiwalowym, przygotowali specjalne pasmo literackie. A w nim: „Nowe legendy miejskie" (26 czerwca), czyli spotkanie z Igorem Jarkiem, Elżbietą Łapczyńską, Łukaszem Barysem i Olgą Drendą; wykład profesora Götza Aly'ego (28 czerwca); spotkanie z Anną Bikont (28 czerwca) oraz „Żywioł rzeki. Czytanie wody: Wisła", czyli rozmowa Małgorzaty Lebdy i Rafała Siderskiego.

Z kolei 25 czerwca odbędą się w Ogrodzie Krasińskich w Warszawie **Imieniny Jana Kochanowskiego**. Jako że patronką roku 2022 jest Maria Konopnicka, to właśnie ona będzie bohaterką większości wydarzeń. Literacki piknik organizowany przez Bibliotekę Narodową odbędzie się w tym roku już po raz dziesiąty. Jak zawsze wezmą w nim udział pisarze, poeci, aktorzy, performerzy i muzycy. Tradycyjnie odbędzie się też kiermasz, w którym weźmie udział kilkadziesiąt wydawnictw. Organizatorzy obiecują, że nie zabraknie stałych punktów programu, w tym dansingu pod gwiazdami.

„Pod Tatry tylko z książką" – głosi hasło **Zakopiańskiego Festiwalu Literackiego** i ma rację. Między 8 a 10 lipca, tuż obok Krupówek, odbędzie się kolejna już edycja tatrzańskiej imprezy. I jak co roku będzie można tam spotkać pisarzy i pisarki z całego kraju, zagrać w gry miejskie, obejrzeć wystawy, a także filmy o tematyce górskiej. Festiwalowi towarzyszyć będą również targi książki oraz finał Nagrody Literackiej Zakopanego.

Od 13 do 21 lipca w Nowej Rudzie, Wałbrzychu, Radkowie, Ścinawce Górnej i w Sokołowsku odbędzie się **VIII edycja Festiwalu Góry Literatury**. Gospodarzami imprezy odbywającej się u podnóża Gór Sowich, w wyjątkowo

RADEK NOWACKI / MATERIAŁY PRASOWE

Spotkanie z Andrzejem Stasiukiem na Festiwalu Patrząc na Wschód w Budzie Ruskiej, sierpień 2021 r.

klimatycznej i kameralnej atmosferze, są Olga Tokarczuk oraz Karol Maliszewski.

W połowie sierpnia warto z kolei wybrać się do serca Roztocza, czyli **Stolicy Języka Polskiego w Szczebrzeszynie** (7-13 sierpnia), oraz do pobliskiego Zamościa. Patronem tegorocznej edycji będzie Miron Białoszewski, poeta, któremu polszczyzna zawdzięcza szczególnie dużo. Festiwal kusi także przepiękną rzeką Wieprz, która przepływa tuż obok sceny.

Między 11 a 14 sierpnia w położonej nad Czarną Hańczą Budzie Ruskiej odbędzie się, jak mówią organizatorzy, jedyny wiejski festiwal literacki w Polsce – **Patrząc na Wschód.** To już siódma edycja imprezy, podczas której odbywają się spotkania z podróżnikami, dziennikarzami, reporterami i filmowcami, pokazy slajdów oraz filmów tych, którzy związani są ze Wschodem. A wszystko w miejscowości liczącej kilkanaście domów (dlatego ze wsparciem przychodzą także sąsiednie wsie). W tym roku na festiwalu gościć będą m.in. Artur Domosławski, Adam Robiński, Grzegorz Kasdepke, Tomasz i Grzegorz Kłosowscy, Wojciech Koronkiewicz, Ewa Zwierzyńska i Adam Strug.

W drugiej połowie sierpnia literacką stolicą Polski staje się Trójmiasto. Najpierw między 18 a 21 sierpnia odbędzie się festiwal **Literacki Sopot**, który co roku prezentuje literaturę innego kraju. W tym roku będzie to Irlandia, a gośćmi będą między innymi Liz Nugent oraz Colum McCann. Odbędzie się także debata „Portrety na strychu cywilizacji. Co Dorian Gray mówi nam o dzisiejszym świecie?", a wszystko tuż przy sopockim molo.

Kilka dni później (24-28 sierpnia), parę kilometrów na północ, Gdynia zaprasza na kolejną już odsłonę festiwalu **Miasto Słowa**, który towarzyszy wręczeniu Nagrody Literackiej Gdynia. Oprócz spotkań z nominowanymi i laureatami odbędzie się również szereg dyskusji literackich.

Po dwuletniej przerwie powraca festiwal **Miedzianka Po Drodze** w nowej, wędrownej formule (26 sierpnia – 3 września). Jak piszą organizatorzy, festiwal w poprzedniej wersji przerósł miejscowość Miedzianka, która nie była w stanie pomieścić tak licznej publiczności. W nowej formule to Miedzianka przyjedzie do publiczności – odwiedzi siedem miast. W ten sposób festiwal ma zyskać na dostępności, a ślad ekologiczny znacząco się zmniejszy.

Z kolei 17 i 18 września na **Festiwal Znaczenia** zaprasza Wołomin. To impreza budowana wokół jednej książki. Na podstawie wybranego przez kapitułę tytułu zorganizowana zostanie debata, seanse filmowe, wystawa sztuki, spotkania autorskie i warsztaty dla dzieci, które pozwolą pogłębić i poszerzyć znaczenia zawarte w tekście. Tym razem wszystko obracać się będzie wokół książki Tomasza Szerszenia „Wszystkie wojny świata", przejmująco aktualnego eseju o formach, odmianach i językach wojennej przemocy. ©

Beskid, Beskid

Beskid Sądecki, a w nim wieś ukryta w taki sposób, że jadąc z Nowego do Starego Sącza, należy wiedzieć, kiedy odbić w lewo. Spokojnie, nakieruje nas tabliczka. Należy zlokalizować Łazy Biegonickie, pokonać podjazd, na skrzyżowaniu odbić w lewo, a kiedy znajdziemy się już przy tablicy „Żeleźnikowa W.", to przed nami malownicza część rowerowej wyprawy. Mijamy: cmentarz, kościół pod wezwaniem Michała Archanioła, szkołę podstawową, sklep, ubojnię, mój rodzinny dom i kilkaset metrów dalej, trzymając się ulicy św. Jana Pawła II, asfaltem w górę, docieramy do krzyżówki. Uff. Tu uwaga – nie jedziemy prosto, tam, gdzie kusi nas tabliczka „Żeleźnikowa M.", ale odbijamy w prawo, w stronę ściany lasu na horyzoncie. Po lewej miniemy Sowinę (tak od zawsze wołaliśmy na najwyższe wzniesienie wsi) i już niewiele dzielić nas będzie od leśnej gęstwiny, w której przetestujemy – nareszcie! – nasz MTB. Po przejechaniu przez las dotrzemy do polany. Tu warto się zatrzymać i rozejrzeć. Jeśli będziemy mieć szczęście, las będzie oddawać wilgoć i rozegra przed nami spektakl mgieł. I tu należy zdecydować, co dalej. Jeżeli wybierzemy się w prawo (w dół), to miniemy Maliniki (kilka domów, jeden z nich jest mi szczególne bliski) i droga poprowadzi nas w stronę Popowic, ku linii Popradu. Jeżeli w lewo (pod górę), to czeka nas poważne kardio i oszałamiające okoliczności przyrody. Niech Pasmo Jaworzyny Krynickiej nam sprzyja.

KUBA OCIEPA / / WIKIPEDIA.ORG

POLECA

MAŁGORZATA LEBDA
POETKA,
LAUREATKA NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA

K. SCHUBERT / MIK 2022 X5

W Lesie Wolskim w Krakowie.

Las w mieście

Las Wolski – zielone płuca Krakowa – rozpościera się zaledwie 8 km od Rynku Głównego. To naturalna ściana zieleni, która wyznacza zachodni kraniec miasta.

Tutaj znajdują się najwyższe wzgórza w okolicy: Sowiniec (358 m n.p.m.), Pustelnik (352 m n.p.m.) i Srebrna Góra (326 m n.p.m.). Historycznie teren ten składał się z dwóch uroczysk – Bielańskiego i Wolskiego. Część lasu położona w pobliżu Bielan już w pierwszej połowie XIII wieku należała do panien zwierzynieckich, czyli sióstr z klasztoru norbertanek, pozostałe tereny zaś do benedyktynek, czyli panien staniąteckich.

Z tamtych czasów pochodzą legendy o pannach zwierzynieckich, które, uchodząc przed Tatarami pustoszącymi kościół i klasztor na Zwierzyńcu, skryły się w leśnych ostępach, gdzie zostały zamienione w wapienne skały (według innej wersji – skały, rozstępując się, udzieliły im schronienia). Stąd nazwa tutejszego rezerwatu: Panieńskie Skały.

Z upływem lat Las Bielański często zmieniał właścicieli, aż w końcu całość Bielan została sprzedana Sebastianowi Lubomirskiemu, ten natomiast oddał je w ręce kamedułów. Historia powstania klasztoru na bielańskim wzgórzu jest jednak bardziej skomplikowana i wiąże się z marszałkiem koronnym Mikołajem z Podhajec Wolskim.

Była to postać nietuzinkowa: dyplomata, przyjaciel królów, światowiec i... alchemik, rzekomo parający się czarną magią. Przebywając w Rzymie u papieża Klemensa VII, zobowiązał się on ufundować klasztor dla Kongregacji Eremitów Kamedułów Góry Koronnej. Nie miał jednak ziemi, którą mógłby oddać wiodącym kontemplacyjne życie zakonnikom. Natomiast leżące na obrzeżach miasta zielone bielańskie wzgórza nadawały się idealnie. By nakłonić Lubomirskiego, ich ówczesnego właściciela, do sprzedaży, Wolski posłużył się fortelem. Wyprawił ucztę, na którą zaprosił wielu dostojnych gości. W jej trakcie wykazał się na tyle znamienitym kunsztem retorycznym, że Lubomirski sam zaproponował oddanie bielańskiej góry pod budowę klasztoru. W geście wdzięczności Wolski ofiarował hojnemu darczyńcy srebrne naczynia użyte podczas uczty, stąd wzgórze klasztorne nazwano Srebrną Górą.

Park ludowy

Druga część lasu, znacznie większa, bo o powierzchni przeszło 330 ha, rozciąga się w rejonie Woli Justowskiej, dziś dzielnicy Krakowa, a wcześniej wsi, która od 1528 r. należała do Justa Ludwika Decjusza. Z czasem las przeszedł na własność księcia Marcelego Czartoryskiego, od spadkobierców którego teren wykupiła prywatna spółka Eugeniusza Nitschego i Karola Homolacsa. W 1917 r. z inicjatywy m.in. prezydenta Juliusza Lea teren nabyła Kasa Oszczędności Miasta Krakowa „na urządzenie po wieczne czasy publicznego parku ludowego".

Niestety nie była to wtedy dzika puszcza, tylko zniszczony las z prawie całkowicie usuniętym drzewostanem. Wincenty Wobr, jego nowy zarządca, włożył wiele pracy, aby faktycznie przemienić go w „park ludowy". Podzielił przestrzeń na 26 obwodów dostosowanych do ukształtowania terenu, wyodrębnił część naturalną, rekreacyjną i produkcyjną, wyznaczył ścieżki spacerowe, aleje oraz polany. Z jego inicjatywy powstało tu także kilkanaście obiektów – gajówek, altan i kiosków – które miały służyć służbom leśnym oraz spacerowiczom.

Wraz z innymi działaczami Krakowskiego Oddziału Towarzystwa Przyrodniczego im. Mikołaja Kopernika Wobr podjął także starania, aby w sercu Lasu Wolskiego powstał zwierzyniec. I tak w 1927 r. zaczęto prace przy budowie ogrodu zoologicznego, którego otwarcie nastąpiło dwa lata później.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

W latach 30. Las Wolski wzbogacił się o jeszcze jeden wyjątkowy obiekt. Z inicjatywy porucznika Franciszka Supergana w 1934 r. rozpoczęto sypanie kopca niepodległości, który po śmierci Józefa Piłsudskiego został nazwany jego imieniem. Autorem projektu był Franciszek Mączyński, prace trwały trzy lata. Kopiec stanął na najwyższym wzniesieniu lasu – wzgórzu Sowiniec – a złożono w nim ziemię ze wszystkich pól bitewnych I wojny światowej, na których walczyli Polacy.

Po II wojnie światowej starano się wymazać ten pomnik z pejzażu miasta, skutecznie go dewastując. Od lat 80. czuwa nad nim Komitet Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego, dzięki któremu ruszył żmudny proces odnowy obiektu.

Pawilon Okocimski

Liczne atrakcje turystyczne Lasu Wolskiego sprawiły, że miejsce to stało się bardzo popularnym celem wycieczek krakowian. Pierwsze obiekty, jakie powstały z myślą o turystach, niestety nie przetrwały do dzisiejszych czasów. „Karolówka", zlokalizowana na polanie Lea, została rozebrana jeszcze w latach 30., natomiast „Józefówka" (po II wojnie światowej nazwana „Babą Jagą") spłonęła w latach 90. Szczęśliwie w samym sercu lasu zachowała się prawdziwa perełka modernizmu, czyli Pawilon Okocimski.

Zaprojektowany przez Jana Ogłódka, rzadki przykład tzw. architektury okrętowej, został wybudowany w 1936 r. przez browar Antoniego Jana Götza w Okocimiu z przeznaczeniem na kawiarnię. Budynek dzierżawił Ludwik Bartosiewicz, znany krakowski restaurator. Ciesząca się niesłabnącą popularnością restauracja od lat 50. prowadzona była przez Krakowskie Zakłady Gastronomiczne. Gdy w latach 70. miejscem zaczęła zarządzać Spółdzielnia Spożywców „Społem", stan budynku stopniowo się pogarszał. W latach 90. Pawilon podupadł tak bardzo, że został opuszczony.

Ponad dwadzieścia lat później z pomysłem modernizacji i przywrócenia jego świetności wyszli krakowscy aktywiści. W latach 2017-2019 trwał remont i dostosowanie budynku na potrzeby Centrum Edukacji Ekologicznej „Symbioza", które znalazło tu siedzibę.

Dziś Lasem Wolskim i znajdującym się na jego terenie zoo zarządza Fundacja Miejski Park i Ogród Zoologiczny w Krakowie. Do odzyskania niepodległości tereny Lasu Wolskiego stanowiły obszar forteczny, dlatego w wielu miejscach znajdziemy ślady wojskowej obecności (w forcie 38 „Skała" od 1953 r. znajduje się Obserwatorium Astronomiczne Uniwersytetu Jagiellońskiego). Uroczysko Bielany zostało po II wojnie światowej upaństwowione i wraz z Lasem Wolskim stanowi jedną całość, obejmującą ponad 400 ha. Rozrzucone po lesie szlaki spacerowe liczą ponad 40 km długości.

© DOMINIKA MIETELSKA-JARECKA

18 CZERWCA 2022
zapraszamy na premierę i pokazy filmu o Lesie Wolskim **„Slow Las"** (z napisami i tłumaczeniem na PJM).
Centrum Edukacji Ekologicznej „Symbioza", aleja Żubrowa 15, Kraków.

Muzeum Historyczno-Etnograficzne w Andrychowie
4 i 5 czerwca będzie można obejrzeć wyjątkową kolekcję Muzeum Historyczno-Etnograficznego, pieczołowicie gromadzoną przez Edwarda Wincentego Szlagora, a pozostającą pod opieką jego córki Iwony Dyli. W programie m.in. oprowadzanie po muzeum (w towarzystwie właścicielki, pasjonatki lokalnej historii i antropologa kulturowego), pokaz tkania na zabytkowych krosnach, warsztaty dla dzieci, a dla spragnionych kontaktu z przyrodą – wyzwania sportowe i spacery przyrodnicze z przewodnikiem.

Kościół i klasztor Reformatów w Kętach
4 i 5 czerwca będzie można zajrzeć za mury niedostępnego na co dzień klasztoru, wysłuchać opowieści o ojcu Ambrożym Trausylu, botaniku i taterniku, a także odwiedzić klasztorny sklepik zielarski. Do tego rodzinny relaks w klasztornym ogrodzie oraz warsztaty botaniczne.

Osada młyńska w Roztoce-Brzezinach
11 i 12 czerwca pod skrzydłami Michała Winiarskiego, wnuka budowniczego osady, będzie można obejrzeć kompleks wciąż działających drewnianych zabytków na Sądecczyźnie. W programie m.in. pokaz przemiału zboża w starym młynie, opowieść o dawnym życiu w niewielkiej osadzie o wielkich tradycjach, możliwość poszerzenia swojej wiedzy o nietoperzach, wycieczka trekkingowa na wzgórze Majdan oraz kiermasz rękodzieła i lokalnych frykasów.

Kościół pw. Matki Bożej Różańcowej w Przydonicy
11 i 12 czerwca, z przewodnikami lub indywidualnie, będzie można zwiedzić wyjątkowy drewniany kościół pw. Matki Bożej Różańcowej, wysłuchać opowieści o roślinach – tych na obrazach i tych wpisanych w kulinarne tradycje regionu – oraz wziąć udział w warsztatach druku w technice monotypii.

Szczegółowy program:
www.dnidziedzictwa.pl

małopolski instytut kultury MIK
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
MAŁOPOLSKA

MAŁGORZATA TOMICA / MATERIAŁY PRASOWE

Koncert szwajcarskiego zespołu Profeti della Quinta na starosądeckim Festiwalu Muzyki Dawnej, lipiec 2021 r.

W pogoni za dźwiękami

JAKUB PUCHALSKI

Sądecczyzna, Podkarpacie, Dolny Śląsk, Wielkopolska, no i Warszawa – sieć letnich festiwali muzyki dawnej staje się coraz gęstsza.

Festiwale po pandemii pozostają wciąż mocno poturbowane. Zazwyczaj ich budżety opierają się na zasobach lokalnych samorządów, a te w obecnych czasach są nie tylko wątłe, ale wręcz niepewne i co chwila obciążane nowymi obowiązkami. Organizacja gwiazdorskich koncertów jest w takich warunkach bardzo trudna – choć przecież nie niemożliwa. Łatwiej o to w świecie muzyki dawnej, który jest znacznie swobodniejszy od filharmonicznego – i szczęśliwie zdecydowana większość najważniejszych wakacyjnych festiwali dotyczy właśnie muzyki od średniowiecza do baroku.

Najstarszą imprezą poświęconą muzyce dawnej jest **Festiwal w Starym Sączu** – najbliższa jego edycja zaplanowana jest w dniach 29 czerwca – 3 lipca. Poczekać trzeba jeszcze na wieści o **Pieśni Naszych Korzeni**, czyli o kultowym (w każdym rozumieniu tego słowa) festiwalu w Jarosławiu. Wątki liturgiczne, tworzące oś tego sierpniowego spotkania z tradycjami muzyki dawnej i najdawniejszej, zapewne znowu skupią grono osób, którym trudno wyobrazić sobie lato bez wizyty na Podkarpaciu.

Koniec lipca (od 22 do 31) to posiadający już od dawna poważną renomę **Festiwal Bachowski w Świdnicy**. W jednym z najbardziej malowniczych miast Dolnego Śląska – a także w kilku pobliskich miejscowościach usłyszeć będzie można znakomitą śpiewaczkę Vivikę Genaux, jedną z największych gwiazd skrzypiec Wiktoriję Mułłową oraz znany zespół wokalny Graindelavoix. Będzie można zagłębić się w bogactwo instrumentów XVII w., czyli z okresu, gdy formowało się europejskie instrumentarium.

Szczególną atrakcją festiwalu Bachowskiego są „wartości dodane" do samych koncertów – pretekst do zagłębienia się w historię. W tym roku jednym z wydarzeń najbardziej spektakularnych będzie spektakl Cezarego Tomaszewskiego „Naturzyści". Już przed 10 laty w tę wędrowną zabawę z pieśniami Feliksa Mendelssohna do wykonywania na wolnym powietrzu, „Lieder im Freien zu singen", mieli okazję ruszać krakowscy słuchacze

Capelli Cracoviensis – w tej chwili wraca on do przestrzeni dolnośląskich miasteczek, magicznej dla tej wczesnoromantycznej muzyki.

Za festiwal w Świdnicy odpowiada Jan Tomasz Adamus. On stoi też na czele od ledwie trzech lat działającego, znacznie na razie mniejszego **festiwalu w Strzegomiu**. Do muzyki wokalnej (Capella Cracoviensis, Ensemble Ars Nova, Ensemble Amarcord) dochodzą w tym roku recitale fortepianowe i koncerty kameralne. Większość ich bohaterów znamy choćby z ubiegłorocznego Konkursu Chopinowskiego – tym razem jednak Chopin będzie tylko jednym z wielu kompozytorów, polscy pianiści pokażą się bowiem w szerszym repertuarze. Nie mniej ciekawie zapowiada się też część wokalna, sięgająca od poruszających „Lamentacji Jeremiasza" Orlanda di Lasso do utworów współczesnych. Jeżeli ktoś chciałby na Śląsku posmakować muzyki, w końcu sierpnia niech nie zapomina o Strzegomiu.

Także Wielkopolska, a konkretnie ziemia lubuska, ma do zaproponowania coś specjalnego w muzyce dawnej: od 2003 r. w klasztorze w Paradyżu-Gościkowie odbywa się festiwal **Muzyka w Raju**. Tytułowy Raj ogarnia znaczną część województwa. Od 4 do 10 sierpnia oraz 14 i 15 sierpnia koncerty odbywać się więc będą w Letnicy k. Zielonej Góry, Gorzowie Wlkp., Świebodzinie, Międzyrzeczu i Jerzmanowej, a w dniach 11–13 oraz 16–21 sierpnia w Paradyżu-Gościkowie. Usłyszeć będzie można międzynarodową orkiestrę barokową Kore, zespoły La Morra i Arparla, consort fletów prostych Brouillamini i solistów zgodnie z festiwalową tradycją występujących w różnych wzajemnych konfiguracjach: Michała Gondkę, Corinę Marti, Jesenkę Balic Zunic, Lucile Boulanger, Marię Christinę Cleary, Marca Mauillona, Lisandro Abadiego, Cyrila Auvity'ego, Sarę Johnson Huidobro i Davide Montiego. Brzmieć będzie muzyka m.in. Vivaldiego, Bacha i Händla, ale też i rzadko spotykanych twórców.

Odrębnie przedstawić trzeba festiwale poświęcone muzyce późniejszej – przede wszystkim romantycznej, a konkretnie chopinowskiej. Sierpień może poszczycić się dwiema najważniejszymi skupionymi na niej imprezami w kraju: otwiera go **Festiwal Chopinowski w Dusznikach** (5–13 sierpnia), kończy **Chopin i Jego Europa w Warszawie**. Program obu imprez – mimo że warszawska konkuruje o miano największej w Polsce, a Duszniki są stosunkowo skromne – w pewnym sensie będzie się pokrywał, a może raczej uzupełniał. Obie chętnie przypominają pianistów, których poznaliśmy podczas ostatniego Konkursu Chopinowskiego. Duszniki wychodzą jednak dalej, jak zwykle sięgając do zwycięzców różnych konkursów międzynarodowych, w których jury zasiada regularnie Piotr Paleczny, dyrektor artystyczny festiwalu.

Warszawa ma na siebie inny pomysł: Chopin i Jego Europa od lat jest festiwalem gwiazd, do których grona trafiają kolejne pokolenia pianistów z Konkursu. Nurt „przeżyjmy to jeszcze raz" pozostaje więc jedną z dominant imprezy, do niego dochodzi jednak ciekawy wątek operowy – co roku prezentowany jest jakiś rzadki romantyczny tytuł, tworząc pewne konteksty dla mniej więcej współczesnej mu twórczości Chopina, jak wiadomo konesera i znawcy opery; w tym roku będzie to „Dzień królowania" młodego Giuseppe Verdiego.

Pojawiają się też historyczne fortepiany i znakomici śpiewacy. Trudno pominąć cykl pieśni „Winterreise" Schuberta (*nota bene* w ostatnim czasie to chyba najpopularniejszy niechopinowski utwór na polskich estradach), w wykonaniu Matthiasa Goerne i Leifa Ove Andsnesa, Marię João Pires grającą Koncert A-dur KV 488 Mozarta, ale też i triumfatora ostatniego Konkursu, Bruce'a Liu, z jego mistrzowskim ujęciem Wariacji na temat „Là ci darem la mano", i to zarówno na współczesnym, jak również historycznym fortepianie, albo też w Koncercie f-moll Chopina – którego dotąd w jego wykonaniu nie słyszeliśmy.

Laureaci Konkursu zaprezentują się nie tylko w Chopinie, ale pokażą się jako pianiści bardziej uniwersalni. Wśród kompozytorów pojawi się Schubert (Fantazja „Wędrowiec" i Sonata c-moll), Schumann (wielka Fantazja C-dur), Bach, Rameau, Debussy i Szymanowski – by wymienić tylko najważniejszych. Nawet w drobnych partiach nie zabraknie nadzwyczajnych muzyków – i tak na przykład Koncert na skrzypce i fortepian F-dur Haydna oraz Koncert skrzypcowy A-dur mniej znanego, ale ważnego skrzypka późnego klasycyzmu, Augusta Fryderyka Duranowskiego, zagra nadzwyczajna Chouchane Siranossian – obok niej wystąpi zaś sławny, stały gość festiwalu, Kristian Bezuidenhout.

Odnotować trzeba, że Chopin i Jego Europa poświadczają też ugruntowującą się pozycję {oh!} Orkiestry Historycznej, prowadzonej przez Martynę Pastuszkę. Polski zespół trwale dołącza do międzynarodowych sław, zapraszanych do Warszawy regularnie. Takich jak Fabio Biondi albo Collegium 1704, które pod kierunkiem swego szefa, Václava Luksa, tym razem sięgnie po utwory z pierwszych dekad XIX w., „Requiem" Rejchy i „Miserere" Krogulskiego.

A dla tych, dla których lato nie kończy się z końcem sierpnia... Już 9 września rozpocznie się **Wratislavia Cantans**.

© JAKUB PUCHALSKI

Nocna jazda

Jestem zwierzęciem miejskim. Moje rowerowe trasy wiodą podwórkami, ulicami o śmiesznych nazwach albo wzdłuż rzek, o których istnieniu nie miałam wcześniej pojęcia. Ale najbardziej lubię jeździć nocą. Lato zaczyna się od wieczoru, w którym wybieramy się na nocną jazdę. Nigdy jej nie planujemy. Zazwyczaj w środku tygodnia, około 22.00, orientujemy się, że wieczór jest zbyt fajny, zbyt pachnący, zbyt ciepły, żeby go nie wykorzystać na włóczenie się po Krakowie. Nasza jazda przypomina *cruising*. Toczymy się, gadamy, skręcamy, gdzie nam się spodoba, jeździmy środkiem ulicy. Lubimy się wozić po Woli Justowskiej, Płaszowie, Rybitwach, Ruczaju. Chętnie zahaczamy też o Kazimierz i Podgórze, gdzie zatrzymujemy się na coś do picia. Wracamy do domu po pierwszej w nocy, jakby dopiero zaczął się dzień. Dla mnie, eks-triathlonistki, *cruising* po nocnym mieście jest wyzwalający i konieczny. Dzięki niemu nauczyłam się anihilować wiecznie towarzyszący tryb *need for speed*. Nie potrzebuję prędkości, potrzebuję luziku.

ADRIANNA BOCHENEK / / AGENCJA WYBORCZA.PL

POLECA

ELŻBIETA ŁAPCZYŃSKA
PISARKA, LAUREATKA NAGRODY CONRADA ZA „BESTIARIUSZ NOWOHUCKI"

REKLAMA

Organizator:
NFM – instytucja kultury miasta Wrocławia współprowadzona przez:
Sponsor NFM:
Mecenas Centrum Edukacyjnego NFM:

NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI

Książka Pierre'a Choderlosa de Laclosa Niebezpieczne związki i film Stephena Frearsa pod tym samym tytułem, które opowiadają o władzy, będącej częstą przyczyną ludzkich działań, zainspirowały Giovanniego Antoniniego, dyrektora artystycznego Międzynarodowego Festiwalu Wratislavia Cantans im. Andrzeja Markowskiego, do poszukania ich analogii w muzyce.

W programie koncertów 57. edycji festiwalu pojawią się utwory mające wymiar polityczny i religijny, w tym dzieło stworzone przez Ołeksandra Szymko tuż po pierwszej agresji Rosji na Ukrainę. Stanowi ono bardzo ciekawą mieszankę współczesnego języka kompozytorskiego artysty z ukraińską tradycją ludową i znakomicie zwieńczy festiwal. Jak co roku na Dolnym Śląsku wystąpią uznani artyści zagraniczni i polscy, m. in.: sir John Eliot Gardiner z Orchestre Révolutionnaire et Romantique i Chórem Monteverdi, Jewhen Sawczuk z Narodowym Chórem Ukrainy „Dumka", Barbara Hannigan z LUDWIG Orchestra, Agata Zubel, Giovanni Antonini z Il Giardino Armonico, Le Poème Harmonique, Cameron Carpenter, a także: Andrzej Kosendiak i Wrocław Baroque Ensemble, Chór NFM, NFM Filharmonia Wrocławska, NFM Orkiestra Leopoldinum i NFM Chór Chłopięcy.

REKLAMA

TYGODNIK POWSZECHNY

Nr 23/2022

DODATEK SPECJALNY

Biennale Warszawa 2022: Widzące kamienie i przestrzenie poza Doliną

Widzące kamienie, czyli projektowanie przyszłości

BARTOSZ FRĄCKOWIAK, PAWEŁ WODZIŃSKI

Musimy wyjść poza wyobrażeniowe ramy stworzone przez firmy, dyskurs i praktyki Doliny Krzemowej. I bezustannie poszerzać granice własnej wyobraźni, tworząc alternatywne koncepcje związane z danymi i technologiami.

Palantíry to nieprzeźroczyste i niezniszczalne kule, dzięki którym można się komunikować na duże odległości oraz spoglądać w przyszłość i przeszłość, a więc – używając współczesnego słownika – dokonywać predykcji i klasyfikacji danych. Obiekty te pojawiają się na kartach powieści Johna R.R. Tolkiena „Władca pierścieni". Miały zostać stworzone w Pierwszej Erze przez elfy z Valinoru. Najbardziej znany tolkienowski palantír był własnością białego czarodzieja – Sarumana.

Palantir Technologies to nazwa technologicznej korporacji zajmującej się analityką danych z siedzibą w Denver w Kolorado. Została ona stworzona przez Petera Thiela – amerykańskiego prawnika i inwestora, absolwenta Uniwersytetu Stanforda, założyciela serwisu PayPal i pierwszego inwestora zewnętrznego Facebooka. Po atakach na World Trade Center Thiel – opierając się na nabytym w PayPalu doświadczeniu w zarządzaniu danymi – założył firmę, która zaoferowała rządowi amerykańskiemu i agencjom bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych możliwość analizy danych.

Działania Palantir Technologies były i są w dużej części tajne, ale – jak podaje Max Chafkin, autor najnowszej biografii Thiela – analiza danych dokonywana była przez system znany jako Gotham. Dotyczyła zarówno obywateli oraz firm zagranicznych, jak i obywateli amerykańskich, których prywatność często naruszała, poprzez przejmowanie danych telefonicznych i cyfrowych, inwigilację i namierzanie. Oprócz wykonywania zadań dla rządu, firma Palantir Technologies pozwalała sobie nawet na realizację prywatnych życzeń personelu amerykańskich agencji bezpieczeństwa. Śledzono zdradzających narzeczonych czy nielojalnych małżonków i analizowano ich zachowania. Wystarczyło poprosić.

Save the Shire

Peter Thiel i jego współpracownicy stoją także za rozwojem innych przedsiębiorstw, których nazwy wywodzą się z uniwersum Tolkiena. Jednym z nich jest Mithril Capital Management, specjalizujący się w działaniach w sektorze finansowym (mithril to nazwa wytrzymałego metalu oraz wykonanej z niego srebrnej lekkiej zbroi utkanej przez elfy i noszonej m.in. przez hobbita Froda). Lembass Capital, firma, której nazwa pochodzi od niezwykle pożywnego elfiego chleba, to jedna z dwóch korporacji założonych w celu inwestowania w Facebooka. O Rivendell One (Rivendell jest siedzibą elfów) niewiele wiadomo. Valar Ventures (Valarowie to grupa piętnastu starożytnych duchów lub bogów, którzy zdecydowali się zejść na ziemię) to spółka inwestycyjna typu *venture capital*.

Thiel wspiera także nowe projekty technologiczne, tworzone przez najmłodszą generację programistów i przedsiębiorców. Część tych osób brała udział w programie stypendialnym Thiel Fellowship. Jednym z przedsięwzięć powstałych dzięki jego wsparciu jest Anduril Industries. Nazwa odwołuje się do miecza, który Aragorn odziedziczył po przodkach, określanego w powieści Tolkiena jako *Flame of the West* (Płomień Zachodu). Korporacja, którą założyli Palmer Luckey, Brian Schimpf, Trae Stephens, Matt Grimm i Joseph Chen, opracowuje i sprzedaje technologie obronne, w tym technologie ochrony granic, zakupione przez rząd amerykański za kadencji Donalda Trumpa i wykorzystywane m.in. na granicy amerykańsko-meksykańskiej.

Cele Anduril Industries są zbieżne z założeniami biznesowymi Thiela, któremu chodzi o połączenie sektorów technologicznego i wojskowego pod hasłem obrony zachodnich interesów. Jak podaje fundusz 8VC, jeden z inwestorów Anduril Industries: „Amerykańska supremacja militarna pozostaje fundamentem ludzkiej wolności na Ziemi. Naszym obowiązkiem jako patriotów jest zgromadzenie światowej klasy technologów w celu obrony zachodnich ideałów". Podobnie, choć może nieco bardziej metaforycznie, formułuje to firma Palantir Technologies. W jej siedzibie w holu wejściowym widnieje hasło: *Save the Shire*, które pojawia się także na firmowych koszulkach i czapkach. Shire – zielona kraina hobbitów, równocześnie idylliczna i konserwatywna, pozostająca w niezmiennym kształcie od wieków – to Zachód. Zdaniem założycieli firmy Petera Thiela i Aleksa Karpa należy go bronić przed zagrożeniami zewnętrznymi, które pochodzą z krajów i obszarów rywalizujących z Zachodem, takich jak Chiny, Iran, Rosja czy kraje Bliskiego Wschodu.

Peter Thiel nie jest typowym twórcą czy inwestorem związanym z sektorem nowych technologii. Ma na celu przede wszystkim trwałe złączenie Doliny Krzemowej z amerykańskimi strukturami bezpieczeństwa, rządem i wojskiem, przy założeniu, że to przedsiębiorstwa kontrolowane przez Thiela będą odgrywać zasadniczą rolę w nawiązywaniu tych relacji i prowadzeniu strategicznych interesów.

Wojsko i technologia

W przeszłości państwo amerykańskie dość aktywnie uczestniczyło w rozmaitych projektach związanych z technologiami atomowymi i kosmicznymi. Jednakże sektor technologii cyfrowych powstawał w latach 70. i 80. w dużej części poza państwem. Był wtedy – jak przedstawiał to wielokrotnie Richard Barbrook – zlepkiem rozmaitych elementów: neoliberalnej ekonomii, obiektywistycznej filozofii Ayn Rand i technologicznego determinizmu. Sektor działał na potrzeby rynku w ramach neoliberalnej gospo-

Cyrus Clarke, Monika Seyfried, „Grow Your Own Cloud". Instalacja Ogród Danych, SXSW 2020.

darki, tworząc produkty i innowacje, które można było sprzedawać indywidualnym konsumentom.

Sytuacja zmieniła się radykalnie po zamachach na World Trade Center, gdy rząd amerykański zaczął tworzyć systemy pozyskiwania informacji cyfrowych. Do ich działania niezbędne były zaawansowane systemy informatyczne – zdolne analizować wielkie ilości danych, pobieranych początkowo od firm telekomunikacyjnych, a następnie także od dostawców internetu.

Zadanie połączenia Doliny Krzemowej z wojskiem i służbami bezpieczeństwa nie było szczególnie trudne. Państwo amerykańskie potrzebowało analiz danych, a analitycy chcieli zyskać dostęp do nieograniczonych środków z budżetu obrony. W ten sposób na styku polityki bezpieczeństwa i technologii wojskowych powstał quasi-autorytarny obszar, zarządzany przez wielki kapitał i państwo. Jednocześnie wyłonił się nowy paradygmat Doliny Krzemowej, w którym mieszczą się zarówno militaryzacja technologii, wiara w wyjątkowość Zachodu, libertarianizm, filozofia Ayn Rand, jak i elementy mitologii Tolkiena.

Algorytmy versus kreatywność

Algorytmy uczenia maszynowego opierają się na uchwyceniu korelacji pomiędzy zjawiskami, nie potrafią jednak zrozumieć przyczynowości. Jednym z podstawowych błędów takiej perspektywy jest przekształcanie korelacji w przyczynowość. Jeśli np. osoby, które regularnie podróżują, częściej wchodzą w nowe związki, nie oznacza to, że istnieje związek przyczynowo-skutkowy pomiędzy podróżowaniem a trwałością relacji miłosnych czy gotowością do inicjowania nowych. Wydobywając rozmaite dane, uczenie maszynowe może ustanowić w zasadzie dowolny, arbitralny rodzaj korelacji, a następnie przedstawić go jako związek przyczynowo-skutkowy. Algorytmy obsesyjnie „dopasowują krzywą", wytwarzając rozmaite korelacje bez podawania wyjaśnień. Dlatego sztuczna inteligencja nie ma głębszego wglądu w pewne zjawiska, nie rozumie ich i nie może wyjaśnić.

Uznawanie korelacji za związki przyczynowo-skutkowe staje się niebezpieczne wtedy, kiedy wchodzimy w obszar przewidywania przyszłości, czyli algorytmicznej predykcji. Skoro algorytmy sztucznej inteligencji stosowane są w procedurach granicznych – w kryminalistyce i do podejmowania decyzji w sytuacji wojennej – może się okazać, że działania wyprzedzające, które stanowią odpowiedź na rozmaite predykcje, są całkowicie nietrafione i fałszywie tworzą podejrzanych, kryminalizują niewinnych czy wskazują błędne cele ataku.

Równie ryzykowne jest zawierzenie naszej przyszłości sztucznej inteligencji, która tylko odtwarza przeszłe wzorce, a nie może wykryć tego, co nowe. W ten sposób niweluje innowacje, a dodatkowo opiera swoje wizje przyszłości na korelacji zjawisk z przeszłości.

W takiej sytuacji niezwykle ważne staje się odwołanie do kreatywności i sprawczości ludzkiej. To człowiek może wyjaśnić relacje przyczynowo-skutkowe między zjawiskami i stworzyć plan, w którym, przechodząc od punktu do punktu, będziemy zmierzać do realizacji przyszłości, jakiej naprawdę chcemy. To ludzka wyobraźnia może wytworzyć obrazy czy wizje wcześniej niewyobrażone, a ludzka myśl – idee wcześniej niepomyślane.

Kiedy używamy w tytule naszej wystawy wyrażenia „poza doliną", zależy nam na wyjściu poza wyobrażeniowe ramy stworzone przez firmy, dyskurs i praktyki Doliny Krzemowej. A także na tym, by bezustannie pracować z poszerzaniem granic własnej wyobraźni, rozciąganiem jej, twórczym kwestionowaniem oczywistości – nie tylko w celu odsłaniania niesprawiedliwości i relacji władzy, ale też po to, by tworzyć pole dla potencjalności, twórczych praktyk i idei. By wychodzić poza dolinę naszej wyobraźni, sprawdzać i testować to, co wydaje się nieprawdopodobne, nieosiągalne, alternatywne, niezgodne z istniejącym paradygmatem, a co pozwala myśleć o lepszym świecie, poza mrokiem, poza apokaliptyczno-katastroficzną doliną.

Takie praktyki, prototypy, idee, spekulacje i wyobrażenia znajdziecie na naszej wystawie i w naszym programie publicznym. Szczególnie chcemy wskazać na dwie alternatywy, które odpowiadają na wyzwania związane z kompleksem przemysłowym centrów danych oraz tym, co Nick Couldry i Ulises Ali Mejias nazywają kolonializmem danych.

Ogrody pełne kodów

Wyobraźmy sobie, że zamiast centrów danych, w których przechowywane są informacje zapisane w postaci kodu binarnego, zaczniemy skutecznie i efektywnie kodować dane – teksty, filmy, fotografie, dźwięki – w DNA roślin lub innych organizmów. W DNA zakodowane zostały już utwory Milesa Davisa, mowa Martina Luthera Kinga Jr. „I Have a Dream", fotografie, sonety Szekspira, wirus komputerowy i wiele innych informacji. Zamiast ponad 8 tysięcy centrów danych, zużywających bezcenne zasoby wody i generujących duży ślad węglowy, moglibyśmy tworzyć ogrody-archiwa, w których przechowywane byłyby nasze prywatne dane. A także palmiarnie ↦

Cyrus Clarke, Monika Seyfried, „Grow Your Own Cloud". Instalacja Ogród Danych, SXSW 2020 (fragment)

↦ danych, w których gromadzona byłaby wiedza kluczowa dla ludzkości.

Jeden gram DNA pozwala na zakodowanie około miliona gigabajtów danych. Oznacza to, jak pisze Mél Hogan, że wszystkie dane, które aktualnie wytwarzamy na całym świecie, zmieściłyby się w pojemniku wielkości bagażnika samochodowego. Co więcej, zamrożone DNA jest bardzo trwałe i może być przechowywane przez 2 miliony lat. Tę możliwość eksploruje pokazywana na wystawie praca kolektywu Grow Your Own Cloud „Data Garden".

O ile przechowywanie danych w organizmach roślinnych stanowi odpowiedź na wyzwania związane z materialną infrastrukturą internetu, o tyle Couldry i Mejias proponują, by na zjawisko kolonializmu danych odpowiedzieć strategiami i taktykami wykorzystywanymi w ramach ruchów dekolonizacyjnych. Postrzegają oni ekstrakcję (wydobycie) wartości z ludzkiego życia za pośrednictwem danych jako praktykę wpisaną w pięćsetletnią historię kolonializmu. Sytuują ją w perspektywie długiego trwania (*longue durée*) i pokazują, w jaki sposób akumulacja przez wywłaszczenie (pojęcie zaproponowane przez Davida Harveya) dotyczyć może zarówno grabieży ziemi, zawłaszczenia zasobów naturalnych, ziemi i pracy, jak i danych.

Zawłaszczenie danych – wydobytych z życia ludzkiego – w tym podobne jest do zawłaszczenia ziemi, że tu i tu ktoś (Google lub konkwistadorzy) rości sobie prawo do rzekomo niczyich zasobów – ziemi (w społecznościach bez prawa własności) lub danych (m.in. śladu cyfrowego, który pozostał po naszych aktywnościach w sieci). Dane, podobnie jak ziemia, przedstawiane są jako niczyje, „leżące odłogiem", możliwe do przejęcia wraz z podpisaniem przez użytkownika deklaracji zrzeczenia się własności (o ile wytwarzamy lub przechowujemy je w ramach usług platform cyfrowych).

Dla Couldry'ego i Mejiasa ekstraktywizm i kolonializm danych stanowią zjawisko pierwotne wobec kapitalizmu – nowy etap kolonializmu. Autorzy ci namawiają do krytycznego przyjrzenia się wymówkom i usprawiedliwieniom, które miały uzasadniać masową ekstrakcję surowców naturalnych i – analogicznie – pojawiają się dzisiaj w kontekście ekstrakcji danych. Są to: racjonalność, progres, porządek, nauka, nowoczesność, zbawienie. Towarzyszą im przekonania (prezentowane jako oczywiste i bezdyskusyjne), że bez gromadzenia danych świat nie będzie mógł się rozwijać, nie będzie rozumiany, sensownie zarządzany, a w końcu – np. w kontekście katastrofy klimatycznej – nie zostanie ocalony.

Dekolonizacja danych

Odpowiedzią na takie rozpoznanie jest praca wyobraźni w skali globalnej. Wszystkie strategie dekolonizacyjne były zawsze aktami wyobraźni, dlatego teraz również tak ważne jest stworzenie alternatywnych wyobrażeń związanych z danymi i technologiami.

Couldry i Mejias proponują, by powołać ruch technologii niezaangażowanych, który m.in. bojkotowałby technologie ekstraktywistyczne i stosował alternatywne technologie, prowadziłby do niekupowania lub nieakceptowania „darmowych" produktów monopolistów cyfrowych. Odzyskiwałby także dane w imieniu tych, którzy je stworzyli, wprowadzałby podatki i sankcje wobec Big Techów, by w ten sposób naprawić szkody wyrządzone przez ich technologie. Do tego pracowałby nad nową wyobraźnią i nowymi formami społeczności bez technologii ekstraktywistycznych i związanych z nimi poważnych kosztów oraz tworzyłby globalną solidarność.

Te pomysły stanowić mogą punkt wyjścia do własnych eksperymentów z alternatywami technologicznymi: do tworzenia nowych idei, prototypów, organizacji i kolektywów zdolnych budować nowy – demokratyczny, sprawiedliwszy i równiejszy – świat. Jedno wiemy na pewno – w tym świecie technologie kształtować będą większość zjawisk politycznych, egzystencjalnych, społecznych, ekologicznych i ekonomicznych. Od nas zależy, w jaki sposób go urządzimy.

© BARTOSZ FRĄCKOWIAK, PAWEŁ WODZIŃSKI

3 czerwca 2022 r. o godz. 19.00 w przestrzeni Domów Towarowych Wars Sawa Junior (ul. Marszałkowska 104/122) otwarta zostanie **druga edycja Biennale Warszawa**, poświęcona splotowi władzy, kapitału i technologii. W wystawie i programie weźmie udział 50 osób i kolektywów, które pokażą 25 prac. Wystawa czynna od wtorku do niedzieli w godz. 12.00–20.00 i potrwa do 17 lipca. Bilety dostępne na stronie: biennalewarszawa.pl, w aplikacji GoOut i stacjonarnie.

Więcej informacji na **2022.biennalewarszawa.pl**

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 23/2022
REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Jacek Taran | SKŁAD: Zuzanna Kardyś | OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
Wszystkie teksty w dodatku na licencji CC BY-NC-ND 4.0.
OKŁADKA I ZDJĘCIA: Cyrus Clarke, Monika Seyfried, „Grow Your Own Cloud". Instalacja Ogród Danych, SXSW 2020 FOT. DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTÓW

PARTNERZY

PUBLIKACJA POWSTAŁA WE WSPÓŁPRACY Z FUNDACJĄ IM. HEINRICHA BÖLLA W WARSZAWIE

Kto (i czym) nas karmi?

WERONIKA KORALEWSKA

Choć Microsoft, Google, Amazon czy Facebook kojarzą się z branżą IT, wkrótce wpłyną także na to, co... na naszych talerzach. Przy okazji wzmocnią model systemu rolno-spożywczego, który już dawno nadawał się do fundamentalnej przebudowy.

Microsoft i firmy produkujące ciągniki? Nieoczywiste zestawienie, prawda? Platforma Azure FarmBeats, której właścicielem jest właśnie Microsoft, zapewnia rolnikom m.in. dane o pogodzie. Oni natomiast dostarczają im szczegółowych danych o swoim gospodarstwie, uprawach, glebie. Microsoft, współpracując z firmami produkującymi ciągniki i drony, przekazuje im niezwykle cenne informacje, pozwalające na odpowiednie „profilowanie" przy przygotowywaniu ofert sprzedażowych. Przy okazji dając także dostęp do działających na mniejszą skalę rolników, nieobecnych wcześniej w bazach danych.

Innym przykładem może być Bayer (jedna z wiodących firm w sektorze agrochemikaliów), który korzysta z usług Amazona. Zatem gracz, który promuje przemysłowe rolnictwo cyfrowe, oparte na wielkoobszarowych monokulturach i stosowaniu agrochemikaliów, współpracuje z firmą, która z kolei ma dostęp do konsumentów. To tylko niektóre przykłady zacieśniania sieci powiązań między korporacjami sprzedającymi rolnikom produkty a firmami mającymi kontrolę nad danymi oraz (poprzez konkretne algorytmy) silny wpływ na wybory konsumenckie.

Rolnictwo precyzyjne?

Oparte na cyfryzacji rolnictwo precyzyjne przedstawiane jest przez wielkie korporacje jako odpowiedź na problemy ekologiczne oraz wykluczenie technologiczne rolników. Dzięki zdalnym pomiarom parametrów upraw rzekomo możliwe będzie ograniczenie ilości szkodliwych dla zdrowia oraz ekosystemów agrochemikaliów. Specjalne czujniki mają jakoby doradzać rolnikom, w którym miejscu na polu potrzebnych jest więcej środków chemicznych. Należy jednak pamiętać, że firmy kontrolujące dane rolników współpracują ściśle z sektorem chemicznym. Powstaje więc pytanie: czy na pewno chodzi im o dobro ziemi oraz ludzi? A może jednak o interesy finansowe podmiotów, które, koniec końców, dążą do maksymalizacji zysków, a więc do jak największej sprzedaży agrochemikaliów?

Ekspansja idei cyfrowego rolnictwa precyzyjnego przebiega nie tylko pod pretekstem ekologii. Przykładowo, włączanie małych, rozproszonych rolników do systemu wielkich platform ma służyć jedynie samym rolnikom. W rzeczywistości jednak zapewnia większy dostęp do nowych rynków i klientów. Firmy, poprzez owe platformy, dają rolnikom nie tylko „rady" na temat pogody oraz ilości pestycydów, ale również kupony rabatowe na zakup konkretnych marek chemikaliów. Okazuje się, że obietnica rolnictwa „racjonalnego" i „efektywnego" skutkuje, owszem, większą efektywnością systemu, ale także zapewnia wymierne korzyści finansowe dla firm, które go kontrolują – niekoniecznie zaś samym rolnikom czy konsumentom.

Jaki system żywnościowy?

Obietnice cyfrowego rolnictwa przemysłowego, skonfrontowane z badaniami, okazują się wyłącznie trikami marketingowymi. Przy tak ogromnym nakładzie energii i technologii (systemy monitorowania, drony, serwery scentralizowanych platform z danymi) stosowanie rolnictwa precyzyjnego pozwala zmniejszyć zużycie pestycydów o... 5 proc. Dodajmy, że rolnictwo organiczne zmniejsza je o 100 proc., bo po prostu ich nie stosuje. To kolejny argument za tym, że rolnictwo precyzyjne jest „efektywne" jedynie dla firm, które na nim zarabiają.

Wizja przyszłości, kreślona przez firmy związane z przemysłowym rolnictwem precyzyjnym, utwierdza jedynie decydentów oraz opinię publiczną w przekonaniu, że w systemie rolno-spożywczym fundamentalne zmiany nie są konieczne. Wystarczy tylko odpowiednio zaprogramować drony, by dokładniej dozowały szkodliwe pestycydy, oraz oddać kontrolę nad traktorami sztucznej inteligencji. W rzeczywistości system rolniczy oparty na wielkoobszarowych monokulturach, chemikaliach i przemysłowej hodowli zwierząt prowadzi do wymierania gatunków, pustoszenia ekosystemów i zmian klimatu. Natomiast dobrze zarządzane systemy oparte na zasadach agroekologii zapewniają nie tylko dużo lepsze ilościowo i odżywczo plony, ale także wspierają glebę oraz całe ekosystemy.

Co karmi, co szkodzi?

Przemysłowe, monokulturowe i oparte na chemikaliach rolnictwo wyrosło z chełpliwej ambicji totalnej kontroli nad systemami biologicznymi. A teraz, przez wkroczenie wielkich platform cyfrowych, zyskało dodatkową, groźną aspirację kontroli danych oraz konsolidacji władzy finansowej nad systemem, który – dosłownie oraz w przenośni – nas karmi.

Każdy rozwój, zarówno osobisty, jak i cywilizacyjny, powinien mieć dwa zasadnicze wymiary. Po pierwsze, kreowanie nowych zasobów, wynalazków, pomysłów. Po drugie (i może ważniejsze), porzucanie starych wzorców, strategii i założeń, które nam nie służą. W taki sposób warto również spojrzeć na systemy rolno-spożywcze. Oprócz wprowadzania nowości, kluczowe dla naszego funkcjonowania jest zrezygnowanie ze szkodliwych strategii z przeszłości. A należy do nich monokulturowe rolnictwo przemysłowe, które to, będąc *de facto* jedynie eksperymentem ostatnich kilkunastu dekad, nie służy ani zdrowiu ludzkiemu, ani ekosystemom. Może zatem warto zwrócić się ku zasadom agroekologii? ©

Podczas pisania tekstu korzystałam z dwóch raportów:

- „Greenwashing & high tech! Faking it: (un-)sustainable solutions for agriculture" autorstwa Andrei Beste;
- „Digital control: how Big Tech moves into food and farming (and what it means)" wydanego przez organizację GRAIN.

Zapraszamy na debatę **„AI na traktory?"**, która odbędzie się **12 czerwca** w ramach programu Biennale Warszawa 2022.

ŚNI MI SIĘ NIE MÓJ STRACH

KATARZYNA SURMIAK-DOMAŃSKA, REPORTERKA:

Na rozmowę o rzezi wołyńsko-galicyjskiej nigdy nie ma dobrego czasu. Ale zawsze jest dobry czas, by mówić, jak zła jest odpowiedzialność zbiorowa i patrzenie na człowieka tylko przez pryzmat narodu.

ANNA GOC: „Dokładnie tak jak u mnie rysuje się u niej linia włosów nad czołem" – piszesz w „Czystce" o swojej babci Franciszce Surmiak. Na początku miała to być książka właśnie o niej. Dlaczego?

KATARZYNA SURMIAK-DOMAŃSKA: Chciałam ją po prostu lepiej poznać. Franciszka zmarła, zanim się urodziłam. Ojciec rzadko ją wspominał. Jeśli dopytywałam, zasłaniał się niepamięcią albo powtarzał w kółko te same anegdotki. Dziwiłam się: jak można nie pamiętać własnej matki?

Wiedziałam, że babcia zmarła w szpitalu psychiatrycznym, 20 lat po wojnie, ale długo nie łączyłam jej choroby z traumami wojennymi. Dziwne, prawda?

Jak myślisz, dlaczego?

Kiedy piszę reportaże o życiu innych ludzi, zwykle dość sprawnie idzie mi analizowanie, łączenie faktów, stawianie pytań. Kiedy wzięłam na warsztat własną historię, okazało się, że to wcale nie takie proste. Jakby mnie ktoś zaczarował.

Babcia – powtarzał Twój ojciec – „prasowała bez żelazka". Były w waszym domu zdania, które, jak zasłony, oddzielały od kryjących się za nimi wydarzeń.

Wyobrażałam sobie czasem babcię, jak kładzie na desce koszulę i przesuwa nad nią pustą dłoń. Myślałam, że po prostu zrobiło się jej tak na starość. Takich zdań było więcej. Ojciec mówi zwykle zdecydowanym głosem, stanowczo i dość głośno. Jednak gdy wspominał dzieciństwo, Dębiankę pod Lwowem, gdzie spędził II wojnę światową, tembr głosu wyraźnie mu się zmieniał. Na taki rozanielony. Jakby tata opowiadał bajkę. Mówił: „Tam, w Dębiance, ooo, w Dębiance, to mieliśmy ogród, pole, jeziorko. Boże, jak tam było pięknie". Gdy byłam mała, zazdrościłam mu tych wspomnień. Ganiali po łąkach, piekli ziemniaki w ognisku. Kiedy nauczyłam się czytać, ojciec kupił mi „Dzieci z Bullerbyn". Wyobrażałam sobie, że to książka o ojcu i jego młodszym rodzeństwie – cioci Jadzi, wujku Alku.

Kogo usypiał tym tonem Twój ojciec?

Niedawno doszłam do wniosku, że moją czujność. Może nie chciał, żebym zadawała więcej pytań? Ojciec musiał być w dzieciństwie świadkiem straszliwych rzeczy, niektórych nigdy z niego nie wyciągnę. Wiem przecież, że w jego okolicy ukraińscy nacjonaliści mordowali ludzi. Do naszego domu wprowadził się Ukrainiec Pyłyp, banderowiec, członek UPA, z rodziną. Przychodzili do nich inni banderowcy z lasu, grali w karty, pili wódkę, śpiewali antypolskie pieśni, przechwalali się, ile wybili Lachów. W drugim pokoju spała moja babcia z dziećmi. Nie wiem, co się tam dokładnie działo, co ją spotkało. Dziadek był na robotach w Niemczech.

Ostatnio pewna psycholożka zwróciła mi uwagę, że baśniowy ton jest potrzebny mojemu ojcu także po to, by uśpić jego wewnętrzne dziecko. Małego Bronusia z Dębianki. Usypia go, żeby nie cierpiał więcej.

„Nie lała się krew, tylko Rózia miała małą czerwoną kropelkę na brzuszku" – przytaczasz w „Czystce" i to zdanie Twojego ojca.

„Kropelka" na „brzuszku". Dwa zdrobnienia w jednym zdaniu. Nawet ono brzmi jak wyjęte z bajki. A przecież jest o tym, że umiera siostra mojej babci, ukochana ciocia Bronusia. Ojciec opowiadał o tym zawsze tak samo: znalazł ciocię Rózię w sieni, w białej koszuli, w poświacie księżyca, a ona miała „czerwoną kropelkę na brzuszku". Sprawdziłam: tamtej nocy we wrześniu 1943 r. rzeczywiście była pełnia.

Katarzyna Surmiak-Domańska, Warszawa, 27 maja 2022 r.

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

↦ A wiesz, jak ojciec mówi na upowców? „Bandziorki". Tacy bandyci z bajeczki. Być może dzięki temu łatwiej udawało mu się odciąć od przeszłości. Bajki przecież nie mają wiele wspólnego z prawdziwym życiem.

Te miały.

Ojciec nie ukrywał przede mną faktów, ukrywał ich znaczenie. Czasami ktoś pyta, dlaczego tak późno zabrałam się za opisanie, a właściwie odkrywanie własnej historii. Odpowiadam, że ja przez całe życie nie wyobrażałam sobie, że te zasłony można rozsunąć, że za nimi kryje się coś istotnego. Do tego potrzeba czasu.

Najważniejsza z opowiadanych scenek to ta, gdy w sierpniu 1944 r. tata wracał ze swoją matką ze Lwowa do Dębianki. W domu została jego siostra, sześcioletnia Jadzia. Szli piechotą. Po drodze spotkali Ukraińca, który im powiedział, że w Dębiance „płonie". Ojciec wspomina tę scenę zawsze tak samo: „Wtedy zrozumiałem, że pali się nasz dom. Takie miałem przeczucie. I czułem, że ten Ukrainiec wie, że my jesteśmy z tego domu".

Wyobrażałaś sobie tę scenę?

Za każdym razem, gdy o niej myślałam, wyobrażałam sobie ojca jako dorosłego mężczyznę, a nie jedenastolatka. Wiele razy pytałam go: „Ale jak zareagowała babcia?", ojciec zawsze mnie zbywał: „No a jak miała zareagować?". Teraz, w związku z pracą nad książką, postanowiłam docisnąć go w tej kwestii. Mówię: „Tata, przecież tam w waszym domu mogła się spalić ciocia Jadzia, prawda? Mieliście przed sobą co najmniej dwie godziny drogi. Czy babcia wpadła w panikę, zaczęła biec na złamanie karku?". I wtedy wreszcie usłyszałam cichutkie zdanie: „Mama już w ogóle nie reagowała. Tak jakby to do niej nie docierało. Nie była już sobą". Głos się tacie załamał. Pierwszy raz. Wystraszyłam się, że coś w nim otworzyłam i nie będę wiedziała, co z tym zrobić. To było trochę tak, jakby runął cały misternie budowany przekaz o beztroskim dzieciństwie. Jak w palimpseście, zaczęło prześwitywać coś nowego, strasznego.

Co się wyłoniło?

Groza. Samotność, bezradność dziecka, świadomość, że nie ma przy nim żadnego dorosłego, który w tym strasznym czasie wziąłby na siebie ciężar podejmowania decyzji.

Dostaję sporo sygnałów od czytelników, którzy opowiadają o swoich domach i zamieszkałych je tajemnicach. Oni też nie znają historii swoich przodków, ale czują ich lęki.

Jadwiga, siostra Twojego ojca, przeżyła, ale rodzina musiała zdecydować, co dalej, bo sytuacja była coraz bardziej niebezpieczna.

Gdy ojciec z babcią dotarli do wsi, nasz dom właśnie kończył się palić. Ciocia Jadzia na szczęście siedziała bezpieczna w ogrodzie obok zgliszczy. Okazało się jednak, że jest problem z noclegiem, bo upowcy zarządzili, że odtąd żaden Polak nie ma prawa spędzić w Dębiance nocy. Ostatecznie, dzięki wstawiennictwu owego Pyłypa, który u nas pomieszkiwał, ktoś udzielił France i dzieciom schronienia na jedną noc. Nazajutrz powędrowali do krewnych, do Lwowa, a wkrótce ruszyli na Ziemie Odzyskane. Ciocia Jadzia do dziś zastanawia się, jak to możliwe, że ich nie zamordowano.

Pierwsza wersja naszej rozmowy miała się ukazać pod koniec lutego, ale wtedy Rosja zaatakowała Ukrainę. To nie był dobry czas, by wracać do trudnej historii polsko-ukraińskiej. Kiedykolwiek był?

Na rozmowę o czystce etnicznej na Wołyniu i w Galicji Wschodniej nigdy nie było dobrego czasu. Dziś, rzecz jasna, tym bardziej. Ale zawsze jest dobry czas, by mówić, jak zła jest odpowiedzialność zbiorowa i patrzenie na człowieka przez pryzmat narodu, do którego jest wpisany.

W czasach peerelowskiej subordynacji wobec ZSRR rzeź wołyńsko-galicyjska była tematem tabu. Niebezpiecznie zahaczała o kwestię utraconych na rzecz ZSRR Kresów. Narrację powojenną zdominował temat krzywd, których etniczni Polacy doświadczyli z rąk hitlerowców. Do naszych szkół często przychodzili kombatanci, żeby wspominać wojnę. Raz nawet na koloniach letnich mieliśmy spotkanie z byłym więźniem Auschwitz, który był świadkiem tego, jak Maksymilian Kolbe zgłosił się na śmierć głodową za współwięźnia. Opowiadał dziesięciolatkom, jak wygląda umieranie z głodu.

Inne traumy wojenne: Żydów, Sybiraków, kresowiaków, gwałconych przez Armię Czerwoną kobiet, były przemilczane. Tych ludzi nikt nie zapraszał na szkolne apele. Mój ojciec wpadł do worka z traumami gorszymi: niepoprawnymi politycznie, niegodnymi i nieważnymi.

Książka o babci Franciszce zmieniła się w książkę o przekazywaniu traum między pokoleniami. Kiedy się zorientowałaś, że tak jest?

W dzieciństwie miałam problem neurologiczny, który polegał na tym, że nagle zastygałam. Można mnie było szturchnąć, a ja nic. Wracałam do rzeczywistości po kilkunastu sekundach. Strasznie się tego wstydziłam. Wspomnienie tych niezrozumiałych dla mnie momentów wróciło niedawno, gdy dowiedziałam się, że babcia Franciszka także miała podobne stany zawieszenia. Tylko że u niej to się wiązało z uciekaniem. Po prostu wychodziła z domu i szła przed siebie. Przyszło mi do głowy, że być może odziedziczyłam tę skłonność, czy też sposób reagowania na stres, po babci. Ale jak to możliwe? Przecież nawet jej nie znałam. Chodziłam z tym przez wiele dni, nie potrafiłam dokończyć rozdziału. W końcu wpadłam na coś przecież oczywistego, że traumę przekazała mi nie babcia, tylko ojciec. Dziś wiem, że traumy można dziedziczyć nie tylko genetycznie, ale poprzez samo przebywanie z osobą po przejściach. Tylko że mnie nie przyszło do głowy, że tata może nosić w sobie jakąkolwiek traumę. Do niego to słowo zupełnie nie pasuje.

Najlepszym, najnaturalniejszym sposobem przepracowywania doświadczenia granicznego jest opowiedzenie o nim bliskiej osobie, która nas wysłucha, zrozumie i przytuli. Z tym, że ta osoba musi być od nas silniejsza. Silniejsza przez to, że nie przeszła przez to, co my, jej odporność nie jest wyczerpana. Mój ojciec z osób dorosłych miał obok tylko mamę, a ona zachowywała się, jakby do niej nie docierało to, co się dzieje. To on, jako najstarszy z dzieci, przejął w pewnym stopniu rolę dowódcy w rodzinie. I chyba nigdy z tej roli nie wyszedł. Może dlatego nasz dom był inny niż domy moich rówieśników.

To znaczy?

To był dom zamknięty. Ludzie poza domem byli podejrzani: „Do kogo idziesz?", „Po co? Nie masz własnego domu?". Jako jedyne dziecko z mojego podwórka nie chodziłam do przedszkola. Przedszkole oznaczało „zostawić dziecko obcym ludziom", pójść na prywatkę – „włóczyć się po obcych". Ciągłe poczucie zagrożenia, które czai się gdzieś tam na zewnątrz.

Niewypowiedziane historie zadomawiają się w gestach, w lęku przed czymś, w ostrzeżeniach, które są przekazywane kolejnym pokoleniom. Jak to odbierałaś?

Dla mnie zagrożenie tkwiło w domu. Kryło się w nieobliczalności ojca, jego zmiennych nastrojach. Odkrywanie rodzinnej historii zaprowadziło mnie do miejsca, w którym przyznałam się czytelnikom, że ojciec stosował wobec mnie przemoc fizyczną. Wstydliwe są to rzeczy, ale tej historii nie dało się opowiedzieć bez nich. Niektórzy czytelnicy zwierzają mi się, że ich rodzice czy dziadkowie, którzy przeżyli wojnę, również mieli problemy z agresją.

Mam tu fragment książki Jensa Orbacka „Gdy inni świętowali zwycięstwo. Historia mojej matki". Autor jest Szwedem, synem Niemki, która w 1945 r. była wielokrotnie zgwałcona przez radzieckich żołnierzy. Orback odkrywa to, gdy jest już dorosły. Pisze tak: „Leżę ze swoją córeczką. Nocą córka zakrada się do mnie na paluszkach. Często tak robi. Niedawno skończyła pięć lat. Na wpół śpiąca kładzie się do mojego łóżka i we mnie wtula. Czy przekazujemy sobie tylko ciepło? Czym jest to, czego nie potrafię wyrazić słowami? Przez skórę przechodzą minione lata, moje życie, życie moich rodziców i życie ich rodziców. Czas gromadzi się pod skórą, ale ta ciągle oddycha, a dzięki porom i pęknięciom być może dowiemy się wreszcie, kim jesteśmy naprawdę".

Orback chce powiedzieć, że traumę można przekazać także poprzez milczenie. Podobno wyparte traumy wracają silniej, gdy sami zostajemy rodzicami. Pojawia się lęk. I uruchamiają się stare sposoby radzenia sobie z niebezpieczeństwem – tym dawnym, realnym.

Pytałam psychiatrę, dlaczego ludzie nie mówią o tym, co ich spotkało.

KATARZYNA SURMIAK-DOMAŃSKA
– reporterka, od 1997 r. związana z „Gazetą Wyborczą".

▪ Jej pierwsze książki, **„Beznadziejna ucieczka przed Basią" (2007) oraz „Żyletka" (2011),** to zbiory reportaży. „Pokazują, jak w rodzinie reprodukowana jest przemoc wobec siebie i innych. I miłość. Niekiedy bywają one splątane tak, że tytułowa żyletka nie jest w stanie przeciąć, odciąć ani wyciąć tego, co boli" – pisała o tym drugim Joanna Bator.

▪ **„Mokradełko" (2012)** to opowieść reporterska o Halszce Opfer, która opisuje w swojej książce, że była molestowana seksualnie przez ojca, a potem mierzy się z reakcjami otoczenia. Znalazła się w finale Nagrody Literackiej Nike. „»Nie chciałaby pani się dowiedzieć prawdy?« – pyta Surmiak-Domańska swoją bohaterkę, a ta odpowiada jej pytaniem: »A skąd pani weźmie prawdę?«. Myślę, że to zdanie charakteryzuje sytuację egzystencjalną nie tylko bohaterów »Mokradełka«" – pisał o książce Mariusz Szczygieł.

▪ **„Ku Klux Klan. Tu mieszka miłość" (2015)** to reportaż z USA, nominowany do Nagrody Literackiej Nike, Nagrody im. Beaty Pawlak i Nagrody im. R. Kapuścińskiego.

▪ **„Kieślowski. Zbliżenie" (2018)** to z kolei reportaż biograficzny, wyróżniony Nagrodą „Newsweeka" im. Teresy Torańskiej.

▪ W uznanej za książkę roku 2021 przez „Książki. Magazyn do Czytania" **„Czystce" (2021)** Surmiak-Domańska odkrywa i opisuje historię swojej rodziny.

Dlaczego nie zawsze czują ulgę, że mogą coś z siebie zrzucić, przed kimś się otworzyć. „Żeby przeżyć" – odpowiedział.

Myślę, że mój ojciec ucieka przed wspomnieniem swojej matki, bo jest zbyt bolesne. Nie musi to być jego świadoma decyzja.

20 lat temu w dramatycznych okolicznościach zginął mój mąż. Kiedy tuż po tym zaczęłam w myślach wizualizować sobie to, co się stało, poczułam się, jakbym obsuwała się w przepaść. Pojawił się głos: „Nie myśl o tym". Po prostu „nie myśl". Przestałam więc myśleć. Być może dzięki temu przetrwałam, a razem ze mną nasza trzymiesięczna córka. Organizm pompuje w nas w takich sytuacjach bardzo dużo adrenaliny. To jest paskudna zmyłka. Czujesz się silna, a to kłóci się z przeżyciem rozpaczy. Potem adrenalina opada i nagle robi się strasznie. Być może mój ojciec myślał, że na swojej adrenalinie dojedzie do końca życia. „Nie myśleć, wyprzeć, byle do przodu". I być może właśnie dlatego zawsze mi powtarzał, że nie wolno się nad sobą rozczulać. Rozczulać się znaczy stracić siłę, trzeźwy osąd sytuacji, umiejętność podjęcia decyzji – kluczowe rzeczy, potrzebne, by przeżyć.

To dziwne „coś", nieopowiedziane traumy, przemilczane wojenne tematy są stale obecne w wielu domach.

Dostaję sporo sygnałów od czytelników „Czystki", którzy opowiadają o swoich domach i zamieszkałych je tajemnicach. Oni też nie znają historii swoich przodków, ale czują ich lęki. To dla mnie bardzo ważne, bo miałam nadzieję, że to, o czym piszę, jest nie tylko historią mojej rodziny, lecz ma pewną wartość uniwersalną. Że to w pewnym sensie doświadczenie pokoleniowe.

Teraz, w czasie wojny rosyjsko-ukraińskiej, przyjmujemy Ukraińców w naszych domach. Pomagamy im, tworzy się między nami serdeczność, solidarność. Na dawne toksyczne doświadczenia nakłada się nowe, budujące. Tak sobie myślę, że te spotkania to najlepszy sposób na przepracowanie historycznych animozji, na odczarowanie naszych wyobrażeń o sobie nawzajem. To więcej, niż mogłaby zrobić jakakolwiek konferencja pokojowa, uroczystość rocznicowa czy pomnik. ↦

Trzy lata temu, gdy zbierałaś materiał do książki, pojechałaś do Dębianki.

Okazało się, że na fundamentach naszego spalonego domu ów Ukrainiec, który pomieszkiwał u mojej babci w czasie wojny, zbudował własny dom. Dziś mieszka tam jedna z jego córek, urodzona w latach 50. Przyjęła mnie bardzo serdecznie. Podobno jej ojciec zawsze ciepło wspominał moją babcię. O jeziorku za domem, w którym mój tata, stryj i ciocia kąpali się jako dzieci, mówi się tu do dzisiaj „Jezioro Franki". Druga córka od lat żyje w Warszawie, dorabia do skromnej ukraińskiej emerytury, nie chce być ciężarem dla swoich dzieci. Ją też odwiedziłam i ona również ucieszyła się z mojej wizyty. Poprosiła mnie o pomoc w znalezieniu pracy w Polsce dla kogoś z krewnych. Pomyślałam: fantastycznie, życie toczy się dalej. 80 lat temu za kontakt z Polką groziłaby jej śmierć. Każdy koszmar jednak kiedyś się kończy.

Żadna z córek najwyraźniej nie miała pojęcia, czym ich ojciec zajmował się w czasie wojny. W ich domach również wybrano milczenie.

Wojna chyba nas do siebie zbliżyła, a zachowania antyukraińskie są marginalne.

Ta wojna przytłacza swoim okrucieństwem, barbarzyństwem. Staram się jednak myśleć także o tym, co dzięki niej wydarzyło się nowego, pozytywnego. Nowa jest skala solidarności pomiędzy sąsiadującymi państwami, otwarcie granic, domów dla obcych przecież ludzi. Tak, wiem, że uchodźców z dalekich krajów, nie mniej potrzebujących, niestety traktujemy generalnie gorzej; że z Ukraińcami łączy nas dzisiaj wspólny strach, więc stąd może również ta gorliwość w pomaganiu. Ale mimo wszystko. To, co dzieje się teraz na linii Polacy–Ukraińcy, już stało się ważnym precedensem, ustalony został nowy standard sąsiedzkiego zachowania w kryzysie. Świat na pewnym odcinku zmienił się odrobinkę na lepsze.

Zastanawiałam się, czy gdyby wojna zastała mnie w czasie pisania książki, to czy miałabym opory, żeby ją dokończyć. Myślę, że nie. Być może dodałabym aktualne wątki, ale niczego bym nie zmieniła.

Obawiałaś się jej odczytania?

Ta wojna przytłacza okrucieństwem.
Staram się jednak myśleć także o tym, co dzięki niej wydarzyło się nowego, pozytywnego.

Temat rzezi wołyńsko-galicyjskiej został zawłaszczony przez narodowców i próbuje się go zaprząc do pseudopatriotycznego zrywu, który jest dla mnie zrywem diabelskim. Ani mój ojciec, ani ja oczywiście się z tym nie identyfikujemy. A przecież jeżeli ktoś z Polaków miałby prawo dziś żywić jakieś uprzedzenia względem ludzi mówiących po ukraińsku, to właśnie tacy ludzie jak mój tata.

Dobitnie podkreśliłam w książce, że temat antypolonizmu i zbiorowego męczeństwa Polaków mnie nie interesuje. W ogóle pojęcie „naród" niewiele dla mnie znaczy. Żaden naród nie jest monolitem, a już nasz zwłaszcza. Bardziej niż naród interesuje mnie człowiek. W „Czystce" nie szukam swoich korzeni, tożsamości. Szukam samoświadomości. Rozumiem ją jako zbiór doświadczeń i osobowości moich przodków, które na różne sposoby zostały mi przekazane, które mnie budują.

Piszesz w „Czystce", że „Wołyń" Wojciecha Smarzowskiego Twojego ojca rozgniewał.

Poszłam na film z rodzicami i moją córką. Gdy seans się skończył, czekałam z niepokojem, co powie ojciec. A on w pierwszym odruchu skupił się na krytykowaniu scenografii. Ogrody źle pokazane, chaty nie takie. Tamte ziemie były przecież piękne, kolorowe, nie takie szare i smutne. Zdenerwowała go scena siewu: „Kto tak sieje ziarno?!". „Tato – pytam – ale czy ci wasi sąsiedzi rzeczywiście obcinali Polakom głowy?". „Tak, tak. Obcinali głowy, gorsze rzeczy robili, to akurat pokazali w miarę dobrze, tego bym się nie czepiał. Ale denerwuje mnie ten siew...". Jak zwykle uciekł.

Wróciliście do rozmowy o „Wołyniu"?

Następnego dnia. Ojciec stwierdził, że film mu się nie podoba, bo może budzić resentymenty, chęć odwetu albo usprawiedliwić taki odwet. Przy takim wzmożeniu nacjonalistycznym, jakie już dawało się odczuć w 2016 r., to było według niego igranie z ogniem.

Ja też bałam się trochę, żeby mi nikt nie próbował zawłaszczyć mojej książki dla celów antyukraińskich. Dlatego wprost napisałam, co o takich celach sądzę. Chciałabym, żeby to była opowieść o pamięci i niepamięci, którą można czytać poza kontekstem politycznym.

„Czystka" dużo mnie kosztowała emocjonalnie i psychicznie, ale warto było. Zaczęłam sporo rzeczy rozumieć. Na przykład to, że pewne mechanizmy, wobec których byłam tak bezradna w dzieciństwie, są mechanizmami dość powszechnymi. Mogę się w tym teraz odnaleźć.

W „Czystce" piszesz, że „śnisz nie swój strach".

Mam taki powracający od lat koszmar senny. To znaczy nie pamiętam, co mi się śni przed, ale nagle budzę się, zrywam w panice, że nie zażyłam jakiegoś śmiertelnie ważnego lekarstwa. Przetrząsam szufladę, biegnę do łazienki, otwieram apteczkę. Kompletne wariactwo. Ważna tabletka, która ma mnie uratować przed czymś przerażającym. Ale przed czym? Śmiercią? Czymś jeszcze gorszym? Strach, który w tych momentach odczuwam, jest nieporównywalny ze strachem, jaki znam ze swojego realnego życia. Tak jakby to nie był mój strach. To trwa pół minuty, minutę, aż wreszcie dociera do mnie, że ta tabletka nie istnieje.

Co to za strach?

Nie mam pojęcia. Nigdy nie brałam aż tak ważnego leku, nie byłam też odpowiedzialna za podanie takiego leku komuś. Sny to kalejdoskop, w którym pływają odpryski naszych emocji, doświadczeń, tego, o czym intensywnie myślimy za dnia. Przedziwne rzeczy wyczynia z nimi nasz mózg. Ciekawe jest jednak to, że w czasie pracy nad „Czystką" sny o tabletce wracały częściej.

Rozmawialiście z ojcem o „Czystce"?

Nie. Oczywiście, że nie. Choć wiem, że ojciec ją przeczytał. Przez całe życie na temat ważnych, bolesnych spraw porozumiewaliśmy się poprzez milczenie. I tak już pewnie zostanie.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

RICHARD B. LEVINE / EAST NEWS

Sklep płytowy w Nowym Jorku, 2013 r.

Tłoczno

JAN BŁASZCZAK

Przed dekadą witaliśmy ich tryumfalny powrót. Dziś producenci nie nadążają za stale rosnącym popytem. Dlaczego płyta winylowa nie może stać się na powrót produktem masowym?

Mniej więcej od piętnastu lat na światowych rynkach rośnie sprzedaż płyt winylowych. Powracają z niebytu, dokąd po stu latach bezwzględnego panowania zepchnęła je płyta kompaktowa, zaprezentowana światu przez Philipsa w 1979 r. Przez lata wydawało się, że winyl pozostanie domeną grupy – fakt, rosnącej – dobrze sytuowanych kolekcjonerów. Do czasu.

Długotrwały wzrostowy trend sprawił, że czarne płyty przestały być jedynie retro-ciekawostką, a stały się ważnym punktem w biznesplanach wytwórni. W rezultacie na tym nośniku nagle zaczęto wydawać wszystkich i wszystko. Wydawcy nie mogą wręcz nadążyć za zainteresowaniem ich ofertą.

Ta dysproporcja wynika przede wszystkim z mody. Trendu, który tylko pogłębiła pandemia COVID-19. Być może skokowy wzrost sprzedaży muzyki na nośnikach fizycznych to wyraz wsparcia słuchaczy dla artystów, którzy nagle nie mogli ruszyć w trasę. Niezależnie od przyczyny, według raportu podsumowującego rok 2021, przygotowanego przez International Federation of the Phonographic Industry (IFPI), sprzedaż winyli w tym okresie wzrosła o astronomiczne 51,3 proc. w stosunku do poprzedniego roku. Co ciekawe, w ciągu tych dwunastu miesięcy po raz pierwszy od dwudziestu lat wzrosła także sprzedaż płyt CD, co czyni tę „covidową" hipotezę bardziej prawdopodobną. Jednocześnie pandemia skomplikowała pracę tłoczni płyt winylowych, ograniczając dostęp do towarów, mocno wpływając na ich ceny oraz zaburzając łańcuch dostaw.

– Kupujemy surowce głównie w Europie, ale kiedy te źródła nam nie wystarczają, składamy zamówienia w Singapurze czy Hongkongu i czekamy na dostawę – tłumaczy Wojciech Wróbel, prezes zarządu XDISC S.A., jednej z dwóch działających w Polsce tłoczni winyli. – Przed pandemią taki kontener płynął trzy tygodnie, dzisiaj we wszystkich portach są korki, więc czekamy osiem-dziewięć tygodni. Nie można globalnego rynku transportowego traktować jak kursu autobusu, który na jednym przystanku będzie opóźniony, ale potem to nadrobi. To jest bardzo skomplikowany system, którym najpierw mocno zachwiał covid, a teraz nałożyła się na to wojna.

Zapewne trudno dziś znaleźć branżę działającą na globalnym rynku, która nie mierzy się z podobnymi wyzwaniami. W przypadku płyt winylowych ograniczenia leżą jednak także po stronie dostępności maszyn niezbędnych do produkcji czarnych płyt. Z tego powodu powtarzane przez artystów nawoływania do otwierania nowych tłoczni i zwiększania produkcji są trudne do zrealizowania. Oznacza to, że w najbliższym czasie popyt na winyle będzie dalej przewyższał ich podaż. Ze skutkami tej dysproporcji będą borykali się ↦

↦ artyści, wydawcy, właściciele sklepów płytowych i wreszcie słuchacze.

– Pierwsze opóźnienia, z dzisiejszej perspektywy śmieszne, zdarzyły się już z końcem 2019 roku – wspomina Jan Biernacki z niezależnej wytwórni Audio Cave. – Później było już tylko gorzej. Powiem tyle, że na nasze trzy ostatnie winyle czekaliśmy blisko rok, a wiem, że wcale nie jesteśmy tu żadnymi rekordzistami.

Gentryfikacja winylu

Problem z podażą płyt winylowych zyskał na medialności, gdy z apelem do przedstawicieli największych wytwórni wystąpił Jack White. Znany muzyk zespołu White Stripes, autor najpopularniejszej dziś stadionowej melodii i właściciel wytwórni oraz tłoczni Third Man, apelował o podjęcie kroków, które pozwolą skrócić czas oczekiwania na czarną płytę.

„Czas realizacji zamówienia na winyl jest obecnie zbliżony do długości trwania ludzkiej ciąży (...) w świecie, w którym tak bardzo zależy nam na chwytaniu chwili (...) takie terminy zabijają moment, ducha, artystyczną ekspresję, a często także pozbawiają środków do życia" – tłumaczył artysta w wideo opublikowanym w mediach społecznościowych. White nie oskarżał nikogo o taki stan rzeczy. Podkreślał, że cała branża – zarówno niezależni wydawcy, jak i fonograficzni giganci – jedzie na tym samym wózku. Nawoływał natomiast, by to jednak potentaci otwierali własne tłocznie, odciążając w ten sposób zakorkowany rynek.

Pomimo koncyliacyjnego tonu tej wypowiedzi, kiedy pytam o apel White'a i jego diagnozy, spotykam się z chłodnymi reakcjami. Po pierwsze małe wytwórnie i inne podmioty związane z sektorem niezależnym nie zgadzają się, by stawiać znak równości pomiędzy ich działalnością a praktykami dużych wytwórni. Biernacki: – Dla wydawców takich jak Audio Cave zaczęło brakować miejsca w tłoczniach, żeby ująć to możliwie delikatnie. Obecnie mamy prawdziwy potop reedycji, niemalże wznawia się wznowienia wznowień. A nawet największe nakłady niezależnych wydawców to nadal drobnica przy zamówieniach „majorsów".

Z szefem Audio Cave zgadza się Phil Leigh, założyciel Norman Records, popularnego brytyjskiego sklepu z płytami. Podkreśla, że niezależny sektor ma tym większe prawo do bycia rozżalonym obecną sytuacją, że przez lata to właśnie mniejsi wydawcy pozostawali wierni winylowi. To z tych środowisk wyszła moda, która teraz paraliżuje ich pracę: – Odkąd pamiętam, ci mniej znani artyści wydawali muzykę na analogowym nośniku i zarabiali na nim lepiej, niż gdyby tłoczyli ją na kompakcie. Dzisiaj nie mogą znaleźć dla siebie miejsca w tłoczni. A to dlatego, że gwiazdy pokroju Kylie Minogue czy Robbiego Williamsa podłapały tę modę i zaczęły nagle wydawać swoją muzykę na winylu. A przecież nie robiły tego nigdy wcześniej!

Matryce w praktyce

Pomysły Jacka White'a nie przekonują także prezesa XDISC. Jego wątpliwości nie zasadzają się jednak na aspektach moralnych odezwy, lecz na jej biznesowej stronie: – Otworzenie tłoczni, doprowadzenie jej do odpowiednich uzysków i mocy produkcyjnych, a także wyszkolenie kilkuset pracowników to długi proces. Tym bardziej że popyt na płyty generuje popyt na maszyny. Skompletowanie nowej linii produkcyjnej zajmuje dziś mniej więcej dwa i pół roku. Cały proces mógłby się więc przeciągnąć nawet do pięciu lat. I teraz kluczowe pytanie: czy wtedy trend popularności winyli będzie się wciąż utrzymywał?

Jak zauważa Wróbel, w obliczu wzrostu popytu na winyle na rynku pojawiły się małe tłocznie, które zajmują się ich produkcją. Według jego obserwacji w ostatnich 2-3 latach w Europie działalność rozpoczęło około trzydziestu takich firm. Z reguły są to niewielkie podmioty obsługujące lokalny rynek. W porównaniu z nimi XDISC to kolos, który tłoczy pomiędzy 200 a 250 tysięcy płyt winylowych miesięcznie. Skala nie jest tu jednak problemem – ostatecznie wiele małych tłoczni mogłoby wymiernie pomóc przeciążonemu rynkowi.

Zdaniem biznesmena, problem stanowi sprzęt. A właściwie jego brak: – Z reguły te firmy nie mają u siebie całego procesu produkcyjnego, więc outsoursują produkcję matrycy. Przy skali, jaką operują, jest to oczywiście rozsądne działanie, bo te urządzenia kosztują paręset tysięcy euro, więc najpewniej nigdy się nie zwrócą przy takiej działalności. Problem polega na tym, że niezależne podmioty, które produkują matryce, są tak obciążone, iż taki mały zakład produkcyjny może czekać na nią nawet pół roku. Ostatecznie więc, pomimo możliwości produkcyjnych, taka tłocznia i tak nic nie zrobi, bo nie będzie miała na czym.

Obecnie nawet te mniejsze, skoncentrowane na lokalnym rynku tłocznie są przedmiotem zainteresowania wielkich wytwórni szukających sposobu na przyspieszenie procesu wydawniczego. Pamiętam dobrze, kiedy kilka lat temu niezależny polski wydawca narzekał, że tłocznia przesunęła mu termin, po czym dodawał z satysfakcją, że przynajmniej wykolegowało go Black Sabbath. Dzisiaj nawet ci najwięksi muszą się tłumaczyć swoim fanom.

Kilka miesięcy temu Robert Smith wyjaśniał, że premiera wyczekiwanego albumu The Cure przesuwa się ze względu na kolejki w tłoczniach. – Kiedyś czołowi światowi wydawcy szli jedynie do tych największych zakładów, robili audyty i wybierali sobie firmy, z którymi chcieli współpracować. To się zmieniło. Bo największe wytwórnie mają tak wielki popyt, że powiedziały: współpracujemy z największymi, współpracujemy ze średnimi, współpracujemy z małymi. Współpracujemy z każdym, kto może nam dostarczyć produkt. I to oczywiście ma wpływ na rynek niezależny, bo są firmy, które w całości mają teraz jednego czy dwóch dużych klientów. Takich podmiotów jest w Europie całkiem dużo i to oczywiście rzutuje na mniejsze wytwórnie.

To niejedyny problem małych wydawców. Po pożarze amerykańskich zakładów Apollo Masters specjalny lakier wykorzystywany do wycinania matryc produkuje obecnie tylko jedna firma na świecie. Japońskie MDC nie jest przy tym wielką fabryką – zdaniem prezesa polskiej tłoczni posiada tylko jedną linię produkcyjną. A skoro z jednej matrycy można wytłoczyć zarówno 100, jak i 10 tysięcy winyli, zaostrza się trend, by podwyższać minimalne nakłady oferowane przez tłocznie. Obecnie wynoszą one zwykle 500 sztuk, ale zdaniem przedsiębiorcy, jeśli popyt na nośniki będzie się utrzymywał, to mogą one wzrosnąć do 750 lub nawet do 1000 egzemplarzy. A to oznacza inwestycje, których mniejsi wydawcy mogą się obawiać.

Akceptacja i adaptacja

Choć obecna sytuacja na rynku fonograficznym rodzi problemy wytwórni i frustracje słuchaczy, można sobie wyobrazić optymistyczne scenariusze rozwiązania tej rynkowej destabilizacji. A może nawet

MATERIAŁY PRASOWE

Jack White

JACK WHITE:

Czas realizacji zamówienia na winyl jest zbliżony do długości trwania ludzkiej ciąży. W świecie, w którym tak bardzo zależy nam na chwytaniu chwili, takie terminy zabijają artystyczną ekspresję, a często także pozbawiają środków do życia.

dostrzec wynikające z niej pozytywy. Zacznijmy od tego, że dla branży fonograficznej większym problemem niż przekładanie premiery winylowych albumów jest niemożność ich szybkiego wznowienia w przypadku wyprzedaży pierwszego nakładu. Leigh tłumaczy: – W momencie, kiedy płyta znika z magazynów, trzeba czekać miesiącami, by znów się w nich pojawiła. Niektórzy wydawcy, słysząc o terminie oczekiwania na drugi nakład, rezygnują z niego. Wiedzą, że do tego czasu temat przestanie być gorący, bo medialny szum wygenerowany premierą ucichnie.

Niewykluczone więc, że obligatoryjne zwiększenie nakładów płyt winylowych, choć ryzykowne, okaże się na dłuższą metę opłacalne także dla mniejszych wydawców. Tym bardziej że ze względu na jednorazowy, stały koszt wyprodukowania matrycy koszt wytłoczenia jednej płyty winylowej spada wraz ze wzrostem nakładu. Niektóre wytwórnie już teraz przestały oglądać się na terminy w tłoczniach. Dotyczy to przede wszystkim większych wydawców, którzy osiągają dobre wyniki sprzedaży płyt kompaktowych. Ci nie mają problemu, by premiery ich albumów odbywały się dwukrotnie.

– Zawsze jesteśmy informowani przez tłocznie, jak wyglądają terminy, i nie mamy powodów, żeby narzekać na współpracę z nimi – twierdzi Katarzyna Stokłosa z wytwórni Kayax. – Faktycznie czas oczekiwania na wytłoczenie winyli znacznie się wydłużył, co oczywiście wpływa na naszą pracę. Ostatni album Krzyśka Zalewskiego „MTV Unplugged" ukazał się w listopadzie ubiegłego roku, a premierę winylową zrobiliśmy dopiero w marcu. Dla mnie to jest w dużej mierze kwestia podejścia, planu wydawniczego, zgody na rzeczywistość, w której funkcjonujemy. Zresztą kiedyś tak to wyglądało: jeśli płyta CD odnosiła sprzedażowy sukces, to dopiero wtedy podejmowało się decyzję o wydaniu jej na winylu. Tę sytuację można obrócić na swoją korzyść. To pretekst, by dać nowe życie albumowi i zorganizować wokół niego działania promocyjne. A poza tym możliwość zamawiania albumu można uruchomić wcześniej, w preorderze.

Uroki niedoboru

Na terminy realizacji zamówień płyt winylowych wpływają nie tylko setki jubileuszowych edycji wznawianych przy każdej możliwej okazji. Wydłużają je także sami artyści, wymyślający coraz bardziej wyrafinowane obwoluty swoich albumów. Płyt, które zresztą nierzadko same są dziełami sztuki, mieniącymi się wszystkimi kolorami tęczy. Tak zwane „nośniki niszowe" produkuje się na liniach półautomatycznych. Oznacza to większy udział człowieka i niższe tempo wytwarzania. Co ciekawe, w produkcji takich ekskluzywnych płyt specjalizuje się Europa Środkowo-Wschodnia – ze względu na niższe koszty.

– Płytę Natalii Przybysz „Jak malować ogień" zrobiliśmy z materiałów z recyklingu – wspomina Stokłosa. – Dokładniej, z obwarzanków, które pozostają po wycięciu płyt innych artystów. Szukaliśmy więc tłoczni, która zgodzi się zebrać takie ścinki, podgrzać je i ponownie wytłoczyć w prasie.

Pytany o najciekawsze zlecenia prezes tłoczni XDISC wskazuje na zamówienie jednego z francuskich wydawców, który zażyczył sobie, aby nakład zawierał jedną unikatową płytę. Wyróżniającą się na tle pozostałych na przykład poprzez kolorystyczne wtrącenia. Oczywiście nikt nie wiedział, który to będzie egzemplarz. Kupującym album towarzyszyła więc ekscytacja związana z tym, że mogą trafić na białego kruka.

Takie pomysły z pewnością zwiększają koszty i wydłużają proces produkcji, ale same w sobie są częścią artystycznego procesu. Może więc przynajmniej my, słuchacze, powinniśmy z wyrozumiałością przyjmować informacje o kolejnych przesuniętych premierach i wiecznie odkładanych w czasie wznowieniach. Tym bardziej że zbieranie winyli nie ogranicza się przecież do ich zakupu. To także uczucie zawodu na wieść o wyprzedanym nakładzie. To codzienne wyglądanie wznowień. A wreszcie – rozkoszne chwile podczas buszowania w ofercie.

Jak przytomnie zauważa Wróbel: – Ostatecznie problem podaży ma też swoje dobre strony. W końcu to jeden z czynników, który sprawia, że winyle mają ten wyjątkowy, kolekcjonerski wymiar.

© JAN BŁASZCZAK

Ukrywalne mieszkanie

ŁUKASZ NAJDER

Prowizoryczny azyl jedynie czasowo zapewniał iluzję bezpieczeństwa – ukrywający się byli ciągle zagrożeni przez Niemców, granatowych policjantów czy wścibskich sąsiadów tego, który im schronienia udzielał.

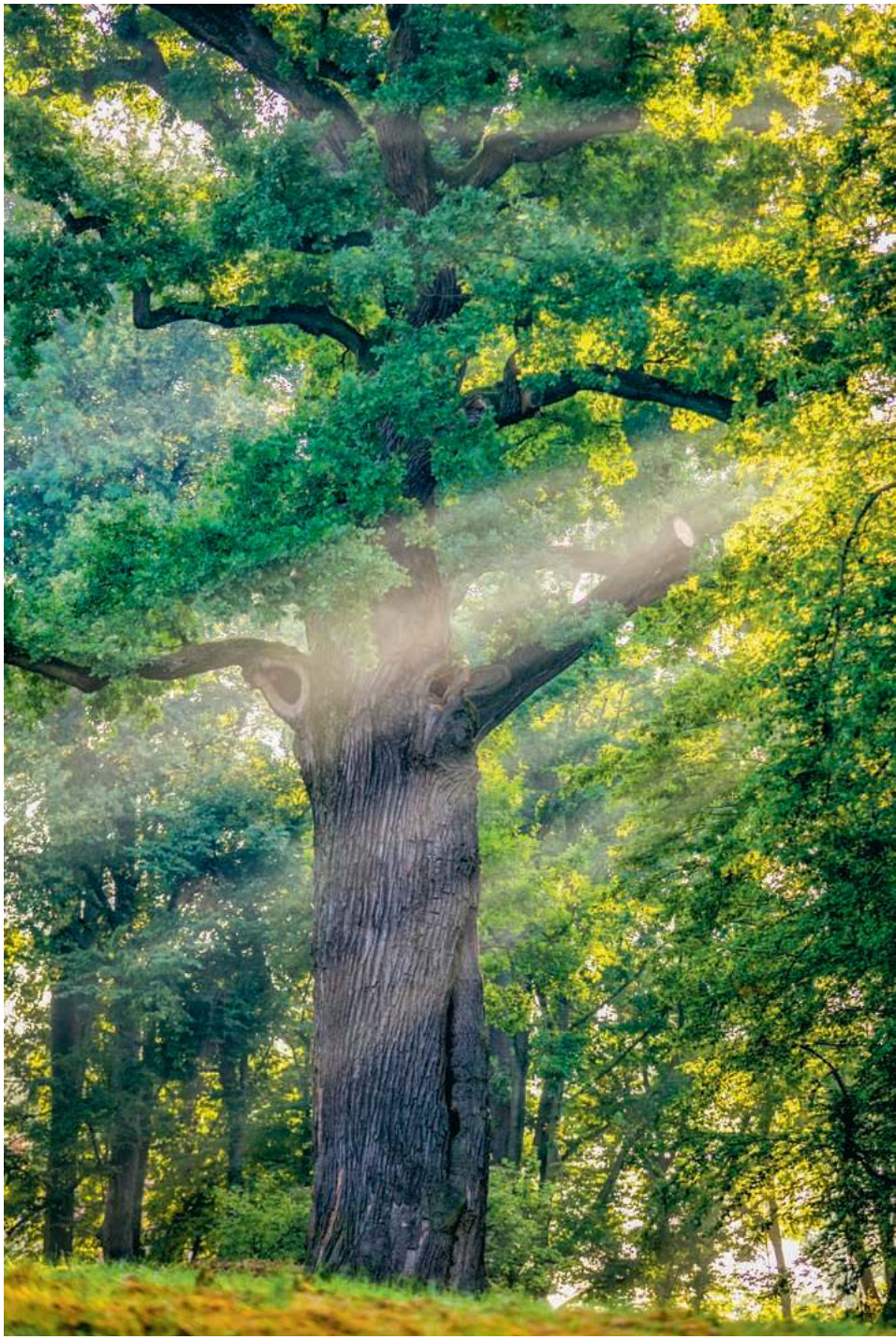

DARIUSZ TYRPIN

Dąb Józef w Wiśniowej, 2013 r.

Miejsce i zdarzenia, które w swojej przejmującej książce „Już nie chcę być człowiekiem. Opowieść o przetrwaniu Zagłady" opisuje Pieter van Os, to symbole tragicznego losu tysięcy Żydów podczas II wojny światowej.

„Raz dziennie podczas karmienia świń gospodyni rozrzucała niezjedzone przez członków rodziny resztki obok koryta w chlewie. Przez niewielki otwór w podłodze trafiały one do pięciu wygłodniałych, przebywających w ukryciu osób. Mąż kobiety uważał, że Żydów nikt nie będzie szukał pod podłogą chlewu. Miał rację. Troje z nich przeżyło wojnę (...).

Fragment zabudowań jeszcze stoi. Służy obecnie za komórkę na narzędzia w ogrodzie otaczającym budynek z późniejszych czasów. Przez dziesięciolecia, pod wpływem słońca i deszczu, ściany nabrały odcienia mysiej szarości. Z nowego domu oddalonego o jakieś piętnaście metrów odpada tynk, spod którego wystają układane naprędce cegły. Komórka symbolizuje daleką przeszłość, dom – przyszłość, która też już minęła" (przeł. Iwona Mączka).

Ci, którzy nie uwierzyli w obłudne zapewnienia władz niemieckich, że zostaną tylko przesiedleni – albo których zdołano w porę ostrzec, czym owo „przesiedlenie" w istocie jest, albo też ci, którzy uciekli w ostatniej chwili z transportu bądź pacyfikowanego właśnie getta – musieli szukać ratunku poza miejscem dotychczasowego zamieszkania, w nieznanej okolicy, po częstokroć wśród obcych, nieprzyjaznych ludzi. Niekiedy sam zbawca i opiekun okazywał się bezwzględnym szantażystą lub denuncjatorem. Bywało i tak, że „wymawiał" raptem lokum ze strachu przed represjami, które mogły dotknąć jego rodzinę i całą wieś.

Ale nawet i przetrwanie wojny w ukryciu nie gwarantowało przeżycia, powrotu do świata. Żydzi z kryjówki pod chlewem w Godlewie Wielkim, o których napisał Os, rodzice i córka, wprawdzie szczęśliwie doczekali wyzwolenia, ale tuż po nim – i po wyjściu na powierzchnię – zostali brutalnie zamordowani przez miejscowych Polaków przeświadczonych, że mają do czynienia z żydowskimi bogaczami. „A ci ludzie nie mieli nic".

Dąb, życie wewnętrzne

Wystawa Natalii Romik zatytułowana „Kryjówki. Architektura przetrwania", którą oglądać można w warszawskiej Zachęcie, a od 4 sierpnia w TRAFO Trafostacja Sztuki w Szczecinie, to nowatorskie, wieloaspektowe ujęcie tematu kryjó-

wek, w których Żydzi szukali ujścia przed śmiercią z rąk niemieckich nazistów i ich lokalnych antysemickich pomagierów na terenie okupowanej Polski i Ukrainy.

Dotąd „nie zajmowano się (...) architekturą kryjówek, ich materialnym kształtem, tym, jak wyglądają teraz. Tym, kto konkretnie się w nich ukrywał i kto był ich budowniczym" – wyjaśniała Romik w niedawnej rozmowie z Jakubem Majmurkiem na łamach portalu „Krytyki Politycznej". Z kolei Aleksandra Janus, która współpracowała naukowo z Romik przy „Kryjówkach", dopowiadała: „temat był opracowany przede wszystkim z perspektywy archiwów, pamiętników i wspomnień. My z kolei skupiałyśmy się na materialności, to ona była punktem wyjścia. Robiłyśmy oczywiście kwerendę, ale interesowało nas nie tylko to, co o kryjówkach napisano, ale też to, jak realnie były skonstruowane".

W rezultacie sednem projektu byłoby pokazanie, twierdzi Romik, „jak narzędzia właściwe polu architektury mogą nam pomóc w dostarczeniu wiedzy o samych kryjówkach, ale także o złożoności Holokaustu, zwłaszcza w małych miastach, na obszarach wiejskich, w naturze".

Obie mają świadomość, że za kilka, góra kilkanaście lat żaden ze świadków, ofiar i sprawców nie będzie już żył, a ilość świadectw holokaustowo-wojennych, wciąż czekających gdzieś tam na swoje odkrycie, nie jest przecież nieskończona. Stąd zauważalny zwrot badawczy ku temu, co długo uznawano za margines, kontekst albo tło Zagłady.

Kościec wystawy tworzą multimedialne opowieści o dziewięciu kryjówkach. Są to – dąb Józef w Wiśniowej na Podkarpaciu, liczący sobie obecnie ponad 650 lat, w którego pustym wnętrzu schronienie znaleźli bracia Denholzowie, okryty macewami dół na cmentarzu przy Okopowej w Warszawie, pomieszczenie wydrążone pod domem w ukraińskiej Żółkwi (ukrywało się tu osiemnaście osób!), schron w klasztorze sióstr niepokalanek w Jarosławiu, kryjówka w lwowskiej kanalizacji miejskiej, piwnica pod kamienicą we Lwowie, dwie jaskinie w Ukrainie i masywna, pakowna szafa z Huty Zaborowskiej z przeszywającą inskrypcją na jednej z wewnętrznych ścianek: „Ta szafa jest moim ukrywalnym mieszkaniem od dnia 21 lutego 43 r. do 25 kwietnia 43 r.".

Obok konwencjonalnej narracji, na którą składają się opisy, nagrania wideo i audio, dokumentacja fotograficzna oraz utensylia z epoki, równorzędną część wystawy stanowi sztuka zmaterializowana w dziewięciu rzeźbach.

„Od początku zakładałam, że będziemy chcieli w ten sposób przedstawić ślad trudno dostępnych miejsc pamięci. Te rzeźby to odlewy fragmentów kryjówek: wejścia pod podłogę w Żółkwi, kamienia z kanalizacji we Lwowie, żarna z jaskini Ozerna czy fragmentu grobu-bunkra na cmentarzu żydowskim w Warszawie. Były robione wspólnie z Agą Szreder, Rafałem Żwirkiem i Oleksijem Konoshenko. Zostały pokryte srebrem o najwyższej próbie przygotowanym przez Piotra Pelca z Pracowni Konserwacji Zabytków we Wrocławiu. Idea wywyższenia w ten sposób brudnej, prowizorycznej, często niewidocznej architektury też jest bardzo ważna" – deklarowała Romik.

Efektem jest przenikanie się i uzupełnianie dyskursu naukowo-reminiscencyjno-opisowego z żywiołem artystycznym. Dzięki temu widzowi dane jest aktywnie uczestniczyć w licznych mikrowydarzeniach o wspólnej treści, ale jakże rozmaitych pod względem formy – od wyświetlanego na ekranie zapisu penetracji dębu Józef kamerą endoskopową, który przywodzi na myśl już to odkrywanie wraku na dnie morza, już to transmisję z wnętrza ludzkiego ciała, przez adorację połyskujących w lekkim półmroku rzeźb, po zgłębianie przeszłości w najobszerniejszej z trzech sal oddanych wystawie. Tam znajdziemy istną hydrę pamiątek – tyczą się one nie tylko owych dziewięciu kryjówek „wywyższonych" za pomocą rzeźb i srebra.

W gablotach wyeksponowano zdjęcia, modele, przekroje, mapki i zachowane detale żydowskich azyli, przedmioty codziennego użytku, które należały do ukrywających się, ich fotografie rodzinne, drzewa genealogiczne, dokumenty osobiste, powojenne relacje. Możemy zobaczyć, jak dzisiaj wyglądają same kryjówki – lub miejsca po tychże – ich otoczenie architektoniczne, przyrodnicze, ludzkie, i obejrzeć krótkie filmy, w których opowieści ocalonych, świadków oraz badaczy przeplatają się z riserczersko-eksploratorskimi działaniami Janus i Romik.

Odcięte części

Przy powstawaniu wystawy korzystano z pracy i wiedzy osób spoza kręgu profesjonalnych „zagładologów". Angażujący umysł i zmysły projekt nie jest wyłącznie owocem mrówczej pracy pojedynczej autorki, ale efektem użycia najnowszej techniki – w tym przypadku między innymi echogramu, skanów 3D, datowania radiowęglowego techniką LSC, pomiarów geodezyjnych i optycznych, wizualizacji, czułych, niewielkich kamer – oraz nieortodoksyjnego podejścia do tematu i doświadczeń specjalistów z najróżniejszych dziedzin: historii, dendrochronologii, archeologii, geodezji, architektury. Nad odszyfrowaniem tej swoistej wiadomości sprzed blisko osiemdziesięciu lat trudził się więc kolektyw, zawiązywane były długotrwałe, pożyteczne sojusze ponad granicami dyscyplin i krajów (bo z udziałem naukowców i naukowczyń z Ukrainy). Dopiero ów zbiorowy wysiłek pozwala nam lepiej zrozumieć i przede wszystkim z o b a c z y ć, czym tak naprawdę były kryjówki w czasie wojny.

By wyjść z wystawy, należy minąć wielką, białą tablicę, na której uwieczniono cytat z Emanuela Ringelbluma: „Gdy Żyd znalazł się po aryjskiej stronie, miał przed sobą dwie ewentualności: zostać »na powierzchni« albo pójść pod ziemię". Ringelblum między zimą 1943 a zimą 1944 r. ukrywał się wraz z rodziną w bunkrze poza obszarem getta i stamtąd zawiadywał organizacją Oneg Szabat, dokumentującą zagładę narodu żydowskiego.

W eseju „Stosunki polsko-żydowskie w czasie drugiej wojny światowej", z którego pochodzi ów wyimek, pisał: „Większość Żydów po aryjskiej stronie przebywa »pod powierzchnią«. Mieszka w schronie albo po prostu w ostatnim pokoju. Od osoby, która przez pół roku mieszkała w ostatnim pokoju, słyszałem, ile kunsztu trzeba w to włożyć, by sąsiedzi ani znajomi nie dowiedzieli się, że w mieszkaniu przebywa Żyd". Ringelblum dokonał jednej z pierwszych prób opisu i klasyfikacji kryjówek: „do najpopularniejszych należały odcięte części pokojów lub zamaskowane pokoje, alkowy, odcięte części strychów, piwnic itp. W mieszkaniach parterowych przerabiano piwnice na schrony, łącząc je klapami z mieszkaniem".

Choć po wojnie o kryjówkach pisali tacy wybitni badacze jak Barbara Engelking czy Jacek Leociak, to dopiero opublikowana dekadę temu praca Marty Cobel-Tokarskiej zatytułowana „Bezludna wyspa, nora, grób. Wojenne kryjówki Żydów w okupowanej Polsce" ↦

↦ wydaje się ujęciem najpełniejszym, kompleksowym, w perspektywie którego uwzględniono także kryjówki małomiasteczkowe, wiejskie, polne i leśne. Istotne wzbogacenie stanowią ponadto publikacje z serii Biblioteka Świadectw Zagłady, przygotowywanej przez zespół Centrum Badań nad Zagładą Żydów, ze szczególnym uwzględnieniem takich tytułów jak „Tyleśmy już przeszli... Dziennik pisany w bunkrze (Żółkiew 1942-1944)" Clary Kramer (to właśnie ta kryjówka jest jedną z opisywanych na wystawie w Zachęcie), „Czytając gazetę niemiecką... Dziennik pisany w ukryciu w Warszawie w latach 1943-1944" Jakuba Hochberga, „Sny chociaż mamy wspaniałe. Okupacyjne dzienniki Żydów z okolic Mińska Mazowieckiego" czy „Nie wiemy, co przyniesie nam kolejna godzina... Dziennik pisany w ukryciu w latach 1943-1944" Moszka Bauma.

Jolanta Brach-Czaina napisała w jednej ze swoich książek, że „schowki budujemy w świecie nieprzyjaznym". Fakt, że tuż obok nas, u naszych sąsiadów Ukraińców, z lęku przed bombardowaniami i ostrzałem ludzie tygodniami wegetują w schronach, piwnicach i tunelach metra – albo kryją się w ruinach i lasach, by nie paść ofiarą morderców i gwałcicieli w mundurach armii rosyjskiej – uświadamia nam z pełną goryczą i mocą, że wciąż niestety odległy jest dzień, gdy kryjówki będą tylko eksponatami bądź zapisanym wspomnieniem z dziwacznej, zamierzchłej przeszłości.

© ŁUKASZ NAJDER

Natalia Romik, **KRYJÓWKI. ARCHITEKTURA PRZETRWANIA,** *Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki (31.03–17.07.2022); TRAFO Trafostacja Sztuki w Szczecinie (4.08–6.11.2022).*

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM Andrychów – 98,8 | FM **www.radiokrakow.pl**

MATERIAŁY PRASOWE M2FILMS

Jessie Buckley jako Harper Marlowe w filmie „Men"

Męska matrioszka

ANITA PIOTROWSKA

„Men" balansuje między halucynacją a psychoanalitycznym seansem. Słowo „thriller" trzeba zapisać właśnie tak – w cudzysłowie.

Brytyjski reżyser Alex Garland, twórca filmów „Ex Machina" i „Anihilacja" czy serialu „Devs", na gruncie *science fiction* doczekał się rzadkiego miana intelektualisty. Całkiem zasłużenie, bo jego kino to filozofujące eseje ubrane w kunsztownie skrojony futurystyczny kostium. Krąży wokół sztucznej inteligencji i rozwoju jej samoświadomości, spekuluje na temat autodestrukcji człowieka w wymiarze globalnym, dyskutuje o granicach ludzkiej omnipotencji, krytykuje „kapitalizm nadzoru". A przy tym dostarcza nam pasjonujących historii o ludziach, ich lękach i traumach.

W najnowszym filmie „Men" polem dyskursu i generatorem emocji okazuje się mocno przekręcone kino grozy, płynnie przechodzące w cielesny horror. I skoro tytuł odsyła raczej do męskości niż człowieczeństwa w ogóle, łatwo zredukować tę historię do poziomu wojny płci. Ale równie dobrze można by nazwać „Empuzjon" Olgi Tokarczuk feministycznym kryminałem.

Świeżo owdowiała Harper Marlowe wynajmuje stary dom na angielskim odludziu – i od pierwszych minut atakują nas odniesienia i archetypy, zapisane choćby w nazwisku bohaterki, w ikonicznej scenerii, a zwłaszcza w motywie świeżo zerwanego jabłka. Chwilę po tym akcie Geoffrey, właściciel domostwa, udzieli Harper stosownej reprymendy, po czym natychmiast obróci wszystko w żart. Wedle takiego klucza można odbierać cały film. Garland bawi się konwencjami krwawej przemocy nie dla samej zabawy. Raczej po to, żeby pokazać funkcjonowanie tej przemocy w mniej oczywistych wymiarach. Oto bowiem młoda kobieta zaszywa się przed światem, by przepracować stratę oraz związane z nią wyrzuty sumienia, i na każdym kroku styka się z agresją: czynną i bierną, wyrażaną fizycznie, słownie lub symbolicznie. Jedyne zaś wsparcie sta-

nową wideo czaty z londyńską przyjaciółką – o ile jest dobry zasięg.

Trzeba jednak ów thriller od razu wziąć w cudzysłów, jako że „Men" zdaje się nieustannie balansować między halucynacją a psychoanalitycznym seansem i chętnie zaciera między nimi granice. Przytłoczona żałobą Harper, szukając ucieczki w naturze, widzi w oddali nagiego mężczyznę, który zaraz okaże się bezpośrednim agresorem. Kobieta nie znajdzie też azylu w kościele, w lokalnym pubie, w bezpośrednich kontaktach ze stróżami prawa ani ze swoim gospodarzem, nie mówiąc o dziwnym wioskowym chłopaku w masce Marilyn Monroe. Te bizarne spotkania, nawet jeśli są projekcją osoby do pewnego stopnia zaburzonej, budują obraz nie tylko przypadku klinicznego, lecz także czegoś na kształt kobiecej podświadomości zbiorowej.

Podczas gdy w przebłyskach retrospekcji docierają do nas okoliczności, w jakich mógł zginąć mąż Harper, na samotnych wakacjach przeżywa ona sytuacje, w których staje się ofiarą innych mężczyzn. Nie dają jej spokoju – bywa przez nich zastraszana, obrażana, poniżana bądź pouczana. I przez długi czas nie bardzo wiadomo, czy to pomyślana dla niej w zaświatach kara, czy rodzaj samobiczowania, czy też lękowe projekcje, gdzie każdy napotkany mężczyzna jest karykaturalną inkarnacją zmarłego. Zresztą we wszystkie męskie postacie, z wyjątkiem czarnoskórego małżonka (w tej roli Paapa Essiedu), wciela się ten sam charyzmatyczny Rory Kinnear. Geniusz obsady, mistrzostwo charakteryzacji i aktorska zmiennokształtność pracują na prowokacyjną finałową alegorię, którą – nie zdradzając zbyt wiele – nazwać by można męską matrioszką, wspólne dzieło efektów specjalnych i surrealistycznej wyobraźni.

Garland świetnie się bawi nastrojem religijnej podniosłości. Nim zaserwuje iście trzewiowe *katharsis* i nowe Genesis, zbuduje na ekranie przeciwieństwo rajskiego ogrodu. Kino ekscesu, zarówno w sensie nadmiaru, jak i przekroczenia, rozwija się podstępnie, zagarniając kolejne obszary. Sielski pejzaż pod spojrzeniem Harper zaczyna kłuć w oczy przesterowanym kolorem. Kamera Roba Hardy'ego skrada się za bohaterką niczym duch, zagląda w puste oczodoły martwej sarny, a w scenach z przeszłości ekran zalewa ciężkie czerwone światło. Nadobecna w tle sakralna muzyka, której autorami są Ben Salisbury i Geoff Barrow z grupy Portishead, brzmi niebiańsko i zarazem piekielnie. Narasta niesamowitość, by szybko zmienić się w autoparodię. Stąd nagi człowiek z liściem na głowie, czytaj: Green Man z mitycznych wierzeń, to ledwie preludium do filmowej orgii, Cronenbergiem i Lynchem podszytej. Tyle że naprawdę chodzi tutaj o ratowanie świata przed apokalipsą. A właściwie przed męską przemocą – samonapędzającą się i zarazem samoniszczącą.

Tym, którzy nie biorą horrorów poważnie i nie wierzą, że bywają one zwierciadłem naszych niewypowiedzianych strachów, film oferuje jeszcze coś. Chodzi o hiperintensywną obecność na ekranie Jessie Buckley – aktorki, która wcześniej mocno naznaczyła sobą „Może pora z tym skończyć" Charliego Kaufmana czy „Córkę" Maggie Gyllenhaal. Reżyser „Men" nazywa ją w wywiadach pełnoprawną współautorką filmu. Zaciśnięciem szczęki, uśmiechem błąkającym się niepewnie w kącikach ust Buckley jest w stanie wyrazić więcej nawet niż krzykiem. W jej bohaterce można dopatrywać się studium mizoandrii wywołanej przez realną przemoc i napędzanej poczuciem winy; można też zobaczyć biblijną Ewę, czyli kobietę archetypiczną, ze wszystkimi jej organicznymi mocami i kulturowymi ograniczeniami.

Ów nieprzewidywalny dreszczowiec od kina kobiecej zemsty woli psychodeliczną fantazję i non stop czymś ryzykuje: a to rozbuchaną metaforyką, a to dosłownością. I nie pozwala rozgościć się na dobre w żadnej konwencji. Niektórzy go odrzucą, zniesmaczeni fizjologią, jaką ocieka druga część, albo przyparci do muru antypatriarchalnym przesłaniem i ostentacyjną pochwałą życia uosobionego przez kobiecość. Bo Garland w „Men" porzuca na moment zuniwersalizowane wizje przyszłej ludzkości, żeby zastanowić się nad tym, co dla nas oznacza ten podwójny, człowieczo-męski tytuł. Tudzież odświeżyć dywagacje wokół tego, co ludzkie i boskie. ©

MEN – *reż. Alex Garland. Prod. Wielka Brytania 2022. Dystryb. M2 Films. W kinach od 3 czerwca.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Krowa

Dokumentalny, reż. Andrea Arnold, Wielka Brytania 2021, mdag.vod, do 5 VI

Bez słowa komentarza kamera przygląda się życiu Lumy, jednej z wielu krów hodowanych przemysłowo na farmie. Film przedstawia rzeczywistość krowimi oczami, rejestruje dźwięki uszami bohaterki, odczuwa razem z nią. Nie jest to spojrzenie antropomorfizujące. Przenika od środka zwierzęcy mikroświat i rejestruje ogromną skalę eksploatacji uprawianej przez człowieka.

2. Boylesque

Dokumentalny, reż. Bogna Kowalczyk, Polska 2021, KFF online, do 12 VI

Poznajcie najstarszą polską drag queen, znaną jako Lulla la Polaca. Pamięta powstanie warszawskie, przetrwała czasy peerelu i dziś, na przekór wszystkiemu, nadal walczy o prawo do bycia sobą. Czyli gwiazdą estrady i jednocześnie spełnionym człowiekiem. Film pokazuje ją bez egzotyzacji, z perspektywy intymnej, łącząc ze sobą czułość, humor i szczyptę melancholii.

3. Nawalny

Dokumentalny, reż. Daniel Roher, USA 2022, HBO Max

Ten film trzyma na muszce jak rasowy thriller. Opowieść o człowieku, który wypowiedział wojnę Putinowi i przebywa w kolonii karnej o zaostrzonym rygorze, obnaża funkcjonowanie państwa rosyjskiego. Wiadomo, że jest to machina niszczycielska, ale jednocześnie, co pokazują udokumentowane prowokacje, działa niczym jadący na oparach zdalnie sterowany gruchot.

4. Najgorszy człowiek na świecie

Komediodramat, reż. Joachim Trier, Norwegia 2021, MOJEeKINO, od 3 czerwca

Na pierwszy rzut oglądamy perypetie miłosne dwudziestoparolatki, na drugi – rzecz o różnicy pokoleń, a ostatecznie utrzymany w rozmaitych tonacjach portret współczesnych młodych ludzi, zagubionych pośród wielkich i małych decyzji. Renate Reinsve tworzy postać, która się wymyka, poszukuje, błądzi. Bywa w tym tragiczna, śmieszna i bardzo prawdziwa, podobnie jak sam film.

JAN

Klata:
Zastępowalność

Trzydziestolecie czegokolwiek wprawia w bojaźń i drżenie, a trzydziestolecie matury jest trzydziestoleciem absolutnie wyjątkowo napiętnowanym upływem czasu. Nie byłem w moim liceum ani w dziesiątą, ani w dwudziestą rocznicę – jakoś mnie nie ciągnęło. Teraz, kiedy w końcu podkusiło: szok, szok i niedowierzanie. A więc jest Czas. I on w ludziach pracuje. Chodzi nie tyle o pytanie: „co my mamy ze sobą wspólnego", ale raczej „co ja mam ze sobą wspólnego" – ze znajdującym się mniej więcej w połowie listy obecności maturzystą z IV c. Akurat mury Batorego widziały niejedną okrągłą rocznicę, ale tym bardziej zagubioną jest jednostka, co to przysłowiowe „Pożegnanie ojczyzny" w auli RAZ dwa trzy, RAZ dwa trzy wystukała w zeszłym – bądź co bądź – tysiącleciu. Korowód pokoleń RAZ dwa trzy, RAZ dwa trzy...

Mury, parkiety i strop zębem czasu nienaruszone, wręcz niepokojąco zrewitalizowane i błyszczące, za to biowypełniacz szkolnego gmachu podejrzanie inny, choć niby ten sam, przynajmniej ów za moje koleżanki i kolegów uroczyście się podający. I oto stało się: podstarzałe stado eksmaturzystów galopuje po korytarzach swojej budy. Metafizyczna dziwność istnienia opanowała mnie bez reszty, uważność patrzenia na zupełnie odmiennie tych samych ludzi w tych samych miejscach rezonowała mentalnym tinitusem: „Miałem więcej szczęścia niż rozumu, że to ta szkoła, ci profesorowie". Mentalny tinitus poczucia wdzięczności, wdzięczności, którą zachowam do sześćdziesiątej rocznicy egzaminu dojrzałości w moim liceum.

I jeszcze, niestety, pytanie o przyszłość zbiorowości wisi niby miecz, a raczej karabela Damoklesa. Mianowicie – wnioskując z wielu rozmów z Koleżankami i Kolegami na temat progenitury – następne pokolenie, studiujące teraz na czołowych światowych uczelniach (przepraszam za elitaryzm), nie ma zamiaru do Ojczyzny wracać. Nie sądzę, aby był to problem zaprzaństwa naszych dzieci, myślę, że to problem Polski-jaką-ona-teraz. I jaką się jawi w dającej się przewidzieć przyszłości. Żywię niepokój, oby bezpodstawnie. ©

Lektor:
Jawa ze snem

▪ *Erna Rosenstein*
POŁAWIACZ CIENI (BAJKI ZEBRANE)
Zebrał i opracował Jarosław Borowiec.
Ilustracje Katarzyna Walentynowicz.
Wydawnictwo Wolno, Fundacja Galerii Foksal,
Lusowo-Warszawa 2022, ss. 196

Malowała, rysowała i tworzyła surrealistyczne obiekty ze zwykłych przedmiotów. Należała do kręgu twórców naszej nowoczesności, od lat 30. łączyła ją przyjaźń z Marią Jaremą i Jonaszem Sternem, potem z Tadeuszem Kantorem. Po wojnie przystąpiła do Grupy Młodych Plastyków i do reaktywowanej Grupy Krakowskiej. Pokazywała swoje prace na ważnych wystawach sztuki nowoczesnej. Choć związana z ruchem komunistycznym, nie poddała się dyktatowi socrealizmu i w latach stalinowskich milczała. Konsekwentnie nawiązywała do poetyki surrealizmu. Pod koniec długiego (1913-2004) życia uhonorowano ją Nagrodą im. Jana Cybisa za całokształt twórczości. A przecież jej nazwisko wymieniano zawsze jakby w drugiej kolejności. Po wystawie przygotowanej w 2011 r. w Warszawie przez Dorotę Jarecką i Barbarę Piwowarską, badaczka surrealizmu Agnieszka Taborska zauważyła w „dwutygodniku": „Gdyby Erna Rosenstein żyła w Paryżu, jej twórczość znana by już była z retrospektywy i licznych omówień". Retrospektywa już się tymczasem odbyła, tyle że w Nowym Jorku... A nazwisko artystki stało się głośne w międzynarodowym świecie sztuki także za sprawą wystawy „Surrealizm bez granic", zorganizowanej przez nowojorskie Metropolitan Museum of Art i londyńską Tate Gallery.

Erna Rosenstein pisała też wiersze, które zaczęła publikować dopiero w latach 70. za namową męża, Artura Sandauera; odbija się w nich wojenna trauma z przeraźliwym wspomnieniem śmierci rodziców i poczucie bliskości z naturą. No i układała bajki, których znaczna część pozostała w maszynopisach. Jarosławowi Borowcowi zawdzięczamy ich zebranie, a Katarzynie Walentynowicz – wrażliwe, zabawne, czasem nieco mroczne ilustracje. Bo też te bajki siłą wyobraźni i magicznymi zabiegami pozwalają wprawdzie oswoić świat, groza nigdy jednak całkiem nie znika. „Była po »stronie życia« – pisze Borowiec – ale śmierć, krzyk, milczenie, samotność, pustka, pamięć, obecność – to słowa, które często przywoływała w swoich zapisach poetyckich". W „Snach" czytamy: „Rankiem na całym świecie kominiarze wymiatają resztki nocy. Gdyby nie oni, jawa przemieszałaby się ze snem". I u Erny Rosenstein tak się właśnie dzieje – a jest to wizja prawdziwie apokaliptyczna.

Piękna i niespodziewana książka – jak niespodziewany dar. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Korona w majonezie

Siedemdziesiąt lat na tronie. Platynowy jubileusz królowej Elżbiety – oby żyła nam w zdrowiu jak najdłużej. Monarchom przystoi złoto, ale jak ktoś jest tak długowieczny, to trzeba innych metali na symbol. Złośliwa część duszy podpowiada mi, że logika rocznicowych obchodów operuje raczej ćwiartkami i połówkami stulecia, i powinno się było zaczekać z tą platyną na 2027 rok, ale nikt rozsądny w Pałacu nie chciał ryzykować, że przepadnie okazja, by chociaż na chwilę tchnąć w Brytyjczyków ducha dobrej, pozytywnej wspólnoty.

Czas ku temu wskazany, królestwem zarządza nietuzinkowy wprawdzie i dobrze wykształcony, ale nieudaczny cynik będący o włos od dymisji. Na razie wojna dała mu niespodziewaną furtkę – co prawda jego ego ledwo zmieściłoby się we wrotach od stodoły, ale znalazł buteleczkę pozostawioną przez zdegustowaną krajem Alicję, pociągnął łyk i wymknął się gniewowi opinii publicznej i partii. Nieliczni, ale politycznie wpływowi poddani z Ulsteru jakby się uparli wykazać, że nie ma granic szkody, jaką może wyrządzić nieodpowiedzialność i głupota, grożą więc rozwaleniem i tak chwiejnego stanu pobrexitowej równowagi w podzielonej absurdalnie Irlandii. Szkoci znów się zbierają do tego, żeby po 300 z górą latach podziękować Anglikom za wspólne mieszkanie.

Tak, zdecydowanie kraj potrzebuje momentu jedności, odprężenia. Siedemdziesiąta rocznica wstąpienia na tron przypadła już w lutym, ale ścisłe trzymanie się kratek w kalendarzu czy tabelkach Excela dobre jest dla gminu. Panowanie nad czasem zawsze było, podobnie jak bicie monety, atrybutem szanujących się władców. Dlatego to dopiero w najbliższy weekend (przedłużony z tej okazji o dwa dni) dojdzie do kulminacji platynowego jubileuszu. Aż 60 tysięcy osób i organizacji zgłosiło zamiar wyprawienia w sobotę *Big Jubilee Lunch*, czyli przyjęcia sąsiedzkiego na ulicy czy w ogrodzie. Flagi, wstęgi, kotyliony i proporczyki, dawno już wyprzedane, czekają na ten moment, a różne przybytki gastronomii, media tudzież celebryci zgłaszają pomysły na odpowiednie menu – musi być prosto, tradycyjnie, choć nie zaściankowo.

BOOPHOTOGRAPHY / ADOBE STOCK

O co zresztą w tamtejszej kuchni łatwo – bo choć wiele złośliwego da się powiedzieć o jej postpasterskiej toporności, to trzeba jej przyznać umiejętność sprawnego zasysania składników, metod i obyczajów z kolonii, zwłaszcza jeśli miały tak wspaniałą i rozwiniętą cywilizację jak subkontynent indyjski. Na tyle, że kiedy szefostwo sławnej akademii kucharskiej *Cordon Bleu* zaproponowało w 1953 r. narodowi przepis na „koronacyjnego kurczaka", to nie wahało się użyć curry. Z racji panujących po II wojnie trudności w zaopatrzeniu zalecano sproszkowaną mieszankę, zamiast pasty robionej od podstaw z właściwych, kolonialnych składników. Potrawie nadano francuską nazwę *Poulet reine Elizabeth*, ale spod tego gustownego fartuszka i tak wyłaziła przaśna angielska mizeria: były to po prostu strzępki upieczonej w ziołach piersi kurczaka, zatopione w gęstej brei z majonezu, tłustej kwaśnej śmietany i curry właśnie, z dodatkiem rodzynek (a w wersji dla plebsu suszonych moreli).

Takie sałatki mogą się nam kojarzyć z podrzędną garmażerią i domówkami z lat 90. (obok nieśmiertelnego tuńczyka z kukurydzą w majonezie – któż tym gości nie karmił?), ale Lwy Albionu są z tego niezmiennie dumne i na każdą następną okazję wymyślały monarchini kolejne wersje jubileuszowego dania, które musiała, biedaczka, kosztować i zatwierdzać. Na tegoroczne obchody serwis BBC Food proponuje zamęczyć pieczonego kuraka mieszaniną jogurtu, majonezu i melasy z granatów doprawioną imbirem i kminem rzymskim, po czym wzbogacić breję o plasterki jabłek i kruszone włoskie orzechy, a wzrokowo podrasować szarość dania ziarnami granatu i siekaną natką. Jeśli ktoś woli ostrzejsze smaki i nie chce się natrudzić, to niech idzie do sklepu – przez kilka tygodni firma Heinz swój sos znany także w Polsce pod nazwą „HP" sprzedaje z etykietą „HM" (od *Her Majesty*).

Na uliczne przyjęcia, zdecydowanie bardziej niż zdradliwe sosy ześlizgujące się z rozmiękłego papierowego talerzyka, nadają się przekąski do bezpiecznego chwytania w palce. Angielska tradycja ma na podorędziu najlepsze w takich sytuacjach zapiekanki typu *pie* (wklęsłą formę z ciasta wypełnia się nadzieniem i przykrywa całość krążkiem tego samego ciasta, by wnętrze zapiekło się we własnych oparach), możliwe do wykonania w wersjach na jeden lub dwa kęsy. Oczywiście głównie z mielonym mięsem i tłuszczem, w dodatku bardzo mocno doprawionym np. kwiatem muszkatu (to coś innego niż gałka). Wegetarianom sugeruje się np. ser stilton z podpieczoną dynią, ale przyjemność dania w wersji kanonicznej wynika po części z tego, że mięsne nadzienie pod przykrywką puszcza soki, które podkręcają apetyczność ciasta, zawierającego skądinąd już dużo masła lub łoju.

Wszystko to popijamy, jak radzi ciotka BBC, ponczem z piwa imbirowego zmieszanego pół na pół z sokiem jabłkowym i wódką waniliową. Na deser zaleca się prostokątny placek z biszkopta, na który wykładamy warstwę bitej śmietany i, korzystając z borówek amerykańskich oraz truskawek lub malin, układamy wzór nakładających się trzech krzyży z flagi Union Jack. Taka patriotyczna, słodka mandala.

Placek z polską flagą ułożyłoby nawet dziecko z kiepską koordynacją oko–ręka. Mamy na pewno lepsze owoce, śmietana z mleka podlaskich krów nie ma równych w Europie, nasze poszarpane tradycje są równie gotowe do ciekawych przetworzeń. Tylko skąd wziąć królową, chociażby i ze srebrnym jubileuszem? ©℗

SŁUCHAJCIE, A ZWYCIĘŻYCIE

Przed rokiem był u progu emerytury, a dziś Carlo Ancelotti stał się najbardziej utytułowanym trenerem w dziejach europejskiej piłki. Błazen ograł kapłanów. Dziwny błazen – taki, który z nikogo nie szydzi.

MICHAŁ OKOŃSKI

Obawiam się, że gdyby mógł zobaczyć tegoroczny finał Ligi Mistrzów między Realem i Liverpoolem, Pier Paolo Pasolini nie byłby zachwycony. To znaczy piłkę nożną uwielbiał przez całe życie, grał w nią i o niej pisał, a i obecnego trenera Realu widział na boisku, ba: wystąpił nawet przeciwko niemu, tylko że to zupełnie inna historia.

Włóczykij

Ale zaraz, chwileczkę, czy na pewno inna? Czy na pewno jedynym łącznikiem między majowym wieczorem na stadionie w podparyskim Saint Denis a marcowym porankiem w parku otaczającym parmeńską Cytadelę jest osoba Carlo Ancelottiego – piętnastoletniego wówczas juniora, dziś zaś szkoleniowca zapewne najsłynniejszego, a z pewnością najbardziej utytułowanego klubu świata? Owszem, 16 marca 1975 r. na kiepskiej skądinąd nawierzchni, gdzie trawa rosła w pojedynczych kępach, a na gołej ziemi leżało jeszcze sporo liści, biegało również całkiem sporo gwiazd – były to jednak gwiazdy kina, nie futbolu. I, co z dzisiejszej perspektywy wydaje się trudne do pomyślenia, ich spotkaniem nie zainteresował się nikt poza garstką wyprowadzających akurat psy na spacer parmeńczyków.

Pier Paolo Pasolini kręcił w okolicy „Saló, czyli 120 dni Sodomy". Bernardo Bertolucci, wraz z Robertem de Niro, Gérardem Depardieu, Donaldem Sutherlandem i Burtem Lancasterem, pracował w rodzinnym mieście nad „Wiekiem XX". Jeszcze kilka lat wcześniej młodszy o pokolenie Bertolucci był protegowanym Pasoliniego, ale po tym, jak autor „Ewangelii według świętego Mateusza" skrytykował „Ostatnie tango w Paryżu", ich relacje się popsuły – i spotkanie w parku było pomysłem na naprawienie relacji.

Z kadrów przypomnianych po latach przez twórców dokumentu „Centoventi contro Novecento" wynika, że naprawdę się udało: po zakończonym meczu obaj reżyserzy obejmowali się i śmiali nad przygotowanym ↦

Trener Realu Madryt Carlo Ancelotti i piłkarze Luka Modrić, Vinicius Junior, Eder Militao świętują zwycięstwo nad Liverpoolem w finale Ligi Mistrzów. Paryż, 28 maja 2022 r.

SIMON STACPOOLE / OFFSIDE / GETTY IMAGES

↦ specjalnie na tę okazję pucharem. W ogóle ich otoczenie zadbało o szczegóły. Drużyna, w której zagrał Pasolini, wyszła na boisko w niebiesko-czerwonych koszulkach, nawiązujących do strojów jego ukochanej Bologni. Zespół prowadzony przez Bertolucciego grał w barwach jasnofioletowych z wymalowanym na złoto tytułem filmu. Jedyne, czego nie byli w stanie zapewnić (czyżby Depardieu nie chciało się wstawać w chłodny poranek?), to obsada wszystkich pozycji na boisku, i stąd właśnie telefony do działaczy klubu Parma, a później łapanka wśród graczy drużyn juniorskich z pytaniem, czy mimo udziału w sobotnich meczach któryś zechciałby także pobiegać za piłką w niedzielę.

Zdrowy rozsądek wyniósł z domu. Kiedy chce przypomnieć o cierpliwości, której we współczesnym futbolu jest ostatnią ostoją, mówi o czasie, który trzeba odczekać, **by z mleka powstał dojrzały parmezan.**

Ancelotti chciał. Jak wspomina w rozmowie z Sidem Lowe, jeżeli chodziło o możliwość pobiegania za piłką, nigdy nie odmawiał. Przedstawiono go jako nowo zatrudnionego pracownika planu, okazał się podejrzanie dobry i – jak mówi – Pasolini nie był tym zachwycony, zwłaszcza że jego drużyna przegrała 5:2, a sam reżyser kontuzjował się w trakcie.

Że obecny trener Realu w ogóle zagrał w tym meczu, okazało się dopiero niedawno. Kiedy dokument o wydarzeniach z marca 1975 r. miał swoją premierę kinową, nie pisnął ani słowa. Nie komentował prasowych spekulacji, czy to nie jego widać w kilku migawkach. W końcu, skonfrontowany przez „La Gazetta dello Sport" z pamiątkową fotografią, przyznał: ten ostatni z prawej to ja. Dociśnięty przez „Guardiana", jak się okazało, pamięta wszystkie szczegóły: mecz, w którym była wolność i radość, nie było natomiast założeń taktycznych. Cholerne zimno i prysznic w pobliskim hoteliku. Wylewne podziękowania Bertolucciego. Własne zakłopotanie, związane ze strzeloną bramką: czy doproszonemu w ostatniej chwili dzieciakowi wypada się z niej cieszyć?

Saló, czyli 120 dni Sodomy

47 lat później tamten – wedle jego własnych słów – „mały grubasek" stał się najbardziej utytułowanym trenerem w dziejach futbolu. W sezonie 2021/22 zdobył mistrzostwo Hiszpanii i wygrał Ligę Mistrzów; w sumie w trakcie długiej kariery zwyciężał w lidze włoskiej, angielskiej, hiszpańskiej, francuskiej i niemieckiej, a w Champions League i w poprzedzającym te rozgrywki Pucharze Europy triumfował czterokrotnie jako trener i dwukrotnie jako piłkarz. Nikt inny nie może się pochwalić podobną kolekcją. A przecież nawet gdy z charakterystyczną dla siebie niefrasobliwością podnosił na paryskim stadionie najcenniejsze klubowe trofeum, niejeden z obserwatorów miał poczucie, że – podobnie jak tamtego poranka w Parmie – tak naprawdę w ogóle nie powinno było go tu być, i to nie tylko dlatego, że przed rozpętaniem przez Putina szaleńczej wojny finał tegorocznej Ligi Mistrzów miał zostać rozegrany w Petersburgu.

Nie powinno go tu być z powodów, by tak rzec, sportowych. Drużyna, którą prowadzi, choć nazywa się Real Madryt, z całą pewnością nie przypomina tych najlepszych w dziejach legendarnego klubu, a jej sezon przyniósł aż dziewięć porażek w 56 meczach. Cała droga po wygraną w Lidze Mistrzów przebiegała według podobnego scenariusza, co paryski finał: to rywale dominowali, to rywale grali lepiej i mieli lepsze okazje, a Real (zwłaszcza dzięki swojemu fenomenalnemu bramkarzowi Thibaut Courtois) potrafił przetrwać najgorsze chwile, potem zaś wyprowadzał mordercze uderzenie, kiedy już wszyscy spisali go na straty. „Jeśli nie liczyć meczów, praca trenera jest najlepsza na świecie" – to zdanie swojego mentora z czasów gry w Romie, Nilsa Liedholma, Włoch mógłby dziś zadedykować pokonanemu koledze z ławki Liverpoolu: i w trakcie tego spotkania, i w całym minionym roku Jürgen Klopp naprawdę zrobił wszystko, żeby być zwycięzcą.

W ciągu minionych miesięcy Carlo Ancelotti wielokrotnie mierzył się ze spekulacjami, że po sezonie będzie musiał odejść. Na jednej z ostatnich konferencji przed finałem mówił zresztą, że chyba nikt się nie spodziewał, iż jego drużyna tak daleko zajdzie – i jak zwykle mówił prawdę. Spisywano ją na straty wielokrotnie: i przed dwumeczem z Paris Saint-Germain, i przed ćwierćfinałem z Chelsea, i przed półfinałem z Manchesterem City. We wszystkich tych pojedynkach przegrywała i wydawało się, że się nie podniesie, a ona odrabiała straty w ostatnich minutach albo w dogrywce. Kiedy awansowała, skłonni do przesady kibice i dziennikarze sportowi uderzali w tony jawnie metafizyczne. Pisali o cudzie.

Mamma Roma

O tym, dlaczego Real nie był w tych meczach faworytem, można by właściwie napisać krytyczną analizę funkcjonowania superklubu. To tamte zespoły prowadzili trenerzy będący symbolami wszystkiego, co we współczesnym futbolu nowoczesne. To w tamtych zespołach grały największe gwiazdy dzisiejszej piłki. To tamte zespoły były zwyczajnie silniejsze. To faktycznie niesamowite, że można wygrać Ligę Mistrzów z drużyną, w której zionie wyrwa pokoleniowa, wskazująca na fatalne planowanie, bo ci, którzy stanowili w tym sezonie o obliczu Realu są albo grubo po trzydziestce i myślą o zakończeniu kariery, albo znaleźli się dopiero u jej progu. Nawet decyzja o zatrudnieniu samego Ancelottiego wydawała się pomysłem na przeczekanie, aż dostępny będzie któryś z owych młodszych zdolniejszych. 62-letni Włoch pracował akurat w Evertonie, dość przeciętnym klubie z Premier League, i myślał o emeryturze, zwłaszcza że wcześniej nie powiodło mu się w Napoli. Wrócił do Madrytu – i wygrał wszystko.

Była w drodze po ten sukces symboliczna scena. W trakcie dogrywki meczu z Manchesterem City Ancelotti stał przy linii bocznej w otoczeniu swoich najbardziej doświadczonych piłkarzy – m.in. Modricia, Kroosa i Benzemy, których ze względu na zmęczenie zdjął już wcześniej z boiska – i radził się ich, co jeszcze może zmienić. Jedna z jego biografii nosi tytuł „Dyskretne przywództwo" – słowo „dyskretne" należy akcentować tu mocniej niż „przywództwo". W każdej analizie jego metod podkreśla się to, że Ancelotti umie słuchać: współ-

pracowników i piłkarzy. Z wywiadów, których sam udziela, można by odnieść wrażenie, że ci ostatni trenują się sami.

Pryncypialny jest tylko w jednej kwestii: jedzenia. „Carlo, przecież ja jestem kapitanem, mam dawać dobry przykład pozostałym" – jeden z jego dawnych podopiecznych z Milanu, Paolo Maldini, próbował się kiedyś bronić przed wciśnięciem mu przez trenera jakiejś potrawy, która z dietą sportowca naprawdę nie miała wiele wspólnego. „A ja jestem twoim trenerem i mówię ci, że masz tego spróbować. To naprawdę dobre" – odpowiedział Ancelotti. Sam zadbał o to, by tortellini z ragu kojarzyły się z jego nazwiskiem równie mocno jak trofea sportowe.

„To nie salami szkodzi zdrowiu, lecz nóż" – powtarza ten syn hodowców świń, w którego domu wieprzowinę jadło się codziennie i nikt nie miał problemów z cholesterolem („Jestem zdania, że cholesterol został wynaleziony przez ludzi dopiero później" – deklaruje w książce „Preferisco la Coppa", w której tytule słowo „coppa" może oznaczać tyleż puchar, co baleron). Słynne zdanie Pasoliniego z wywiadu dla „La Stampy", że piłka nożna sprawia mu największą przyjemność obok literatury i miłości, Carlo Ancelotti uzupełniłby więc o jedzenie.

Wydaje się, że spowijającą go aurę zdrowego rozsądku wyniósł właśnie z domu. Kiedy opowiada, jak sam harował na boisku (był świetnym pomocnikiem, pomocnicy – mawia – to ci najinteligentniejsi), zestawia to często z wysiłkiem rodziców. Kiedy chce przypomnieć o cierpliwości, której we współczesnym futbolu jest ostatnią ostoją, mówi o czasie, który trzeba odczekać, by z krowiego mleka powstał dojrzały parmezan.

Kwiat tysiąca i jednej nocy

Każda książka o najnowszej historii futbolu opisuje pierwsze dekady XXI wieku przez pryzmat dwóch etapów. Pierwszy wyznaczała rywalizacja trenera Barcelony Pepa Guardioli z Josém Mourinho – wygnanym z katalońskiego raju byłym asystentem i tłumaczem w tym klubie, który nigdy nie dostał szansy poprowadzenia pierwszej drużyny i jak Miltonowski szatan (porównanie użyte przez Jonathana Wilsona w książce „Dziedzictwo Barcelony") poświęcił życie na próbę podważenia katalońskiego stylu – tu wyższość Guardioli okazała się bezapelacyjna, nawet jeżeli raz w drodze po triumf w Lidze Mistrzów prowadzący wówczas Inter Mourinho okazał się lepszy. Etap drugi to zmagania Guardioli – pracującego już w Manchesterze – o supremację na angielskich boiskach z prowadzącym Liverpool Jürgenem Kloppem. W ostatnich czterech latach raz jeden zdobywał mistrzostwo kraju, raz drugi, ale gdyby zsumować punkty w ligowej tabeli, różnica wynosiłaby... jedno oczko, z przewagą kilkudziesięciu nad trzecią w tym zestawieniu Chelsea. „Jürgen sprawił, że stałem się lepszym trenerem" – mówił triumfujący w tym roku Pep.

Co w tym wszystkim paradoksalne: w książkach o najnowszej historii futbolu nazwisko Ancelottiego pojawia się tak, jak on sam na zdjęciu z tamtego meczu z Pasolinim: na marginesie. Michael Cox w „Gegenpressingu i tiki-tace" np. najwięcej uwagi poświęca doświadczeniom, które faktycznie odmieniły początkującego jeszcze trenera Parmy. W imię przywiązania do ulubionej formacji nie znalazł on miejsca w drużynie dla wyrafinowanych techników z ikoniczną dla futbolu „dziesiątką" na plecach, Roberta Baggio i Gianfranca Zoli. Dopiero kiedy w kolejnym miejscu pracy, Juventusie, miał do wyboru: spychać gdzieś na bok samego Zinedine'a Zidane'a bądź stać się trenerem bardziej elastycznym i zbudować drużynę wokół Francuza, przestał być doktrynerem. Kiedy pracował w Milanie i wydawało się, że dla czterech wielkich pomocników – Pirlo, Kaki, Seedorfa i Rui Costy – ma tylko trzy miejsca w wyjściowej jedenastce, zaproponował im, by sami znaleźli rozwiązanie, które pozwoli pomieścić wszystkich.

Nigdy nie był więc taktycznym innowatorem w stylu Guardioli czy Kloppa, raczej dostosowywał się do drużyn, które prowadził, ba: potrafił znaleźć wspólny język nie tylko z zawodnikami, wśród których były największe ego we współczesnym futbolu, typu Cristiano Ronaldo i Zlatan ↦

REKLAMA

Ibrahimović. Z perspektywy świata, w którym kapitał odgrywa rolę fundamentalną, za równie istotne wypada uznać to, że umiał obłaskawić także klubowych prezesów czy właścicieli. O skali wyzwania świadczy, że mówimy o personach znanych nie tylko w świecie piłki, ale również polityki i biznesu, jak Roman Abramowicz w Chelsea, Silvio Berlusconi w Milanie, Florentino Pérez w Realu czy Umberto Agnelli w Juventusie. Ancelotti pozwalał im wchodzić do szatni, cierpliwie wysłuchiwał uwag na temat doboru składu i wkomponowywał do drużyny ich pupili – pozornie dawał sobie wchodzić na głowę, ale robił przy tym swoje. I nie miał złudzeń.

„Nie zdobyliśmy mistrzostwa, mamy jednak za sobą dobry sezon. Jesteś dobrym człowiekiem, Carlo. Pamiętaj o tym, ponieważ w życiu nie ma nic ważniejszego" – przytacza w autobiografii słowa wypowiedziane doń przez Agnellego podczas spotkania, na którym szef Juventusu i właściciel Fiata powiedział także, że go lubi i że w niego wierzy. „Jasne. Następnego dnia wyleciałem z roboty" – komentuje.

Ewangelia według świętego Mateusza

Z punktu widzenia klubowego właściciela jest więc idealnym podwładnym. Nie wybiega zbyt daleko w przyszłość. Nie domaga się kosztownych transferów. Pracuje z tymi, których ma do dyspozycji tu i teraz. Dobiera ustawienie i taktykę w zależności od tego, kto jest obecnie w najlepszej formie. I czerpie frajdę z każdej chwili.

Kiedy zaczyna pracę w jakimś klubie, zwykle rozlewa oliwę na wzburzone przez jakiegoś poprzednika wody. Ale kiedy odchodzi, to, co wcześniej uznawano za zaletę, okazuje się wadą. Jest zbyt blisko z piłkarzami, słyszymy wówczas. Szatnia rządzi się sama, brakuje żelaznej ręki, która mogłaby nią potrząsnąć. Jowialność staje się oznaką słabości, nie siły wewnętrznej. O tym, że następca (poza Zidane'em, którego sam przygotował do tej roli w Realu) raczej nie osiągnie podobnych sukcesów, na razie nikt jeszcze nie wie.

Przed laty w rozmowie dla „Financial Timesa" wspominał, że kiedy sam grał w piłkę, zdarzało mu się pracować z trenerami, którzy mówili: „Masz tak zrobić, bo ja ci tak mówię". „Nie rozumiem tego. Nie mogę być – come si dice? – tyranem". Charakterystyczne, że akurat tego właśnie słowa zabrakło mu w przyzwoitej skądinąd angielszczyźnie. Wydaje się kompletnie nieprzeczulony na swoim punkcie: wie, że ludzie nie przychodzą na mecze oglądać trenerów (choć – jak widać – my, dziennikarze, tak bardzo lubimy się o nich rozpisywać), tylko piłkarzy. Przy okazji jednego z tegorocznych meczów wyznał, że doświadczony tercet Modrić, Kroos i Casemiro robił na boisku rzeczy, o które bynajmniej nie prosił, ale kibice Realu mogą się niczym nie przejmować, bo... nie zamierza piłkarzom przeszkadzać. Świadomie usuwa się na sam koniec, tak jak na tamtym zdjęciu spod parmeńskiej Cytadeli.

Być może jego największy wkład w zarządzanie drużynami polega na odkryciu, że większość zawodników przed ważnymi meczami nie musi być motywowana – powinna się raczej uspokoić. „Ludzie na ogół kochają pracę, którą wykonują" – zauważa w „Dyskretnym przywództwie", formułując przykazanie dla liderów nie tylko ze świata futbolu: „Nie zabij w nich tej miłości".

Opowieści kanterberyjskie

„Ludziom wydaje się często, że w decydujących momentach przemowa trenera powinna wyciskać łzy z oczu – wspomina występy w Milanie Ancelottiego Maldini. – Faktycznie, to się czasem zdarzało, zawsze płakaliśmy jednak ze śmiechu". Jak widać, trener Realu często żartuje. Na kartach jego autobiografii dowcipy pojawiają się równie często jak opowieści o jedzeniu, ale to jedno zdanie, którym tłumaczy swoje niebywałe sukcesy, powinno być potraktowane serio: „Po prostu słucham piłkarzy".

Dlaczego więc Pasolini nie byłby zachwycony? Włoski reżyser był chrześcijaninem i komunistą, wierzył w równość, a finał Ligi Mistrzów – impreza, z której obrazy wygodnie rozmieszczonych w VIP-owskich lożach notabli i stłoczonych przed bramami do ostatnich chwil prostych kibiców mogą służyć za symbol priorytetów organizatora – z równością się raczej nie rymuje. Wszystkie reformy tych rozgrywek prowadzą do tego, by droga do takiego meczu zespołów mniej potężnych niż superkluby była coraz bardziej wyboista. W starciu Liverpoolu i Realu to klub z Anglii wydaje się zresztą bliższy zwykłym fanom, choć właścicielem jest tu amerykański miliarder, a sposób, w jaki jego podwładni zarządzają każdym szczegółem (te hełmy, przy pomocy których analizuje się pracę mózgu zawodników przygotowujących się do wykonania rzutu karnego, ci specjaliści, służący do szkolenia piłkarzy w wykonywaniu tak banalnej, wydawałoby się, czynności, jak wyrzut z autu...), przypomina tyleż innowacyjną, co ste-

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

POZNAŃ, piątek 3 czerwca
Spotkanie z o. Wojciechem Drążkiem,
„Świat wywrócony do góry nogami" / online /

GLIWICE, środa 8 czerwca
Spotkanie z ks. Alfredem Wierzbickim,
„Bóg nie wyklucza" / stacjonarne /

BIELSKO-BIAŁA, czwartek 9 czerwca
Spotkanie z ks. Alfredem Wierzbickim,
„Bóg nie wyklucza" / stacjonarne /

REZERWUJ CZAS!

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

SIMON STACPOOLE / OFFSIDE / GETTY IMAGES

MATERIAŁY PRASOWE CINEMAZERO

CARLO ANCELOTTI *wśród piłkarzy Realu po swoim czwartym trenerskim sukcesie w Lidze Mistrzów (Paryż, 28 maja 2022 r.) oraz po meczu pojednania między drużynami Piera Paolo Pasoliniego i Bernardo Bertolucciego (Parma, 16 marca 1975 r.; Pasolini stoi obok bramkarza, Ancelotti ostatni z prawej).*

rylnie wypraną z ludzkiego wymiaru korporację, w której arcyludzki trener Klopp służy tylko jako listek figowy. Trudno też nie zauważyć pewnego rysu bezwzględności, jaki wiąże się z kibicowaniem Realowi. Jak zauważa Simon Kuper, tutaj gwiazdy kocha się tak długo, jak długo są na topie, później zaś żegna się je bez sentymentu.

Reżyser „Dekamerona" widział w futbolu ostatni święty rytuał naszych czasów, ale mówił też, że są drużyny parające się poezją i prozą, w zależności od miejsca, jakie w taktyce przyznają strzelaniu bramek i dryblingowi („Każdy gol jest zawsze wynalazkiem, zawieszeniem kodu: każda bramka jest nieuchronnością, dreszczem, zdumieniem, nieodwracalnością, tak jak słowo poetyckie" – wywód Pasoliniego cytuję za książką Pawła Mościckiego „Lekcje futbolu"). Sam, jak wiemy, uważał się za poetę, więc wysiłek, z jakim Liverpool próbował sforsować szyki nisko broniącego się Realu, heroizm Courtois w bramce drużyny z Madrytu i jeden jej szybki atak zakończony golem Viniciusa zapewne by go nie usatysfakcjonowały.

Dekameron

Skoro jednak mowa o nieuchronności, dreszczu i zdumieniu: jest w Carlo Ancelottim coś, co – poza zachłannie zmysłowym stosunkiem do jedzenia i tym, że o ludziach mówi co najmniej tak ciepło jak o tortellini – musiałoby się spodobać Pasoliniemu. Tym czymś jest mianowicie... brew nad lewym okiem, unosząca się często niemal aż do połowy czoła. „Brew Ancelottiego przemawia do nas bezpośrednio, zapewniając alternatywną ścieżkę dialogową z napisami do dyplomatycznej paplaniny, którą z takiego czy innego powodu zmuszony jest emitować z ust" – pisał o niej już przed dwunastoma laty Barney Ronay. – Jest to cecha, dla której Anglicy zapałali do niego sympatią. Rozumiemy język brwi. Niedopowiedzenia, małomówność, pohamowanie: to do nas trafia".

Mam jednak wrażenie, że tych kilka zdań więcej mówi o sposobie, w jaki felietonista „Guardiana" postrzega swoich rodaków, niż o istocie sprawy. Uniesiona brew włoskiego żarłoka nie tyle o pohamowaniu przecież świadczy, co raczej o stosunku do świata, który zaiste zdaje się pasować do klimatu „Dekameronu". Sowizdrzał i kpiarz, człowiek, który zamiast wejść w rolę jeszcze jednego z arcykapłanów futbolu nie boi się zrobić z siebie błazna (pamiętacie zdjęcie w ciemnych okularach i z cygarem podczas świętowania mistrzostwa Hiszpanii?), robi wciąż to, co wtedy na parkowym boisku w Parmie.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

TP

Nominacja do Grand Press Photo!

Zdjęcie Renaty Dąbrowskiej – portret Agaty Tomaszewskiej i Wojtka Sawickiego, ilustrujący tekst **Eweliny Burdy „I niech mówią, co chcą" (powszech.net/lovestory)** – zostało nominowane w jednym z najważniejszych konkursów fotografii prasowej: **Grand Press Photo 2022.**

Jury XVIII edycji nominowało do finału konkursu 302 zdjęcia 63 autorów. Wyniki poznamy 2 czerwca. **Autorkom gratulujemy!**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

STANISŁAW

Mancewicz:
Lajkonik wyklęty

Rozumienie rzeczywistości – zważmy – to nie jest zadanie ani tanie, ani łatwe, nie jest też powszechnie uprawiane. Wiadomo – to jasne – że ogromna większość ludzi, spacerując, dajmy na to polną drogą, w malowniczym szpalerze wierzb płaczących, uważa, że temu krajobrazowi powinien towarzyszyć podkład muzyczny pt. „Rozszumiały się wierzby płaczące". Ludzie są niepomiernie zaskoczeni, że pośród bujnej flory ruderalnej, w zakrzaczeniach, na poboczu, nie ma schowanego nagłośnienia. Zetknęliśmy się z podobnymi potrzebami pośród turystów oczekujących na *all inclusive*. Weźmy jeszcze dla jasności inny przykład, z lokalnego życia.

Nie tak dawno na krakowskim Rynku oglądnęliśmy kolejną już scenkę dowodzącą, że ludzie żyją w bajce. Oto solidny jegomość, przebrany z powodów biznesowych za wspaniałego husarza, podczas krótkiej przerwy w pracy, w podcieniach Sukiennic, raczył się napojem chłodzącym oraz palił, a nie był sam. Rzec trzeba szczerze, że towarzyszył mu kolega Lajkonik, znacznie już silniej – po prawdzie – schłodzony, pracujący, zdaje się, w osłonie tarczy antyinflacyjnej, a więc rozluźniony i jakby nastawiony do świata życzliwiej.

Nic w tym spotkaniu doprawdy nie było ani szokującego, ani gorszącego, ani nadzwyczajnego, ani nieestetycznego, bądź to nieetycznego, ot ludzie interesu gwarzą w przerwie pomiędzy swobodnym rekonstruowaniem i robieniem sobie fotografii z turystami. A jednak, schładzanie, palenie i pogwarki kolegi husarza z kolegą Lajkonikiem, obaj jakby z Sienkiewicza wyjęci, w miejscu znanym każdemu rodakowi z podręczników z podstawówki, czyli na poziomie nauczania ustawowo obowiązkowego, wszystko to spotkało się ze strony obywateli turystów odbywających rytualną turę po skarbach narodowej kultury z reakcją bez mała gwałtowną. Oto husarz – było, nie było Polak, wąsacz-katolik, rozmawia jak gdyby nigdy nic z za przeproszeniem Tatarzynem, smagłym od makijażu Saracenem, czyli mówiąc wprost, z islamistą, żeby nie rzec uchodźcą. Zaiste, Rynek krakowski jest dobrym miejscem do testowania umysłowej jak kto woli asortymentu produkowanego przez kowali polskiej wyobraźni. Z ulicznego gwaru, mimo płynącego jakby z niebios hejnału mariackiego, pomimo hałasu gołębiego gruchania, dało się usłyszeć głośne uwagi i komentarze. Nieżyczliwe. O skandalicznym bezczeszczeniu stroju husarza, o upokarzaniu skrzydeł naszych, o atakowaniu polskości piciem, paleniem i ahistorycznym brataniu się z kolegą Lajkonikiem. Ktoś chciał wezwać policję, co wydało się nam pomysłem kapitalnym, ale ku naszemu żalowi był to słomiany zapał i policja do wykroczenia, jakim jest naruszenie spoistości legend i baśni z potrzebą zarobkowania i relaksu, niestety nie przyjechała. A szkoda.

Nawiasem, policja polska w ostatnich latach przyjeżdża oczywiście do tego typu wydarzeń i – jak to się ładnie w mediach mówi – natychmiast podejmuje tzw. czynności. Policjanci starannie – cośmy nie raz i nie dwa widzieli – zapisują w swych notesach szczegóły podobnych historii, co powinno skłonić do refleksji, zadumy, ale i do działania włodarzy polskich muzeów literatury, by owe zapiski skupywać po komisariatach. By te historie gromadzić, katalogować i digitalizować. Ku chwale naszego znakomitego piśmiennictwa. Zdaje się nam, że żadna placówka kultury polskiej nie ma rzetelnego zapisu nierzeczywistości uchodzącej za rzeczywistość. Akcja apelowania do służb mundurowych, by udostępniały notesy służbowe, wydaje się pomysłem na wielką i naszą miarę.

No więc, gdyśmy już sobie bezrefleksyjnie porechotali z tego wszystkiego, cośmy na krakowskim Rynku zobaczyli i podsłuchali, puknęliśmy się w myślące czółko. Coś, co nam się wydaje śmiesznym oderwaniem, odrealnieniem, w sumie może nawet nieszkodliwym, jest jednak rzeczywistością. Nikogo po prawdzie nieśmieszącą. Zostaliśmy niemal sami w świecie, w którym człowiek w przebraniu Lajkonika nie stwarza realnego zagrożenia dla wiary ojców naszych i dla ojczyzny naszej. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

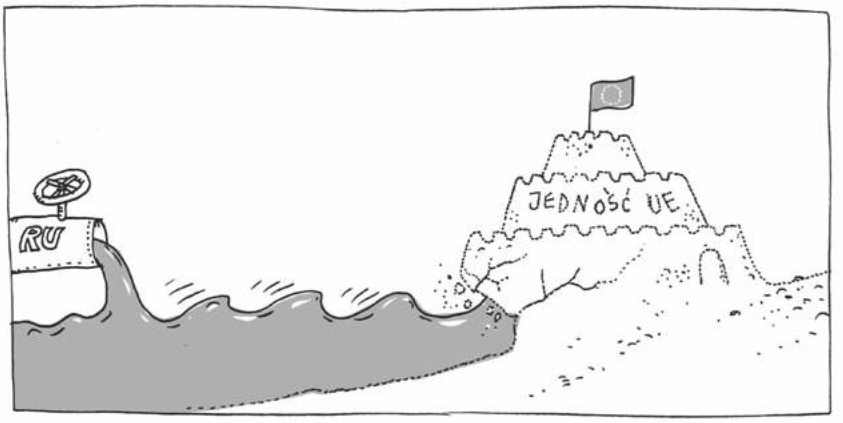

REKLAMA

ZAKOPANE – dobre eMOCje

ZAKOPANE ZAPRASZA

1 LIPCA – 31 SIERPNIA 2022
Kino Letnie Sopot–Zakopane

LIPIEC–SIERPIEŃ 2022
Międzynarodowy Festiwal Muzyki Organowej i Kameralnej

8–10 LIPCA 2022
Zakopiański Festiwal Literacki, Targi Książki „Pod Tatry tylko z książką"

9 LIPCA – 31 SIERPNIA 2022
Forteckich „Pieśń nad pieśniami". Malarstwo na szkle
Centrum Kultury Rodzimej w willi Czerwony Dwór

22 LIPCA – 17 WRZEŚNIA 2022
Artyści Zakopiańscy 2022
Miejska Galeria Sztuki im. Wł. hr. Zamoyskiego

19–26 SIERPNIA 2022
Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziem Górskich

WRZESIEŃ 2022
Pokaz Filmów o Sztuce

Centrum Informacji Turystycznej
Stacja Kultura Zakopane

www.zakopane.pl
@ZakopaneOfficial
zakopane_official
Urząd Miasta Zakopane

ZAKOPANE

ZAKOPANE

REKLAMA

WYSTAWA CZASOWA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

ŻYDOWSKA KULTURA KULINARNA

11.03–12.12.2022

polin.pl

Współorganizator:

STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

Mecenas:

Jankilevitsch Foundation

Wsparcie finansowe wystawy:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partnerzy wystawy:

ARCHIWA PAŃSTWOWE NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

JEWISH FOOD SOCIETY

ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY

Partnerzy medialni:

zwierciadło, sens, TYGODNIK POWSZECHNY, VOGUE, wyborza.pl, wyborza.pl WARSZAWA, ams, TOK FM, VIVA!, Newsweek, HISTORIA, KUKBUK.pl, K MAG, onet